KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 10/120 1957



• «La Culture» • Revue mensuelle •

Nr 120

Dziesięciolecie

SPIS RZECZY

ARCHIWUM POLITYCZNE

KRAJ

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

KRONIKA KULTURALNA

KRONIKA UKRAIŃSKA

SPRAWY I TROSKI

KSIĄŻKI

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Październik-Octobre 1957



INSTYTUT LITERACKI

WPŁATY NA BIBLIOTEKĘ NARODOWĄ

Ks. Jacek Dąbrowski, Perth Amboy, N.J. (U.S.A.)	fr. 4.200
Czesław Borzobohaty, Omaha Nebraska (U.S.A.)	fr. 4.200
Witold Czajkowski, Rio de Janeiro (Brazylia)	fr. 1.100
Wacław Fedorowicz, Rio de Janeiro (Brazylia)	fr. 1.100

Z Australii otrzymaliśmy łączną kwotę .... fr. 15.690
(Na sumę tę złożyli się pp. Adam Nasielski, Ernest Tarlerski i Andrzej Chciuk jako autorzy ,,Widnokręgów". Łącznie £ Austr. 10, oraz p. Andrzej Chciuk osobiście £ Austr. 7.02.00.

Dalsza zbiórka na terenie Argentyny, przeprowadzona przez przedstawiciela ,,Kultury" — Składnicę Książki Polskiej wspólnie z T-wem Klub Polski oraz T-wem Miłośników Historii przyniosła dalszą kwotę *pesos* 1.500

Na sumę tę złożyli się: Adam Kafliński 100 p.; J. Sąchocki 200 p.; Matuszewski 100 p.; Jędrzejczuk 100 p.; Siedlecki 100 p.; S.S. 100 p.; S. Kula 100 p.; A. Michna 100 p.; Urszula Artemska 500 p.; E. Poszumski 100 pesos.

DZIĘKUJEMY

Imprimé en France

Klimat życia i klimat literatury

W jakiej mierze literatura jest zwierciadłem życia? Na pytanie to nie widać żadnej jasnej odpowiedzi. Już na pierwszy rzut oka zastanawia fakt, że zwierciadłowość nie zależy od doktryny piszącego ani panujących w jego czasach konwencji literackich. We wszystkich epokach i szkołach znaleźć można autorów utwalających na gorąco fragmenty obserwowanej rzeczywistości. W *Mimesis* prof. E. Auerbacha (1) znajdujemy zbiór takich tekstów wyjętych z Homera, Petroniusza, z pieśni o Rolandzie, z misteriów średniowiecznych, z Dantego, Boccaccia, Rabelego, Schillera i Virginii Woolf, słowem z autorów, których nikt dotąd nie zaliczał do ,,realistów''.

Uważny czytelnik mógłby spis tych kryptorealistów znacznie przedłużyć. Czy jednak obecność w ich dziełach fragmentów obserwowanej rzeczywistości upoważnia do twierdzenia, że *Satiricon, Decamerone, Gargantua i Pantagruel, Don Quijote* lub *Le Roman comique* są obrazami życia tamtych czasów? Nie. Przeciwnie, wydaje się, że każdy z tych utworów jest obrazem świata istniejącego tylko w tej jednej książce. To samo wrażenie zostawiają zresztą powieści znacznie bliższe nam w czasie, mimo że w każdej z nich poznajemy jakieś autentyczne realia, z którymi — jak z czapką pana Bovary — nie wiemy często co począć.

A Balzac? Nie mam zaufania do jego realiów. Operacje finansowe barona Nucingena są bliższe świata czarów niż praktyki giełdowej. Café de Paris, Rochers de Cancale i kulisy

(1) Bern, A. Francke 1946.

Opery wymieniane są przezeń jako nazwy magiczne, symbole, bez szczegółów, z których wynieślibyśmy pewność, że te miejsca, poświęcone beztrosce i rozrzutności, były przedmiotem bezpośredniej obserwacji autora. W *Comédie humaine* znajdujemy natomiast klimat wielkiego awansu społecznego, przemieniającego chłopów w milionerów i ambitnych młodzieńców w parów Francji.

Epopeja zwycięskiego mieszczaństwa, wspinającego się po szczeblach fortuny i honorów, nie znalazła innych piewców, lecz przykład Balzaca, należącego do ulubionych lektur Lenina, sprzyjał rozpowszechnieniu się mniemania, że i odbywający się obecnie w skali światowej awans społeczny robotników może, a nawet powinien znaleźć swój wyraz w jakiejś nowej *Comédie humaine*. Oczekiwania te niespełniły się dotąd, ani na Zachodzie, ani w krajach literatury kierowanej, mających być wylęgarnią Balzaców. Przyczyny tego zjawiska byłyby wdzięcznym i aktualnym tematem dyskusji literackiej. Nie wchodząc tu w szczegóły, chciałbym jedynie zwrócić uwagę na wyjątkowość Balzaca. Na ogół literatura przylegała tylko bardzo luźno do życia i nie oddawała dokładnie jego klimatu.



Jak Wenus z piany morskiej, fikcyjny świat literatury rodzi się strojny w umowne formy i wdzięki, których powolne metamorfozy mają rytm inny niż przemiany świata znanego nam z pospolitego doświadczenia. Każda z tych dziedzin ma inny kalendarz. Stąd klimat ich zbliżał się i oddalał od siebie w ciągu wieków.

Ktokolwiek miał sposobność zastanawiania się nad tymi zjawiskami, musiał spostrzec, że od ćwierć wieku, a zwłaszcza w ciągu ostatnich dziesięciu lat, między klimatem życia i literatury powstał ogromny dystans.

Nie chodzi tu o tematy odległe od życia. Najodleglejsze nawet mogą dość ściśle przylegać do bieżącej rzeczywistości. Kiedy Wirgiliusz pisał swe sielanki, konwulsje wojny cywilnej wstrząsały otaczającym go światem. To co się działo w Rzymie, musiało napełniać go lękiem i goryczą. Na szczęście dla siebie znalazł w tradycji literackiej wzory, pozwalające mu przenieść się w fikcyjny świat o innej strukturze. Różne formy ucieczki zostały w początkach cesarstwa przemyślane aż do skrajnych konsekwencji, do wyzwalającego z wszelkich mizerii samobójstwa, którego teoretykiem i piewcą miał nieco później zostać L.A. Seneca. Chwalcy cesarstwa i uciekający odeń, chociażby za cenę życia, byli dziećmi tego samego czasu; nieraz postawy te były tylko dwoma twarzami tego samego poety.

Nie brak i dziś pisarzy uciekających, na ogół jednak ucieczka od *hic et nunc* nie jest rysem właściwym literaturze współczesnej. Od czasów De Foëgo powieść pociąga czytelnika

złudzeniem rzeczywistości, efektem trudnym do osiągnięcia w dziedzinie czystej fantazji.

Rozbieżność z klimatem życia powstała na tle funkcji porządkujących i wartościujących literatury. Funkcje te nie są uzurpowane, lecz należą do samej istoty zjawisk literackich. Każde bowiem dzieło sztuki jest fikcyjnym światem artysty, uporządkowanym według wartości inaczej niż świat znany z pozostałego doświadczenia. Z tytułu odmiennej budowy ich tworów wyobraźni poeci, począwszy od Wirgiliusza mówią co pewien czas o odrębności ich powołania. W różnych epokach i szkołach formuły porządkowe i wartościujące świat fikcji posiadały pewne rysy wspólne, stanowiące o klimacie literatury. Między formułami tymi a hierarchią wartości, jaka ustaliła się dla zakresu pospolitego doświadczenia, w ciągu ostatniego ćwierćwiecza wytworzyły się zasadnicze różnice.



Jaki jest dziś klimat życia? Dla tych, którzy — jak piszący te słowa — pamiętają lata poprzedzające wojnę 1914-1918 i mają dzięki temu pewną skalę porównań, pytanie to nie nastręcza wątpliwości. W Europie Zachodniej jest to przede wszystkim klimat wzrastającego dobrobytu i powszechnego awansu społecznego.

Jak powstał ten klimat, mimo dwuch wojen światowych i skreślenia państw europejskich z listy wielkich mocarstw?

Punktem wyjścia wielkich przemian wewnętrznych w Europie Zachodniej był kryzys gospodarczy 1929-1935, który należałoby przyjąć za początek historii współczesnej. Do tej daty władzę w demokracjach parlamentarnych wykonywali politycy, ignorujący sprawy ekonomiczne i pozostawiający je tak zwanym sferom gospodarczym. Jako student słyszałem cykl wykładów Vilfreda Pareto, dowodzących na podstawie analizy ustawodawstwa gospodarczego, że rządy i parlamenty nie liczą się wcale z elementarnymi wiadomościami, zawartymi w każdym podręczniku ekonomii politycznej, mnożąc ustawy i przepisy bądź bezskuteczne, bądź też mające skutki odwrotne od zamierzonych.

Wielki kryzys położył koniec supremacji polityków. Przemysłowcy i bankierzy stali wobec niego bezradni. Wielkie D-Banki niemieckie, będące wzorem dla całej Europy Środkowej, zbankrutowały wszystkie jednego dnia, feralnego 13 lipca 1931. Był to zarazem kryzys ekspertów i autorytetów, jakimi byli dotąd prezesi banków i kierownicy przemysłu. Obowiązek opanowania kryzysu i przywrócenia dobrobytu spadł na rządy, mało przygotowane do tego zadania. Przez długie lata zadanie to pochłaniało całą uwagę rządów i parlamentów; przyjście do władzy Hitlera i przygotowania wojenne niemieckie minęły w tym klimacie niemal niepostrzeżenie. Okres ten pozostawił po sobie głębokie zmiany: ogromne rozszerzenie zakresu działania administracji publicznej, ograniczenia tak zwanej wolnej kon-

kurencji, gospodarkę kierowaną, pogłębienie się i rozpowszechnienie wiedzy ekonomicznej i wreszcie uderzającą bierność obywateli, widzących w administracji publicznej jedynego gwaranta ich dobrobytu. Ten ostatni stał się naczelnym celem wszelkiej polityki. Ani wojna, ani zdeklasowanie Europy nie wpłynęły na powszechne dążenie do dobrobytu. W dziesięć lat zaledwie po zakończeniu wojny Europa Zachodnia wydaje się zamożniejsza niż przed 1914. Zamożność ta posiada wprawdzie odmienną strukturę, ale to jest inna sprawa, nie dotycząca bezpośrednio naszego tematu.

Pomoc amerykańska, polityka pełnego zatrudnienia i solidarna postawa ludności wobec uzgodnionego celu polityki wydały skutki żywo uderzające każdego, kto pamięta *la belle époque* i lata międzywojenne. Awans społeczny ogarnął w Europie setki milionów ludzi. Odrodzenie gospodarcze Niemiec jest powszechnie znane. Przed dziesięciu laty jeszcze miasta leżały tam w gruzach. Mieszkańcy ich, w grubych narciarskich kostiumach, gnieździli się w ruinach pozbawionych częściowo wody i opału lub jechali mieszkać kątem u krewnych na wsi. Monotonne pożywienie otrzymywano na kartki, płacąc symbolicznymi banknotami. Dziś zaopatrują się w sklepach gastronomicznych, mogących zaćmić nawet wspomnienia znanego starym warszawiakom Jelisiejewa. Nigdy zapewne kawior nie miał równie wielkiego zbytu. Jeżeli nic nie przeszkodzi dalszemu wzrostowi zamożności, za kilka lub kilkanaście lat każdy, kto ma na to ochotę, będzie posiadał własny samochód.

Wzrost dobrobytu i powszechny awans społeczny ogarnął także kraje, w których ubóstwo trwało od niepamiętnych czasów, przyjmowane przez ludność z rezygnacją, jako nieuniknony porządek natury. Południowa część Włoch — *il Mezzogiorno* — zaczęła otrząsać się z wiekowej nędzy i melancholii. Gdzie dawniej czarno ubrani wieśniacy medytowali posępnie nad wyjazdem do Argentyny, i *lazzaroni* spali na brzegu morza, dziś tysiące ludzi, w świeżo wypranych białych koszulach, śpieszy do opłacalnych zajęć. Wszędzie wznoszone są nowe budynki. Pracowitość włoskich robotników, wyposażonych w nowożytne narzędzia pracy, zdaje się nie znać granic.

Po wielokrotnych dewaluacjach pieniądza i przy trwającym chronicznie wzroście cen, oszczędność nie zajmuje w myślach Europejczyków zachodnich tyle miejsca co w latach mojej młodości. Max Weber nie poznałby dziś zapewne krajów protestanckich, gdzie młodsi ze śmiechem mówią o dziwactwach poprzednich pokoleń, kiedy wydawanie wszystkich odsetków od kapitału uchodziło za karygodną rozrzutność. Zamożność jest dziś bardziej widoczna, posiada pewną ostentacyjność. Nie widać dziś wytartych ubrań i wystrzępionych spodni, jakie dawniej nosili często milionerzy. Wszyscy noszą dziś nowiutkie, dobrze skrojone ubrania. Nawet ubrania używane przy pracy nie są pozbawione kokieterii. Kobiety nigdy nie były tak urocze. Wyrafi-

nowana prostota ich strojów i uczesania leży w najpiękniejszych tradycjach i przypomina słowa Congreve'a:

Coquet and coy at once her air,
Both studied, though both seem neglected:
Careless she is, with artful care,
Affecting to seem unaffected.

Z roku na rok mnożą się zbiorowe manifestacje wesela i potrzeby zabawy. Program dorocznych festiwali muzycznych, teatralnych i kinematograficznych byłby obszernym tomem. Pod względem artystycznym festiwale osiągają co najwyżej poziom poprawności i dla życia sztuki są bez znaczenia; są to rozrywki zbiorowe dla pokolenia, które wyszło z awansu społecznego i nie wytworzyło jeszcze żadnego ,,towarzystwa''. Tradycyjne zabawy ludowe — tam gdzie się jeszcze zachowały — przeżywają prawdziwy renesans. Neapolitańska Festa di Piedigrotta, trwająca dawniej 2-3 dni, urosła do rozmiarów dwutygodniowego karnawału. Miasta wydają znaczne sumy na iluminacje i fajerwerki. Każda rocznica daje okazję do jakiejś zbiorowej zabawy, łączącej wszystkie stany. Znając kalendarz zabaw i festiwalów, można przez cały rok przebywać w atmosferze karnawału. Ruch turystyczny przybrał nieznane dotąd rozmiary. W roku ubiegłym bawiło we Włoszech dwanaście milionów turystów.

Obyczaje te przenikły nawet do miast, gdzie jeszcze niedawno w niedzielę rano śpiewano psalmy, po południu zaś nudzono się straszliwie. Przed kilku laty w Bernie byłem świadkiem obchodu 600-nej rocznicy przyłączenia się tego miasta do Konfederacji Szwajcarskiej. Pobożna na pozór okazja dała powód do niezwykłych w tym mieście manifestacji. Rozpoczęto je imponującym pochodem grup w kostiumach historycznych, potem zaś w zamkniętym dla ruchu kołowego śródmieściu tańczono na ulicach przez trzy dni i dwie noce. Ostatniego dnia o północy nikt nie chciał wracać do domu, i policja musiała zgasić światła, aby zmusić mieszkańców do odpoczynku.

Trudno jest odróżnić pochodzenie uczestników zabaw i korowodów. Wszyscy noszą takie same nowe ubrania. Robotników nie poznaje się więcej po rękach, bo nowoczesne narzędzia pracy nie zostawiają na nich śladów. Awans społeczny nie ma dziś kontrastów, jakie towarzyszyły uprzemysłowieniu Europy w połowie XIX wieku; objął mniej więcej wszystkich i odbywa się wesoło, z muzyką i fajerwerkami.



H.G. Wells był nie tylko cenionym powieściopisarzem; zajmował się także wiele historią i biologią. Był umysłem bardzo wszechstronnym i — jak Samuel Butler — przemyślał na włas-

ną rękę wiele niepokojących jego rówieśników zagadnień. Zdanie jego jest warte wysłuchania. Na krótko przed śmiercią Wells ogłosił niewielką książeczkę, będącą niejako testamentem, streszczeniem myśli, które zajmowały go w ostatnich latach życia (2). Mówiąc o klimacie literatury współczesnej, trudno jest pominąć ten dokument.

Oto parę ustępów z tego tekstu, pisanego na krótko przed wybuchem pierwszej bomby atomowej:

,,Ważne przyczyny każą piszącemu te słowa przypuszczać, że w ciągu ostatniego okresu czasu, który należy liczyć w tygodniach i miesiącach raczej niż w epokach, zmiany zasadnicze nastąpiły w warunkach, w jakich dotąd biegło życie, nie tylko życie ludzkie, lecz w ogóle wszelka świadoma egzystencja. Twierdzenie to jest zbyt niepokojące, aby mogło łatwo znaleźć drogę do umysłów; wypowiadam je też w przekonaniu, że zostanie odrzucone przez wszystkie osoby rozsądne. Jeżeli moje rozumowanie jest słuszne, świat nasz zbliża się do swego końca. Koniec wszystkiego co nazywamy życiem jest bliski i nieunikniony. Wnioski te, do których przyprowadziło mnie rozważanie rzeczywistości, wypowiadam w mniemaniu, że są interesujące i warte zastanowienia, jakkolwiek nie chciałbym ich nikomu narzucać. Postaram się tu wyjaśnić, co skłania mnie do tak niezwykłego twierdzenia. Rozumowanie moje będzie szło powoli, krok za krokiem, wymagając uważnego czytania. Piszę pod przymusem mego wyszkolenia naukowego, każącego mi szukać jak największej jasności w rozumieniu mego świata i wyrażaniu myśli'' (str. 1).

,,Rzeczywistość narzuca się z chłodną i brutalną jasnością wszystkim, którzy potrafili się wyzwolić z pocieszających złudzeń, stawiając ich bezlitośnie wobec wątpliwości, jakie ogarnęły autora tych słów. Staje się dla nich jasne, że do zjawisk życia wkradło się coś nieznanego i okropnego. Nawet najbardziej powierzchownych ogarnia chwilami niejasne podejrzenie, przelotna świadomość, że coś się stało, i że życie nie będzie takie same jak przedtem... Autor tych słów jest pewny, że nie ma stąd żadnego wyjścia, że to jest koniec'' (str. 4).

,,Wypadki biegną dziś jedne za drugimi, zazębiając się o siebie w sposób najbardziej niezrozumiały. Nikt nie wie co przyniesie jutro, ale tylko filozof szkolony w dyscyplinach naukowych potrafi odnieść się obiektywnie do tej niezrozumiałości. Na jego zachowanie się w życiu codziennym nie ma to zresztą wpływu; w tej dziedzinie należy do pospólstwa. Różni się odeń tylko tym, że nosi w sobie surowe przekonanie o bliskim końcu wszelkiego życia. Przekonanie to nie wnosi jednak nic nowego do jego codziennej egzystencji; nie przeszkadza mu w codziennych uczuciach, zainteresowaniach, oburzeniach itd. I on jest

(2) H.G. Wells. Mind at the End of its Tether. Londyn, Heinemann 1945.

przywiązany do życia, gotów raczej postawić je na kartę niż ustąpić wrogiej sile, prowadzącej go do samobójstwa. Zrodzony był z woli do życia i zginie w walce o życie'' (str. 6).

,,*Nasz* świat zbankrutował, nie zostawiając żadnych aktywów; został zlikwidowany i zbliża się do całkowitego zniknięcia z liczby rzeczy istniejących, nie zostawiając po sobie żadnych śladów. Poszukiwanie dlań jakichś przyszłych form istnienia jest bezprzedmiotowe'' (str. 17).

Testament Wellsa jest rzadko cytowany. Przypuszczać można, że czytelnicy mieli pewne trudności z jego klasyfikacją.

Tekst ten nie należy do historii ani do biologii. Jest to tekst wybitnie literacki, niemal wirgiliański, obstający uparcie — jak żaden inny — przy odrębności powołania pisarza, widzącego — *voyant,* jak mówi Rimbaud — swój świat imaginacyjny w innych proporcjach niż osoby ,,rozsądne''. Na szczycie tej fikcyjnej budowy stoi zagłada, wydystylowana do nicości absolutnej.

W wellsowskiej wizji zagłady można by dostrzec przejaw ekwiwalentów psychicznych ciężkiej choroby cukrowej, na którą autor cierpiał w ostatnich latach życia. Taka uwaga mogłaby, być może, mieć pewne znaczenie, gdyby chodziło o akt notarialny, ale nie ma żadnego sensu w odniesieniu do tekstu literackiego. Maupassant nie da się zdyskwalifikować na podstawie dostrzegalnych w jego dziełach przejawów paraliżu postępowego. Docteur Cabanès i jego *Cabinet secret de l'histoire* nie objaśniają niczego w literaturze, bo ani talenty, ani formy literackie nie rodzą się z cukrzycy i paraliżu.

Ogłoszony w 1945, testament Wellsa stoi u progu obecnego okresu czasu i jest jak gdyby pierwszym pomiarem nowego klimatu literatury. Patrząc na ten dokument literacki w szerokiej perspektywie, można by porównać postawę Wellsa z postawą Wirgiliusza. W czasach wojen i zamętu obaj podkreślali niezależność pisarza. Wirgiliusz, zwracając się do dzielących łupy zwycięzców wojny cywilnej, mówi: ,,Lecz mnie słodka miłość wzywa na wysokie pustkowia Parnasu''; zwracając się do zdezorientowanej jeszcze ludzkości, wynurzającej się z odmętów drugiej wojny światowej, H.G. Wells zdaje się mówić: ,,Odchodzę od was w nicość powszechnej zagłady''.



Nie będę przytaczał tu surrealistów, którzy wnieśli też poważny wkład do obecnego klimatu literatury. W własnym mniemaniu surrealiści byli grupą rewolucyjną, przeciwstawiającą się zdaniu większości i ,,nędznemu konserwatyzmowi człowieka''. W rewolucyjności ich jest być może trochę przesady, lecz, dla porządku, szukajmy klimatu literatury raczej u mistrzów wieńczonych przez akademie i u autorów cieszących się ogólnym uznaniem krytyki i czytelników.

Wśród mistrzów William Faulkner wyróżnia się powagą swego przedsięwzięcia. Klimat jego powieści nie jest na pewno ustępstwem na rzecz mody literackiej, lecz wynikiem własnego i rzetelnego przemyślenia. Nie wchodząc tu w ocenę całości jego bogatego dorobku, chciałbym zatrzymać się na znanej powieści *The wild Palms,* której klasyczna tematyka i budowa ułatwiają zbliżenia i porównania. Czytelnika polskiego zainteresuje zawarte w niej koszmarne polonicum, o którym niżej.

The wild Palms jest nieszczęśliwą historią dwojga kochanków. Charlotte Rittenmeyer, lat 25, porzuca męża lekarza i dwoje dzieci dla innego młodego lekarza imieniem Harry Wilbourne, z którym z Nowego Orleanu jedzie do Chicago. Historia młodego lekarza jest historią ubóstwa i oszczędności, pełną sytuacji, w których wydatek dwuch dolarów naraża go na konflikty z poczuciem honoru. System rezygnacji i oszczędności wprawia go w rodzaj chronicznego stanu osłupienia. Wszystkie próby znalezienia pracy w swoim zawodzie nie dają aż do końca powieści żadnego wyniku. Gdybyśmy brali tę powieść za dokument społeczny, musielibyśmy przyjść do wniosku, że pieniądz jest najrzadszą i najtrudniejszą do zdobycia rzeczą w Stanach Zjednoczonych. Dla ścisłości dodać wypada, że *The wild Palms* napisane były nie podczas wielkiego kryzysu, ale w siedem lat po New Deal'u.

Miłość staje się dla młodego lekarza wielkim odkryciem i pochłania go całkowicie. Kochankowie mieszkają zrazu pod Chicago, w opuszczonym domu nad jeziorem, i po wydaniu ostatniego dolara wracają do miasta. Probują tam różnych zajęć i wreszcie znajdują skromną lecz stałą pracę. W świecie Balzaca byłby to pierwszy szczebel do dalszego awansu; w świecie Faulknera jest po początek katastrofy. Dr Wilbourne uprzytomnia sobie, że przeciętna egzystencja w Chicago przyniosłaby z sobą koniec jego miłości z Charlottą. Na skutek tego odkrycia przyjmuje posadę lekarza kopalnianego w Utah, w miejscowości odciętej zimą od świata. Przy 40-stopniowym mrozie Harry i Charlotta mieszkają z administratorem kopalni w jedynym ogrzewanym pokoju, zawinięci w kożuchy. Właściciele nie zamierzają płacić robotnikom i urzędnikom kopalni, i wszyscy z niej po kolei uciekają. Kochankowie zostają znów sami, bez grosza, z kluczem do magazynu żywności. Los udaremnia tę próbę ocalenia miłości. Charlotta zachodzi w ciążę. Kochankowie jadą do Texas i tam, w wynajętym za ostatnie dolary mieszkaniu na brzegu morza, dr Wilbourne dokonuje zabiegu przerwania ciąży, zakończonego śmiercią Charlotty. Dr Wilbourne nie ucieka i zostaje aresztowany. W więzieniu odwiedza go dr Rittenmeyer, ofiarowując mu ucieczkę do Meksyku. Aresztowany odmawia. W wyniku procesu zostaje skazany na ,,nie mniej niż 50 lat ciężkich robót''. Dr Rittenmeyer odwiedza go po raz ostatni, przynosząc pastylkę cyankali, którą Wilbourne wyrzuca przez okno.

W imaginacyjnym świecie Faulknera życie ma sens tylko jako cierpienie i pokuta. Miłość jest w istocie swej grzeszna,

niosąca w sobie przyszłą karę, bądź w postaci długiej agonii w chicagowskiej *respectability*, bądź w postaci pięćdziesięciu lat ciężkich robót. Nawet jako caritas nie może ujść pokuty. Zawsze szlachetny doktór Rittenmeyer na próżno usiłuje wymknąć się z sieci; w końcu powieści autor nazywa go: „*the man who had been right always and found no peace in it*". Na szczególną uwagę zasługują stronice poświęcone odmowie awansu społecznego, jako kłamstwa przeciw prawdziwemu sensowi życia.

Praca u Faulknera jest też tylko cierpieniem i pokutą. Do tej koncepcji należy znajdujące się w powieści polonicum. W wzmiankowanej już kopalni w Utah, której urządzenie wnętrza było jak gdyby „mieszaniną fantazji Einsteina i Dantego", pracowali sami Polacy. Gdy stało się jasne, że właściciele kopalni nie zamierzają nikomu płacić, uciekli Chińczycy i Włosi. Pozostali Polacy, pracujący dzień i noc z czerwonymi od bezsenności oczami. Administrator objaśnia Wilbournowi: ,„To są dziwni ludzie; nie rozumieją nieuczciwości — *they dont understand dishonesty* — i teraz wydaje się im, że odrabiają godziny nadliczbowe".

William Faulkner, jak wiadomo, nie udziela interviewów i nie wypowiada się na bieżące tematy literackie. Natrętnych zbywa odpowiedzią, że jest farmerem, że pisze jak umie i nie zna się na literaturze. Nie ma w tym żadnego manieryzmu. Kto przemyślał do końca tego rodzaju świat imaginacyjny i ubrał go w tysiące konkretnych szczegółów, ten nie znajduje wiele do powiedzenia poza obrębem tego świata. Podobnie zachowywał się Maupassant, odpowiadając, że pisze dla pieniędzy.

Krytycy pisali o purytanizmie Faulknera, nie wiem jednak czy nalepienie na nim takiej etykietki cokolwiek objaśnia. I przed purytanami odbywano pokuty na pustyni i oczekiwano — jak Wells — bliskiego końca świata.

Zresztą klimat grzechu i pokuty znajdujemy także u innych autorów nie posiadających purytańskich przodków. W stanie stężonym znajdujemy na przykład ten klimat w *La Chute* Alberta Camusa, rzekomym opowiadaniu, w istocie zaś monologu lub kazaniu w sześciu rozdziałach. Posłuchajmy go przez chwilę:

„Żadnych wymówek dla nikogo — oto moja zasada. Zakładam to z góry: żadnych dobrych intencji, wybaczalnych błędów, poślizgnięć ani okoliczności łagodzących. Nie mam na składzie błogosławieństw ani odpuszczeń grzechów. Robię po prostu rachunek: „To kosztuje tyle. Jesteś przewrotnym draniem, satyrem, mitomanem, pederastą, artystą itd.". Sucho i rzeczowo. W filozofii i polityce uznaję za słuszne wszystkie teorie zaprzeczające niewinności człowieka; w praktyce uważam go za winnego".

Retoryka ponura, zawzięta, nienawistna, przypominająca słowa Céline'a: „Została mi tylko moja nienawiść i mój styl". Mimo odmiennej stylizacji, wiele przypomina tu Wellsa. Camus

nie ma również żadnych argumentów, jest w nim tylko niepokój, „świadomość, że coś się stało, i że życie nie będzie więcej jak przedtem". Sens i smak życia ulotniły się, pozostał tylko katzenjammer.

W *La Chute* można dostrzec pewne konsekwencje formalne ponurego tonu, w jaki wpadła literatura współczesna. Utrzymywanie w niej klimatu tak odległego od klimatu otaczającego życie wymaga uszczelnienia okien i drzwi, zamknięcia się w formach monologu i majaczenia, w którym rzadkie fragmenty rzeczywistości zewnętrznej pływają luźno jak jarzyny w consommé Julienne, w reszcie zaś w formie barokowego kazania, w którym furia słów oszołamia raczej niż przekonywa słuchacza. Céline był prekursorem, pierwszym mistrzem tych form, jakkolwiek nie oderwał się był całkowicie od recept powieści XIX wieku, ofiarowującej czytelnikowi złudzenie rzeczywistości. *La Chute* jest dalszym etapem na drodze do pisma złożonego z samych efektów retorycznych.

Ewolucja taka wydaje się nieunikniona. U autorów zamkniętych w swym majaczeniu realia tracą smak i zapach, stają się symbolami i figurami retorycznymi. U Faulknera cyankali dra Rittenmayera jest białą pastylką w aptekarskim pudełku bez firmy, gdy prawdziwe cyankali ma barwę kawy z mlekiem i z kartonowych pudełek ulatnia się szybko i niedyskretnie, wydając przenikliwy zapach. W *La Chute,* ilekroć mówca zatrzymuje się dla nabrania oddechu, w powstałej stąd pauzie ukazuje się — według klasycznej recepty Boccaccia — jakiś fragment holenderskiego krajobrazu z trzepoczącym się nad nim wysoko stadem gołębi. W istocie nie są to wcale gołębie, które tak wysoko nie latają, lecz podobne do nich mewy, wędrujące zimą na południe i znane stąd w całej Europie. Nie przyglądajmy się jednak zbyt blisko tym gołębiom i pastylkom, bo są to tylko ornamenty słowne.

Zamykając się w tych formach, literatura współczesna wypełniła się retoryką, szumem słów symbolicznych, schematyzujących. Formy związane tradycyjnie z obserwacją świata zewnętrznego zaczęły topnieć w powodzi słów. W związku z tym procesem na szczególną uwagę zasługuje *En attendant Godot,* jako próba formy odpowiadającej praktycznym wymaganiom obecnego klimatu literatury. Beckett nadał majaczeniu postać gry symboli i marionetek, przypominającą włoską commedia dell'arte.

Albert Thibaudet wywodził rodzaj powieściowy z krasomówstwa kościelnego. W *La Chute* powieść zdaje się wracać do swych odległych początków. Być może zobaczymy też odrodzenie innych starych form, z czasów gdy literatura była grą dla publiczności znawców nie wymagających, aby drukowane słowo dawało złudzenie rzeczywistości.

Rozbieżność między klimatem życia i literatury nie minęła niepostrzeżenie, jak wnoszę z następującego epizodu.

W 1946 spędziłem parę tygodni w paryskim szpitalu epidemicznym. W pawilonie moim leżeli głównie studenci, mniej lub więcej komunizujący, którym towarzysze przysyłali stosy aprobowanych przez partię periodyków literackich. Dzięki uprzejmości towarzyszy niedoli, mogłem się z tymi wydawnictwami bliżej zapoznać. Daleko im było do akademickiego tonu *Litieraturnoj Gaziety*. Większość ich miała w sobie coś naiwnie prostackiego, na poziomie felietonu literackiego biuletynu berdyczowskiego ispołkomu. Najzabawniejszej lektury dostarczył mi tygodnik *L'Action*, którego redaktorem był Pierre Hervé, w dziesięć lat później wydalony z partii za zbyt daleko idącą krytykę stalinizmu. Tygodnik jego ogłaszał wówczas wyniki ankiety przeprowadzonej wśród czytelników na temat: czy należy spalić dzieła Kafki? Ale dlaczego je palić? Redakcja motywowała to mniej więcej w ten sposób, że ponury pesymizm Kafki, będący produktem moralnego rozkładu burżuazji, rzuca cień na świetlane perspektywy, jakie roztoczył przed ludzkością geniusz Stalina. Na pytanie postawione w ten sposób ze wszystkich departamentów odezwały się ryki barbarzyńców: ,,Palić, palić!". Dopiero na samym końcu jakiś złośliwiec oświadczył, że uważa ankietę za bezprzedmiotową, bo dzieła Kafki spalili hitlerowcy; pozostało jedynie wydanie zuryskie, wątpić zaś można, aby udało się namówić Szwajcarów do spalenia go. Na tym ankietę zakończono.

Wizja płonących stosów i ryki barbarzyńców nie przestraszyły widocznie nikogo, bo Kafka pozostał, obok Dostojewskiego, ulubioną lekturą elity czytelników na Zachodzie, a ponury pesymizm objął całą literaturę, aż do jej niższych kondygnacji. *Bonjour, tristesse* wypiera dziś powieści popularne z happy end'em, ostatnio zaś czytałem, że w Genui powstało kółko młodzieży pod nazwą *Cercle Françoise Sagan*. Wśród autorów rozpoczęła się swego rodzaju licytacja: kto do pesymizmu dorzucił jakąś nową rafinację, tego akcje podnoszą się o parę kresek na rynku literackim.

◆

Osobne zagadnienia stawia klimat literatury współczesnej polskiej. Czytając *Obóz wszystkich świętych* Tadeusza Nowakowskiego lub *Pierwszy krok w chmurach* Marka Hłaski, poznaję w nich bez wahania klimat literacki Zachodu. Związki naszej literatury z Zachodem są zbyt bliskie, aby mogło być inaczej. Znacznie mniej czuję w nich klimat życia, nie zapominając bynajmniej, że klimat polski — w kraju czy w obozach uchodźców — różni się głęboko od klimatu życia na Zachodzie. Obie książki są dziełem wielkiego talentu i rzetelnego przemyślenia, słusznie chwalone przez krytykę. Drogi więc, które zaprowadziły autorów do dusznego, oderwanego od życia klimatu

literatury zachodniej, nie są zapewne przypadkowe i warte byłyby bliższego poznania.

ZBLIŻENIA I MOŻLIWOŚCI INTERPRETACJI

Wielka sztuka prosperowała zawsze w pobliżu Sądu Ostatecznego, w strefie granicznej, gdzie sprawy ludzkie się kończą, i dalej nic nie ma. W czasach radosnego wspinania się po szczeblach fortuny i honorów sztuka nie znajduje dla siebie pomyślnych warunków w obrębie potocznego doświadczenia i ucieka w daleki chociażby lecz bardziej sprzyjający jej świat wyobraźni.

Bez względu na rozpowszechnienie się czytelnictwa, wielka literatura pozostała zjawiskiem elitarnym, promieniującym w niewielkiej grupie społecznej. Dla różnych przyczyn grupa ta wzięła bardzo skromny udział w procesie wzrostu zamożności i awansu społecznego. Stąd jej odrębny klimat moralny.

Zdeklasowanie polityczne Europy, niepewność jej przyszłości i poczucie winy za błędy, które przyprowadziły do obecnej sytuacji, są najsilniej odczuwane w środowisku, z którego pochodzą pisarze i elita czytelników. Stąd ich niepokój i niska ocena człowieka, uczucia mało udzielające się ogółowi ludności, zajętemu korzystaniem z dobrobytu.

Pisarze i elita czytelników stanowią grupę najściślej związaną z losami książki, która na Zachodzie straciła swe uprzywilejowane stanowisko. Zrównana z innymi towarami, podlega drobiazgowej reglamentacji, wykonywanej przez analfabetów: jest clona od wagi, kontyngentowana, w razie trudności płatniczych jest pierwszym towarem, którego przywóz jest zakazany itd. Wielu sądzi, że po utracie prestiżu wobec państwa, książka nie zachowa go u czytelników, że posiadanie i czytanie książek przestanie być oznaką awansu społecznego, i że literatura utraci wszelkie znaczenie. Wielu autorów i czytelników odnosi wrażenie, że świat książki — to jest ich świat — zbliża się do końca. Głęboki pesymizm literatury byłby więc wyrazem kryzysu książki.

O zagadnieniach eschatologicznych mówiono zawsze najchętniej po dobrym obiedzie przy kawie i koniaku. Powszechny wzrost dobrobytu sprzyja więc być może takim rozmowom i zainteresowaniu literaturą operującą w strefie ostateczności.

Pewien socjolog amerykański zauważył, że pojęcia o moralnej wartości ograniczeń spożycia mogły powstać tylko w grupach

ludności najzamożniejszej, zagrożonej chorobami z przejedzenia, bo ludność uboga z mimowolnego postu nie wynosi żadnej satysfakcji moralnej. Idąc za tym rozumowaniem, można by przypuszczać, że — w warunkach żywiołowego wzrostu zamożności — powstanie i powodzenie literatury pesymistycznej jest też takim refleksem obronnym organizmu społecznego. Rozważanie tekstów w rodzaju przytoczonych wyżej hamuje zachłanność i skłania do refleksji, sprzyjając przez to zdrowiu moralnemu i równowadze umysłowej obywateli.

Paweł HOSTOWIEC

W oczach Conrada

(W SETNĄ ROCZNICĘ URODZIN PISARZA)

Spośród wszystkich powieści Conrada żadna chyba nie ma za sobą tak zmiennych kolei losu jak ,,W oczach Zachodu''. Gdy ukazała się po raz pierwszy w roku 1911, przeszła bez większego echa a nawet nie będzie przesadą powiedzieć, że powitano ją obojętnym wzruszeniem ramion. Po wojnie światowej weszło, na krótko, w modę cytować ją niemal na każdym kroku w artykułach na tematy rosyjskie, szczególnie w próbach wyjaśnienia i oceny rewolucji bolszewickiej; sam Conrad w przedmowie do nowego wydania z roku 1920 kwituje z zadowoleniem ten fakt jako dowód ,,jasności mego widzenia i trafności sądu''. Potem długi półmrok zapomnienia i po następnej wojnie światowej — znowu renesans; twierdzenie profesora G.D.H. Cole że ,,W oczach Zachodu'' należy do najlepszych powieści Conrada gdyż ,,występuje on tu jako tłumacz wyjaśniający jedną połowę Europy drugiej'' jest pod tym względem bardzo znamienne: oznacza bowiem, że historia prawomyślnego studenta Razumowa, który zdradził swego kolegę-terrorystę stała się czymś w rodzaju rosyjsko-zachodniego słownika psychologicznego, tym cenniejszego że ułożył go Polak z urodzenia a Anglik z wychowania i wyboru, czyli człowiek posiadający zalety swojej krwi bez jej

,,W oczach Zachodu'' ukazało się w Londynie w roku 1955 nakładem Veritasu w nowym przekładzie Wita Tarnawskiego. Z paroma drobnymi i łatwymi do usunięcia usterkami jest to przekład doskonały: oddaje prawie bezbłędnie rytm prozy Conrada, jej tajemniczą poezję i odrobinę retoryczne czasem ale nigdy puste zagęszczenie. Tarnawskiemu, który jest najwierniejszym sługą i wyznawcą Conrada na emigracji, należy się za tę nową wersję ,,W oczach Zachodu'' wdzięczność polskich conradystów. Wszystkie cytaty w tym szkicu pochodzą z jego przekładu.

wad (odziedziczone po przodkach wyczucie Rosji bez stronniczego zaangażowania narodowego) i zalety swojej umysłowości bez jej wad (obiektywizm niezaangażowania narodowego bez dziedzicznej ślepoty w sprawach rosyjskich). I jak widzieliśmy przed chwilą, Zachód sięga po ten słownik z ożywionym zainteresowaniem gdy „zagadka Rosji" budzi w nim prócz zwykłej ciekawości także niepokój.

Trzeba przyznać że Conrad zrobił wszystko, by przylgnęła doń ta rola „tłumacza wyjaśniającego jedną połowę Europy drugiej" i jeśli koleje losu jego powieści uzależniły się tak ściśle od przypływów i odpływów rosyjskiej fali historycznej, ma to w dużej mierze sobie samemu do zawdzięczenia. Od wzmianki w liście do Galsworthy'ego, z okresu pisania książki, brzmiącej jak komunikat z instytutu badawczego (*I am trying to capture the very soul of things Russian*), poprzez niepowieściowy raczej tytuł, określający z góry i z odcieniem lekcji poglądowej cel jaki sobie postawił, aż do zapewnienia w przedmowie o „obowiązku absolutnej bezstronności" nałożonym mu „przez względy historyczne i dziedziczne, przez szczególne doświadczenia narodowe i rodzinne" i do wyboru na narratora nauczyciela o dydaktycznym z natury usposobieniu — Conrad nie zaniedbał żadnego szczegółu, by przygotować publiczność do swojej misji przewodnika po psychologii Rosji.

Rzeczą niniejszego szkicu będzie wykazać, że to właśnie jest główną przyczyną koniunkturalnych wahań powodzenia „W oczach Zachodu" i głębokiej skazy artystycznej jaka przebiega przez całą historię Razumowa. W tej powieści występuje pięciu Conradów. Conrad-Polak, mimo „obowiązku absolutnej bezstronności", pełen nienawiści do Rosji, polemizujący z jej historią a zwłaszcza literaturą. Conrad-Anglik z włócznią skierowaną przeciw „bezsensownej tyranii" rosyjskiej i w przyłbicy angielskich instytucji liberalnych. Conrad-sceptyczny konserwatysta „przerażony refleksją, że wszyscy ci ludzie (galeria terrorystów z „W oczach Zachodu") nie są zjawiskiem wyjątkowym lecz powszechnym — są normalnym wytworem swego kraju, czasu i rasy. Okrucieństwo i głupota rządów autokratycznych, odrzucając wszelką praworządność i opierając się w gruncie rzeczy na zupełnej anarchii moralnej, wywołują niemniej głupią i dziką reakcję całkiem utopijnego rewolucjonizmu, który oddaje się niszczeniu nie przebierając w środkach — w tej dziwacznej wierze, że w ślad za upadkiem istniejącego porządku musi przyjść zasadnicza przemiana w sercach. Ci ludzie nie są w stanie zrozumieć, że mogą osiągnąć jedynie zmianę nazw. Zarówno prześladowcy jak prześladowani są na wskroś Rosjanami; i świat raz jeszcze przekonuje się o prawdziwości przysłowia, że „tygrys nie potrafi zmienić pręg na swej skórze ani lampart cętek". Conrad-tragiczny pesymista dla którego życie jest „złowrogą dżunglą", gardzący więc „bezsensowną rozpaczą" jako reakcją na „bezsensowną tyranię". I wreszcie Conrad-surowy moralista potępiający zdradę Razumowa w imię

rycerskiego kodeksu zasad postępowania i honoru gdyż jedynie one zdolne są uratować godność człowieka, w imię ,,konwencjonalnego sumienia'' wyszydzanego zarówno przez Razumowa jak przez przedstawicieli autokracji i terrorystów. Łatwo zauważyć że w dwóch pierwszych Conradach zaakcentowana jest najsilniej jego rola rosyjsko-zachodniego ,,tłumacza'' i przewodnika, w trzecim przekonanie o nadaremnej utopijności wszelkich rewolucji nabiera charakteru odkrycia cechy specyficznie rosyjskiej (,,kraju i rasy''), a tylko w dwóch ostatnich dochodzi do głosu w stosunkowo czystej formie ogólnoludzka i dobrze nam znana filozofia życia autora ,,Jądra ciemności'' i ,,Lorda Jima''. Taka jest linia tej skazy: Conrad miał do powiedzenia czy raczej do powtórzenia w historii Razumowa dwie lub trzy ze swoich niewzruszonych prawd uniwersalnych, lecz zamiast użyć w niej Rosji jako tła, potraktował ją jako główny temat. ,,Tłumacz'' wziął w nim górę nad pisarzem i skazał na łaskę i niełaskę aktualności historycznej książkę, która mogłaby być dziełem sztuki gdyby nie chciała być przede wszystkim podręcznikiem psychologii Rosji dla zachodniego audytorium. Innymi słowy, to co jest w tej powieści głębokie i nieprzemijające rozgrywa się w oczach Conrada i na ogół niepostrzeżenie dla oczu Zachodu; to co powierzchowne i przemijające przyciąga od czasu do czasu oczy Zachodu, ale za bardzo zależy od polskiego atawizmu przepuszczonego przez angielski filtr a za mało od bezpośredniego doświadczenia pisarskiego by potrafiło przykuć do siebie naprawdę wzrok Conrada.

W tym miejscu, zanim kurtyna odsłoni akt pierwszy naszych rozważań, krótkie intermezzo zapełni na pewno z pożytkiem pauzę milczenia jakie zaległo po prologu. Będą to fragmenty pięknej miniatury Conrada z ,,Portraits from Memory'' Bertranda Russella.

,,Ze wszystkiego co napisał najbardziej zawsze podziwiałem straszliwą opowieść, ,,Jądro ciemności'', w której słabego raczej idealistę doprowadza do obłędu potworność tropików i osamotnienia wśród dzikich. Ta opowieść wyraża, moim zdaniem, najpełniej jego filozofię życia. Mam wrażenie, choć nie wiem czy zgodziłbym się na taki obraz, że wyobrażał sobie cywilizowane i moralnie znośne życie ludzkie jako niebezpieczną przechadzkę po cienkiej skorupie ledwie zastygłej lawy, która lada chwila może pęknąć i strącić nieostrożnego w ogniste otchłanie. Miał wyostrzoną świadomość różnych form porywczego szaleństwa jakim ulegają ludzie i to właśnie dawało mu takie głębokie przekonanie o doniosłości dyscypliny. Jego punkt widzenia można by chyba określić jako antytezę Rousseau: ,,Człowiek rodzi się w okowach, lecz może się stać wolny''. Staje się wolny, powiedziałby zapewne Conrad, nie przez puszczenie luzem swoich impulsów, nie kiedy oddaje się w ręce przypadku i nie jest panem samego siebie, ale przez podporządkowanie kapryśnego popędu nadrzędnemu celowi. ,,Nie zdradzał dużego zainteresowania dla systemów politycznych, choć miał kilka silnych *uczuć* politycznych. Najsilniejsze z nich były dwa: miłość do Anglii i nienawiść do Rosji, i oba znalazły swój wyraz w ,,Tajnym Agencie''; nienawiść do Rosji, zarówno carskiej jak rewolucyjnej, przemawia z wielką siłą z kart ,,W oczach Zachodu''. Jego niechęć do Rosji była tradycyjnie polska.

Posuwała się ona tak daleko, że nie uznawał ani Tołstoja ani Dostojewskiego. Turgieniew — wyznał mi raz — był jedynym powieściopisarzem rosyjskim dla którego miał podziw.

..Poza miłością do Anglii i nienawiścią do Rosji polityka nie obchodziła go zbytnio. Interesowała go indywidualna dusza ludzka w obliczu obojętności przyrody a często także wrogości człowieka, zamieniona w pole wewnętrznych walk z namiętnościami i dobrymi i złymi które prowadzą ku zniszczeniu. Tragedie samotności zajmowały znaczną część jego myśli i uczuć".

Co uderza od razu w pierwszym Conradzie, to że jego obraz Rosji jest aż banalny w swojej tradycyjności. ,,Twarda ziemia rosyjska, martwa, zimna, nieporuszona, niby ponura i tragiczna matka z zasłoniętą twarzą". ,,Niemal fizyczne wrażenie nieskończonej przestrzeni i niezliczonych mas". ,,Święty bezwład, nieszczęsny bezmiar, skażony, mroczny ogrom". Lud rosyjski ,,wielki i nieskazitelny jak ocean". Naród na którym ,,ciąży przekleństwo". Życie Razumowa ,, stało się wielkim, zimnym pustkowiem, na podobieństwo olbrzymiej płaszczyzny całej Rosji, zasłanej śniegiem i pogrążającej się stopniowo w dookolnym mroku i mgłach". ,,Bezkresna, zimowa Rosja, którą we śnie mógł jakoś ogarnąć wzrokiem w całym jej ogromie — jakby to była mapa". ,,Pod wspaniałym bezmiarem nieba śnieg pokrywał bezkresne lasy, zamarznięte rzeki i równiny tego olbrzymiego kraju, zacierając kopce graniczne i wzniesienia gruntu, wygładzając wszystko swą jednostajną bielą — na kształt ogromnej pustej karty, co czeka na wpisanie jakiejś niepojętej historii". Co nam ta ,,karta" przypomina? Czy nie ,,Ustęp" z trzeciej części ,,Dziadów"?

Kraina pusta, biała i otwarta
Jak zgotowana do pisania karta...

Conradowski papież rewolucjonistów, Piotr Iwanowicz, ,,miał twarz typowo rosyjską — brodatą i bezkształtną, po prostu twór z ciała i włosów, pozbawiony jednego nawet charakterystycznego rysu". U Mickiewicza:

... twarz każdego jest jak ich kraina,
Pusta, otwarta i dzika równina.

Tak, nie ma wątpliwości: jest to obraz, który paroletni Conrad przechował i wyniósł pod powieką z podróży z matką do Wołogdy w ślad za zesłanym ojcem i utrwalił potem na kliszy pamięci w młodzieńczych lekturach. Wszystkie te ,,bezwłady, bezmiary i bezkresy" wyrażają trzy cechy polskiego ,,historycznego i dziedzicznego, narodowego i rodzinnego" stosunku do Rosji — nienawiść, instynktowną pogardę i instynktowny lęk.

Ale dojrzały Conrad próbował jednocześnie te uczucia zracjonalizować i zrobił to w polemice z literaturą rosyjską,

a zwłaszcza z jej dwoma olbrzymami których „nie uznawał”. W zracjonalizowanej i nałożonej na atawistyczną warstwie jego powieści usłyszymy najpierw nieustanne echa polemiki z Dostojewskim, jak odgłos kamieni bombardujących rozpaczliwie i bezradnie otchłań. Będzie to ów „brak logiki w postępowaniu Rosjan, arbitralność ich sądów, częste odchylenia od przyjętej normy i jakiś rys szczególny — rozmiłowanie w słowach: gotowi są zawsze, o każdej porze dnia i nocy, wyrzucać je z siebie z takim entuzjazmem, w tak nieokiełznanej obfitości i niekiedy tak trafnie, że — jak to bywa przy słuchaniu dobrze wyuczonych papug — niesposób oprzeć się podejrzeniu, iż nie rozumieją naprawdę co mówią”; „moralny rozkład uciemiężonego społeczeństwa, w którego łonie nawet najszlachetniejsze dążenia ludzkie, pragnienie wolności, gorący patriotyzm, umiłowanie sprawiedliwości, zmysł współczucia, a nawet wierność prostaczków wyradzają się w zaciekłą nienawiść i strach, nieodłącznych towarzyszy twardego despotyzmu”; będzie to dalej „rosyjska dusza” nietknięta przez „filozoficzny sceptycyzm”, posiadająca w sobie „coś boskiego: rezygnację”; „ojczyzna widmowych idej i odcieleśnionych dążeń; rosyjska potrzeba „wyznania wszystkiego w namiętnych słowach, które wstrząsnęłyby całą istotą człowieka, skończyłyby się łzami i uściskami, nieprawdopodobnym zespoleniem dusz jakiego świat nigdy dotąd nie widział”; będą to „wizjonerzy jako wieczyści sprawcy zła na tym świecie, gdyż ich utopie wpajają milionom miernych umysłów wstręt do rzeczywistości i pogardę dla odwiecznej logiki ludzkiego rozwoju”; będzie to — i tu ocieramy się tak blisko o „Biesy”, że czuć ich piekielny oddech — „rosyjska prostota, straszliwa rozkładowa prostota, w której mistyczne frazesy pokrywają naiwny i beznadziejny cynizm”, „cień autokracji wkradający się między każdych dwóch Rosjan”, „rosyjska prostota która dla jakiegoś górnego celu stąpa niewinnie po krawędzi cynizmu”, wszechobecność „pewnych tonów cynizmu, okrucieństwa i moralnej negacji, a nawet moralnej rozpaczy”, nieumiejętność „odróżnienia prawdy od kłamstwa” atmosfera w której „trudniej w Rosji jest pędzić życie w pracy i samozaparciu, aniżeli wyjść na ulicę i zabijać z przekonania”, „charakterystyczna cecha natur rosyjskich że choćby najbardziej pochłonięte dramatem czynu, nadstawiają zawsze uszu na szept idej oderwanych”, i wreszcie — jakby za mało było tych aluzji pośrednich i rzecz wymagała wskazania palcem — „wiara że dosyć jest ludzi gorszych od diabła, aby tę ziemię przemienić w piekło”. A trzeba chyba być naprawdę ślepym, by w „ukazie” zamordowanego przez Haldina dostojnika carskiego: „Myśl o wolności nie mieściła się nigdy w zamiarach Stwórcy. Z mnogości ludzkich sądów nie może się zrodzić nic prócz buntu i chaosu, a bunt i chaos w świecie stworzonym do posłuszeństwa i porządku są grzechem. Nie Rozum lecz Władza jest wyrazicielem boskich zamiarów. Bóg to Autokrata Wszechświata...”, by w tym „ukazie” nie rozpoznać mistrzowskiego pióra Wielkiego Inkwizytora z „Braci Karamazow”.

Trudno prawie uwierzyć, że tak bogatą ,,małą antologię Dostojewskiego dla ubogich'' można było zmieścić na kartach jednej powieści. A przecież nie mylą nas oczy. Conrad robi tu tragicznie polskie wrażenie osieroconego syna, który za zbrodnię dokonaną na jego rodzicach przez silniejszego napastnika bije z bezsilną złością pięściami w skałę skąd zbiegł napastnik, by dokonać swego złowrogiego dzieła, nie potrafiąc nawet z bólu i gniewu dobrze jej zobaczyć. Odruch wstrząsający i piszącemu te słowa — jakże bliski! Ale jego zaślepiona i niesprawiedliwa impulsywność ukaże się w całej pełni dopiero wówczas, gdy zobaczymy, że Conrada dzieliło od Dostojewskiego nie tyle spojrzenie na życie, ile pogląd jak należy chodzić ,,po cienkiej skorupie ledwie zastygłej lawy''.

Posuwając się w głąb pierwszego Conrada, odnajdziemy też w osobie ,,prawdziwego rosyjskiego jamszczyka'' Ziemianicza (wszystko w tej powieści jest ,,prawdziwie rosyjskie'') naszego dobrego znajomego Płatona Karatajewa, maleńkiego na pozór, a w gruncie rzeczy wielkiego pocieszyciela Piotra Bezuchowa z ,,Wojny i pokoju''. Ziemianicz, znowu ,,prawdziwy rosyjski człowiek'', jest dla Conrada powieściową próbką bez wartości ,,jasnej rosyjskiej duszy''. Razumow nienawidzi go z całego serca, nazywa go stale ,,bydlęciem'' i w ową fatalną noc zdrady łamie na spitym do nieprzytomności widły. Niesłusznie! Gdyż Ziemianicz jest najlepszym przedstawicielem tego co czuje w pewnej chwili sam Razumow: ,,Czym jest Haldin? Czymże ja jestem? Tylko dwoma ziarnkami piasku. Ale największa góra składa się z takich nic nie znaczących ziarenek. Śmierć jednego człowieka czy też wielu ludzi — to rzecz nieważna''. I natychmiast odzywają się echem z czwartego tomu ,,Wojny i pokoju'' słowa Tołstoja: ,,Niekiedy Piotr, zaskoczony sensem opowieści Karatajewa, prosi o jej powtórzenie. Płaton jednak nie mógł sobie nigdy przypomnieć co przed chwilą mówił, tak jak w żaden sposób nie potrafił zwykłymi słowami opowiedzieć treści swej ulubionej pieśni. Było tam: ,,rodzona, brzózka i smutno mi'', ale ujęte w zwykłe słowa, traciło to wszelki sens. Płaton nie rozumiał i nie mógł zrozumieć znaczenia poszczególnych słów, wyjętych z toku opowiadania. Każde słowo i każdy czyn były dlań przejawem nieznanej mu sprawy, którą było jego życie. Ale życie takie jakim je widział nie miało sensu jako jego życie, jako życie jednostki; miało sens wyłącznie jako część jakiejś całości i tę całość Karatajew stale odczuwał. Jego słowa i czyny wypływały z niego tak równomiernie, bezpośrednio i z taką koniecznością jak zapach który wydają kwiaty. Nie mógł pojąć ani wagi ani znaczenia czynu lub słowa rozpatrywanego w oderwaniu od całości''.

Conrad musiał się trząść z oburzenia i wstrętu, gdy czytał, że ten nędzny pyłek, dla którego życie ,,nie miało sensu jako jego życie, jako życie jednostki'', stał się źródłem odrodzenia wewnętrznego Bezuchowa. Lecz replikując na tołstojowskiego Płatona swoim Ziemianiczem, wpadł w potrzask kontradykcji

między wyobraźnią pisarza a zapamiętałością „tłumacza". Bo oto ta „jasna szeroka dusza", to bydlę, to prawdziwie rosyjskie ziarnko piasku pływające w bezkresnym rosyjskim oceanie wódki, okazuje się w końcu jedną z nielicznych w powieści postaci obdarzonych tak drogim Conradowi „konwencjonalnym sumieniem". Okoliczności jego śmierci giną na zawsze w nieprzeniknionym rosyjskim mroku, wszystko jednak zdaje się przemawiać za tym, że Ziemianicz powiesił się z rozpaczy na wiadomość o winie jaką przez swe pijaństwo ponosił za aresztowanie Haldina. Razumowa, gdy się o tym dowiedział, „zdjęła litość nad Ziemianiczem, szeroka, bezosobista litość, jaką odczuwałoby się dla nieświadomego tłumu, dla wielkiej masy ludzkiej widzianej z góry — niby społeczność mrówek pełznących pracowicie ku swemu przeznaczeniu".

Na placu zostaje więc tylko „jedyny powieściopisarz rosyjski, dla którego Conrad miał podziw". Jest to, rzecz prosta, Turgieniew z salonu Goncourtów, twórca „Ojców i dzieci", autor samego pojęcia nihilizmu, portrecista Bazarowa kanonizowanego przez Pisarewa na świętego nihilistów, Bazarowa który mówił: „nie mamy się czym chełpić poza bezpłodną umiejętnością rozumienia do pewnego stopnia bezpłodności tego co istnieje". Ale tutaj musimy się zatrzymać, by nie uprzedzać naszego spotkania z trzecim Conradem.

Najłatwiej stosunkowo rozprawić się z drugim Conradem, z Conradem ostrzeliwującym autokrację rosyjską z wyspiarskiej fortecy liberalizmu, z Conradem nadającym Zachodowi pojęcie zbyt zwężone i stanowczo nadużywającym angielskich szczudeł dla swych polskich namiętności. Jest to bowiem Conrad najmniej przekonywający, przesadnie wyniosły i świadomy luksusu własnej przynależności narodowej z wyboru, rzec by można (bez zjadliwego odcienia tego słowa) — prawie nuworisz spoglądający z wysoka na nędzarzy.

Można sobie doskonale wyobrazić krytykę autokracji rosyjskiej z takich pozycji zachodnich, które podkreślają obcość, gardzą, nie ufają, a nawet nienawidzą, nie wznosząc się mimo to w niebotyczne i nieosiągalne dla innych rejony wyższości. Jest w nich nienawiść bez arystokratycznego wywyższania się, pogarda bez pychy, obcość bez żywiołowego wstrętu, nieufność bez wiary w nieodwracalne przekleństwo historii i cech przyrodzonych, słowem — przekonanie, że narody potrafią jednak czasem w przeciwieństwie do tygrysów i lampartów zmienić pręgi i cętki na swej skórze. Dla Conrada Rosja była niczym. Kiedy Edward Garnette wytknął mu w recenzji z „Under Western Eyes" polsko-emigracyjny uraz rosyjski, ten pisarz, tak zawsze taktowny wobec przyjaciół, stracił panowanie nad sobą. W liście prywatnym do swego oskarżyciela cisnął w niego zarzutem „zrusyfikowania", nazwał go „ambasadorem rosyjskim w Rzeczypospolitej literatury", upomniał się o „skarby tkliwości" jakimi obsypał w powieści Teklę i Zofię Antonowną (do tego punktu wrócimy później) i co dalej? Czy podniósł śmiało rzucon

mu rękawice jako Polak z urodzenia i wygnaniec tyranii rosyjskiej? Nie mógł tego zrobić skoro podnóżek angielski w wierze w niezmienność i odrębność tego „niepojętego i mrocznego ogromu" kazał mu się posunąć aż do granic doradzania (za pośrednictwem angielskiego nauczyciela) Natalii Haldin by wróciła do Rosji. Oświadczył więc tylko Garnettowi twardo: „Jeśli chodzi o dyskusję na temat Rosji, jest to przedsięwzięcie z gatunku najbardziej chimerycznych, gdyż każdy może sam zobaczyć jak stoją sprawy. — Rosja jest niczym — mówił Bismarck w roku 1864 i dowiódł tego w ciągu dwudziestu lat najbardziej pogardliwej polityki w stosunku do „tego wielkiego mocarstwa". — Jest niczym. — Ci co mają oczy mogą to zobaczyć".

Pamiętam zebranie Fabian Society w roku 1948, na którym pod przewodnictwem Laskiego trzech posłów labourzystowskich zdawało sprawozdanie ze swojej podróży do Polski. „Pewnie — powiedział jeden z nich — Anglik nie mógłby żyć w takim ustroju, ale Polacy nigdy nie znali prawdziwej demokracji". Podobny ton wobec Rosji odczuwa się w drugim Conradzie z „W oczach Zachodu". Możliwe — rozmyśla narrator, nauczyciel angielski — że narody kształtowały swoje rządy, ale i rządy odpłacały im tą samą monetą. Jest nie do pomyślenia by młody Anglik znalazł się w położeniu Razumowa. A skoro tak jest, daremna to rzecz wyobrażać sobie co by pomyślał w analogicznej sytuacji. Jedynie trafne wydaje się przypuszczenie iż nie myślałby tak, jak myślał Razumow w tej przełomowej chwili swojego losu. Anglikowi brakłoby odziedziczonej i osobistej świadomości środków, jakimi historyczna autokracja zwalcza idee, strzeże swej władzy i broni swego istnienia. Niezwykłym wysiłkiem wyobraźni mógłby przedstawić sobie, że wtrącą go samowolnie do więzienia, ale chyba tylko w malignie (choć i to nie jest pewne) wpadłby na pomysł, że mógłby otrzymać chłostę i że taki sposób badania lub kary jest w ogóle możliwy". Dla ścisłości i bez najlżejszej intencji snucia niedorzecznych analogii. w dziesięć lat po napisaniu tych słów, w roku 1920, parlament angielski utrzymał w mocy prawo chłosty w wyjątkowych wypadkach tak zwanym „cat-o'-nine-tails" („kot o dziewięciu ogonach", czyli dziewięciorzemienny kańczug); młodemu Anglikowi nie trzeba więc było szczególnej wyobraźni by przedstawić sobie przynajmniej jeden szczegół autokracji rosyjskiej, gdy lew (a raczej, przy tym à propos, kot) brytyjski zmieniał powoli swoje pazury.

Ma tedy rację Natalia Haldin, zwracając się do narratora powieści: „Należy pan do narodu, który zawarł układ z losem i nie chciałby mu się narażać. Ale my jeszcze nie zawarliśmy układu. Nigdy nie ofiarowano nam: tyle i tyle wolności za tyle i tyle żywej gotówki". Innymi słowy przekleństwo historii Rosji i rosyjskich cech przyrodzonych jest nieodwracalne tylko dla tych, którzy dzięki „układowi z losem" mają szczęście należeć do narodu doświadczającego na sobie błogosławieństwa własnej historii i własnych cech przyrodzonych.

Conrad zdawał sobie chyba podświadomie sprawę z ekstremizmu tej teorii błękitnej krwi narodowej, gdyż w pewnej chwili rzuca jakby na boku przez usta swego narratora refleksję w której zabrzmi nagle nuta zawstydzenia i ludzkiej zadumy: ,,Dziwna to rzecz, że nie tylko swoboda, ale nawet zwykły liberalizm poglądów, który dla nas jest sprawą słów, naszej ambicji, czy naszych publicznych wypowiedzi (a jeśli również uczuć, to takich które nie tykają naszych najgłębszych umiłowań), może być dla innych istot, zupełnie do nas podobnych i żyjących pod tym samym niebem, ciężką próbą odwagi, sprawą łez, udręki i krwi''.

Dopiero teraz możemy wyjść na spotkanie trzeciemu Conradowi. We wspomnianym wyżej liście do Garnetta autor ,,W oczach Zachodu'' pisał piórem umoczonym w osłupieniu: ,,Czy to możliwe by pan nie dostrzegł, że w tej książce miałem na oku tylko i wyłącznie idee, że nie obchodziło mnie w niej nic innego i nie powodował mną żadnego rodzaju ukryty zamiar?'' To osłupienie było podwójnie nieuzasadnione: skatalogowaliśmy już w naszej dotychczasowej analizie powieści parę takich ukrytych zamiarów, a dalej zobaczymy także, że miał na oku przede wszystkim i jak zawsze (choć tym razem z mniej skupioną i rozpraszaną na boki uwagą) swoją główną filozofię życia. Ale pod jednym względem Conrad zarobił sobie istotnie na pewne prawo do skargi rozbrzmiewającej w pytaniu do Garnetta: w żadnej innej jego powieści idee nie zajmują tyle miejsca. A właściwie jedna idea — rewolucji. I jest jedynie jego winą, że nadając jej ciasną interpretację tworu wyłącznie rosyjskiego, obrzucając gromami ,,wiarę, że w ślad za upadkiem istniejącego porządku musi przyjść zasadnicza przemiana w sercach'', jako złudzenie ,,zmiany nazw'' możliwe tylko w świecie, w którym ,,prześladowcy i prześladowani są na wskroś Rosjanami'', osiągnął zaledwie połowiczny skutek w przekazaniu nam sugestywności i przenikliwości swoich poglądów na rewolucję.

Stendhal zauważył, że w przeciwieństwie do wszystkich innych narodów rozmyślanie ma na Niemców wpływ raczej podniecający niż kojący. ,,To prawda — dodaje Camus — ale można ją odnieść z jeszcze większą słusznością do Rosjan''. Te słowa (z wyłączeniem Niemców) nadawałyby się nieźle na motto całej części rewolucyjnej ,,W oczach Zachodu''. Trzeba by jednak dodać do nich jeszcze zdanie Pisarewa o dzieciach i wyrostkach jako największych fanatykach wraz z objaśnieniem, że Rosjanie są dzieckiem lub co najwyżej wiecznym wyrostkiem narodów.

Z całkowitym lekceważeniem podniecającego wpływu medytacji na inne narody, z prześlepieniem ,,trzydziestoletniego apostolatu krwi'' (jak go nazywa Camus), który po pierwszym terrorystycznym strzale Wiery Zasulicz do generała Trepowa wybuchnął echami zamachów w Niemczech, we Włoszech, w Hisz-

panii, w Austrii, we Francji, w Stanach Zjednoczonych (w samym tylko roku 1892 dokonano przeszło tysiąc zamachów dynamitowych w Europie i pięćset w Ameryce), Conrad zasiadł do opisywania ,,ludzi, którzy są normalnym wytworem swego kraju, czasu i rasy'', odwrócił się od wzburzonego potoku rewolucjonizmu europejskiego by utopić gniewne spojrzenie w cieniach rewolucjonistów rosyjskich, przeglądających się w Jeziorze Lemańskim i w Newie. To prawda, że dzieje ,,trzydziestoletniego apostolatu krwi'' nie notują założenia stacji misjonarskiej w Anglii, ale ostatecznie Anglia nie jest *całym* Zachodem.

Byłoby jaskrawym ,,understatement'' powiedzieć, że Conrad odmalował swoich rewolucjonistów w kolorach niechętnej ironii, jak przystało na przedstawicieli ,,utopijnego rewolucjonizmu''; w gruncie rzeczy używał jako farb do swego obrazu przeważnie żółci i jadu. Opłaci nam się parę chwil czasu, poświęconych bliższemu wejrzeniu w ten świat ,,wizjonerskiej i zbrodniczej paplaniny'' i ,,namiętności nie do nasycenia'', w ten świat pochodzący ze ,,wspólnej i spowitej złem kołyski rosyjskiej, nad którą czuwają istoty gorsze od ludojadów, wilkołaków i wampirów''. ,,Rosyjski Mazzini'' Piotr Iwanowicz, skrzyżowanie fizycznej azjatyckości Bakunina z feministyczną egzaltacją Herzena, ,,wielki autor rewolucyjnej ewangelii po omacku szukający słów, gdyż nie ma pojęcia co chce powiedzieć'', człowiek który ,,sprawiał wrażenie mnicha lub proroka, barczystego mieszkańca pustyni'' i posiadał ,,coś azjatyckiego w postaci'', pijawka wczepiona w nieszczęsną Teklę, ,,ultrarewolucjonista i apostoł feministycznej ewangelii dla całego świata'' a w rzeczywistości bezwstydny utrzymanek i ,,otyły usłużniś o byczym karku'' w stosunku do swojej ,,egerii'' pani de S. Pani de S., ,,zgalwanizowany trup z jakiejś powieści Hoffmana'', ,,starożytna wymalowana mumia o przepastnych oczach'', upiór ,,osiemnastowiecznej atmosfery skandalu, okultyzmu i szarlatanerii'', spadkobierczyni pani de Staël, z tą wszakże różnicą, że ,,despotyzm napoleoński, użyteczny dziedzic Rewolucji, który uważał tamtą intelektualistkę za wroga godnego nadzoru, był czymś zgoła odmiennym od despotyzmu w mistycznej szacie, poczętego z niewolnictwa tatarskiego podboju''. Nikita zwany Nekatorem, postrach żandarmów carskich i agentów Ochrany, legendarny ,,zabójca biurokratów, gubernatorów i nieznanych donosicieli'' — w istocie ,,kreatura tak groteskowa że na jej widok psy uliczne musiały szczekać'', ,,potworna burleska zawodowej zawiści'' o głosie przypominającym ,,pisk rozwścieczonego zwierzątka'', i jak się później dowiadujemy wzorowany na Azewie wielki mistrz terrorystów i sługa Ochrany w jednej osobie. Maleńki i pokraczny ,,geniusz inwektywy'' Juliusz Laspara, przyrośnięty krótkimi nóżkami do swego trójnogu jak czart z laboratorium alchemika. Zofia Antonowna, ,,prawdziwy duch niszczycielskiej rewolucji'' o ,,siwych włosach i czarnych mefistolesowskich brwiach''. Zapewne, są i wyjątki, ale jakie! Tekla, ,,dobra samarytanka z nieprzepartego powoła-

nia'', ofiara ofiar tyranii i rewolucji. Wiktor Haldin, który zą swoje ,,posępne i mętne rojenia'' zapłacił życiem: ,,bo w każdym razie to zakończone życie było uczciwe, myśli tego człowieka mogły być szlachetne, moralne cierpienia głębokie, zaś jego ostatni czyn prawdziwą ofiarą''; w stosunku do niego jednego Conrad zdobywa się na tę samą nutę zakłopotania, którą pamiętamy z jego refleksji o ,,zwykłym liberalizmie jako ciężkiej próbie odwagi, sprawie łez, udręki i krwi'', pisząc że ,,nie przystoi nam, statecznym kochankom, nasyconym już posiadaniem zdobytej wolności, potępiać bez zastrzeżeń gwałtowności tamowanego pragnienia''. I wreszcie Natalia Haldin, ofiara swego czystego, ufnego i naiwnego serca.

Z tymi trzema wyjątkami (motyw ofiary w obu postaciach — ,,sacrifice'' i ,,victim'' — spełnia w nich funkcję jedynego rozgrzeszenia) świat rewolucjonistów rosyjskich opisany jest w ,,Under Western Eyes'', z owym niezrównanym conradowskim darem wydobywania niesamowitości i grozy, jako ponura spelunka rzezimieszków, którą przez dziurkę od klucza podgląda ,,stara ustatkowana Europa''. Choć nie, istnieje jeszcze jeden wyjątek i to bardzo znamienny. Na mgnienie oka w Zofii Antonownie pojawia się ,,L'Homme Révolté'', rozsadnik najgłębszego ogólnoludzkiego instynktu rewolucyjnego. ,,Tak, Razumow — mówi to kobiece wcielenie ,,ducha niszczycielskiej rewolucji'' o ,,siwych włosach i czarnych mefistofelesowskich brwiach'' — życie, by nie było nikczemne, musi być buntem, bezlitosnym nieustannym buntem''. Razumow ,,spojrzał na jej siwiznę i ten ślad wielu niełatwych lat wydał mu się tylko świadectwem niezwyciężonej mocy buntu — jak gdyby w swej rewolucyjnej pielgrzymce odkryła ona tajemnicę nie wiecznej młodości, lecz wiecznego wytrwania''. Ale natychmiast potem: ,,Jak ona *nierosyjsko* wygląda — pomyślał. Matka jej mogła być Żydówką albo Ormianką, czort zresztą wie kim''.

Gdy się po przeczytaniu tego wszystkiego zagląda do krótkiej historii rosyjskiego ruchu rewolucyjnego w książce Camusa niesposób opanować uczucia żalu do Conrada za jego niesprawiedliwość. ,,Byli to ludzie — pisze o rewolucjonistach rosyjskich Camus — najwyższych *zasad:* ostatni w dziejach buntu którzy nie odepchnęli żadnej części swej doli człowieczej lub swego dramatu... Historia zna mało przykładów fanatyków dręczonych przez skrupuły — nawet w akcji. Ale ludzie 1905 roku byli zdani ciągle na pastwę wątpliwości. Największym hołdem jaki możemy im złożyć jest stwierdzenie, że nie potrafilibyśmy im postawić w roku 1950 ani jednego pytania, którego sobie sami nie postawili i na które w swoim życiu lub swoją śmiercią częściowo nie odpowiedzieli''. Kaliajew, zabójca Wielkiego Księcia Sergieja, trzymał przed zamachem w jednej ręce bombę a drugą robił znak krzyża; w celi odrzucił religię i odmówił przyjęcia przed egzekucją ostatniej pociechy. Dla Dory Brylant program anarchistyczny nie miał żadnego znaczenia — akcja terrorystyczna nabierała sensu jedynie dzięki ofierze jakiej żądała od terro

rysty; ,,terror — twierdził Sawinkow — ciążył na niej jak krzyż''. Pierwszy zamach na Wielkiego Księcia Sergieja nie udał się gdyż Kaliajew, z pełną zgodą towarzyszy, odmówił zabicia dzieci jadących w książęcym powozie. Sawinkow sprzeciwił się zamachowi na Admirała Dubasowa w expresie Moskwa-Petersburg z obawy o życie pozostałych pasażerów. Żeliabow, który zorganizował zamach na Aleksandra II w roku 1881, został aresztowany na czterdzieści osiem godzin przed akcją i zażądał stracenia go wraz z prawdziwym sprawcą; wzniesiono pięć szubienic, jedną dla kobiety którą Żeliabow kochał, Zofii Perowskiej; Perowskaja ucałowała przed śmiercią jego i dwóch jeszcze skazańców, ale odwróciła się od Rysakowa, który załamał się na śledztwie. Kaliajew zakończył na rozprawie sądowej swoje ostatnie słowo okrzykiem: ,,Uważam moją śmierć za najwyższy protest przeciw światu krwi i łez!'' Przeciw temu właśnie światu krwi i łez, nad którym raz jeden tylko zadumał się ,,zwykły liberał angielski'' z powieści Conrada. Sazonow, autor zamachu na ministra Plehwe, odebrał sobie w więzieniu życie, ,,by zarobić na szacunek dla swoich towarzyszy''.

,,Byli to ludzie — ciągnie Camus — którzy morderstwo uważali za konieczne i niewybaczalne''. Po nich przyjdą inni, ,,pożerani tą samą wiarą co ich poprzednicy, a jednocześnie przeciwni ich sentymentalnym metodom i odrzucający zasadę, że życie każdego człowieka jest warte tyle samo co życie jego bliźniego. Wyniosą oni abstrakcyjną ideę nad życie ludzkie, choćby nawet nazywali ją historią, przed którą z góry ukorzyli się sami i postanowili arbitralnie ukorzyć wszystkich''. Ale będą to już czasy Szigalewa z ,,Biesów'' który ,,wyszedłszy z założeń absolutnej wolności, doszedł do absolutnej niewoli''; czasy półprototypa conradowskiego Piotra Iwanowicza, Bakunina, który zaczął od nadziei urzeczywistnienia całkowitej wolności poprzez całkowite zniszczenie, aby ,,stopniowo dojść do wniosku, że dla stworzenia niezniszczalnego społeczeństwa trzeba je oprzeć na polityce Machiavellego i metodach jezuitów: ciału tylko gwałt, duszy tylko oszustwo''. Conrad odczuwał (choć, co prawda, zupełnie błędnie jeśli chodzi o chronologię i mechanizm wypadków), podskórną groźbę tych czasów, gdy kazał swemu narratorowi powiedzieć w rozmowie z Natalią Haldin: ,,W prawdziwej rewolucji najlepsze charaktery nie wysuwają się na czoło. Żywiołowa rewolucja wpada z początku w ręce ciasnych fanatyków i tyrańskich hipokrytów. Potem przychodzi kolej na wszystkich pretensjonalnych bankrutów umysłowych epoki. Tacy są jej wodzowie i kierownicy. Zechce pani zauważyć, że pominąłem zwykłych łotrów. Natury sumienne i sprawiedliwe, szlachetne, ludzkie i ofiarne, jednostki nieegoistyczne i inteligentne mogą rozpocząć ruch, ale potem wymyka im się on z rąk. To nie są przywódcy rewolucji. To są jej ofiary: ofiary rozczarowania, niesmaku, często wyrzutów sumienia. Wykoślawione i zdradzone nadzieje, skarykaturowane ideały — oto definicja rewolucyjnego zwycięstwa''. Razumow, pełen ledwie powściąganej nie-

nawiści do ,,nosicieli iskry (aluzja do ,,Iskry'' Lenina?) mającej wywołać wybuch, który by wstrząsnął podstawami bytu milionów ludzi po to aby Piotr Iwanowicz mógł zostać głową państwa'', sięga jeszcze głębiej: ,,W tym naszym świecie niczego nie można zmienić — ani szczęścia, ani niedoli. Można je tylko przestawiać z miejsca na miejsce kosztem zdeprawowanych sumień i złamanych żyć — bezpłodna zabawa dla aroganckich filozofów i krwiożerczych błaznów''. Ta przenikliwa choć za ostra uwaga nie ma jednak nic wspólnego z rosyjskością czy nierosyjskością instynktu rewolucyjnego — wyraża tylko fatalizm i tragizm ogólnoludzkiego ,,nieustannego buntu'' — i w niczym też nie umniejsza wielkości ,,wiecznego wytrwania''. Tutaj po raz pierwszy i jedyny rozlega się prawdziwy głos Conrada, pesymistycznego i tragicznego piewcy męstwa lub słabości samotnego człowieka ,,w tym naszym niezmiennym świecie''. Lecz niestety usłyszymy go niezbyt wyraźnie — tak jest zagłuszany przez zaciekłe filipiki herolda konserwatyzmu angielskiego i dziecka losu zgotowanego Polsce przez Rosję.

Biedny Sazonow nie ,,zarobił'' więc u autora ,,W oczach Zachodu'' na ,,szacunek dla swoich towarzyszy''. Jakże to? — zaoponuje ktoś. — A czy Wiktor Haldin nie jest jednym z nich, jednym z ,,ludzi 1905 roku''? Nie. Na tle conradowskiej spelunki terrorystyczno-rewolucyjnej z jednej strony, a wysokich walorów intelektualnych rosyjskiej odmiany ,,L'Homme Révolté'' z drugiej, Wiktor Haldin jest sympatycznym chłopcem z okresu dojrzewania i można go bez żadnych skrupułów zbyć uwagą, jaką Conrad zrobił na temat Heysta w ,,Zwycięstwie'': ,,Młodzieniec nauczył się rozmyślać, co jest procesem niszczycielskim i oznacza robienie rachunków kosztów''. Haldin zginął jednak, niestety, zanim jego rozmyślanie wyszło ze stadium ząbkowawia. ,,Jak myślicie — pyta Razumowa — kim jestem? Istotą zbuntowaną? Nie. To wy, myśliciele, żyjecie w ciągłym buncie. Ja jestem jednym ze zrezygnowanych''.

Jaki rezultat tego wszystkiego? Nie tylko rusofilski Garnett, ale daleki od rusofilstwa V.S. Pritchett pisze: ,,Conrad był reakcjonistą; stary despotyzm i nowy utopizm stanowiły dla niego dwie formy uzupełniające anarchii moralnej. Ich owocem jest cynizm, większy stopień despotyzmu, większa ilość zniszczenia; i do takiego poglądu doszło już, jakkolwiek niechętnie, wielu. Ale Conrad był reakcjonistą ,,zakutym''; nie spróbował nigdy wniknąć w sens prądu rewolucyjnego; nienawidził rewolucji rosyjskiej jak mógł jej nienawidzić jedynie Polak, który od namiętności dnia był już odległy o całe pokolenie; jego nienawiść uczepiła się przeszłości i tak pozostała na zawsze''. A przecież w tym twierdzeniu jest tyleż częściowej tylko prawdy, ile zawiera jej na przeciwnym biegunie powierzchowna wiara Cole'a w Conrada jako ,,tłumacza wyjaśniającego jedną połowę Europy drugiej''; i trzeba oczyścić zamulone dno tej powieści by zobaczyć dopiero co się na nim pod pokładami to antyrosyjskości, to arcypolskości, to arcyangielskości kryje.

Stawiając sprawę tak jak ją postawił ,,W oczach Zachodu'', Conrad popełnił dwa błędy. Przez pozbawienie ,,nieustannego buntu'' znamion ,,plastycznego kształtu i określonego aspektu intelektualnego'' (jak powiada angielski posiadacz oczu Zachodu), przez odebranie mu cech uniwersalnych na rzecz specyficznie rosyjskiego cynizmu i głupoty, stracił okazję tym głębszego i sugestywniejszego podkreślenia swego słusznego przekonania o nadaremności i zgubnych skutkach utopijnego rewolucjonizmu *mimo* że rodzi się on w wielkich umysłach i sercach; przez uporczywe naciąganie swojej filozofii do rosyjskiego monopolu ,,kraju, czasu i rasy'' stworzył wrażenie niejednorodności i artystycznego przerysowania całej powieści (Gide, który w ,,Journal'' nazwał ,,W oczach Zachodu'' ,,książką mistrzowską'', krzywił się jednak — za lekko! — na ,,nadmiar świadomości Conrada w ciągłości rysunku'', na ślady ,,zbyt wielkiego wysiłku'', na brak dezynwoltury, nie dość przekonywującą ironię, dłużyzny i rozproszenie).

Czwartego i piątego Conrada możemy omówić razem, gdyż w stosunkowo najczystszej postaci reprezentują autora ,,Jądra ciemności'' i ,,Lorda Jima''.

,,Bezsensowna rozpacz'' jako reakcja na ,,bezsensowną tyranię''! Dlaczego bezsensowna? Jakaż rozpacz jest sensowna lub bezsensowna? Natalia Haldin mówi (i jej słowa są mottem powieści): ,,Wolność wzięłabym z każdej ręki, jak człowiek głodny chwyta kawał chleba''. A więc nawet z ręki ,,zbrodniczego idealisty'' i ,,żałosnego idioty'' jak z myślą o wszystkich rewolucjonistach określa czerwononosego studenta petersburskiego Razumow. Tutaj zaczyna przez pokłady mułu prześwitywać prawdziwe dno. Rosja, rewolucja, to tylko synonimy ,,złowrogiej dżungli'': człowiek chodzi po niej samotny, zrozpaczony, głodny, gotów jest chwycić kawał chleba z każdej ręki, rzuca dokoła siebie niespokojne spojrzenia, to stąpa ostrożnie, to znowu biegnie nieprzytomnie w głąb, nie zawsze pamiętając że ma pod nogami cienką skorupę ledwie zastygłej lawy. Biada mu, jeśli słaby idealizm pęknie w nim pod naporem potworności tropików i osamotnienia wśród dzikich; po dwakroć biada, jeśli puści luzem swoje impulsy, odda się w ręce przypadku, przestanie być panem samego siebie, nie podporządkuje kapryśnego popędu nadrzędnemu celowi. Mamy prawo się dziwić, że poddaje się czasem rozpaczy? Nie jest to jednak rozpacz bezsensowna. Jest to rozpacz nieunikniona, a więc tragiczna. Otacza go przecież — dalej, za dżunglą! — nieśmiertelny conradowski ocean: ,,wielkie, zimne pustkowie, zasłane śniegiem i pogrążające się stopniowo w dookolnym mroku i mgłach'', ,,ogromna pusta karta''.

Może na tej karcie wpisać coś własnego i ratującego jego zagrożoną godność, gdyż człowiek, choć rodzi się w okowach, staje się niekiedy wolny. Musi jednak mieć przynajmniej ,,konwencjonalne sumienie'', *przynajmniej* takie sumienie jakie mieli ludzie 1905 roku wierzący, że ,,życie każdego człowieka jest war-

te tyle samo co życie jego bliźniego''. Nie jest rzeczą przypadku, że Razumow (typowy przedstawiciel wspomnianych przez Russella conradowskich ,,tragedii samotności'', śniący raz, że ,,brnie przez zaspy śnieżne w tej Rosji, gdzie był niemniej samotny od każdego ze zdradzonych autokratów'', człowiek w związku z którym Conrad powie, że ,,żadna ludzka istota nie mogłaby znieść na stałe normalnego osamotnienia'', ,,sam wśród świata'') pisze z Genewy swój pierwszy raport dla Ochrany w cieniu pomnika Jana Jakuba Rousseau. I zapewne ta scena ożyła w pamięci Russella, gdy określił filozofię Conrada jako anytezę Rousseau. Jest to istotnie scena symboliczna: ,,wygnany pomnik autora ,,Umowy społecznej'' królował z ponurą nieruchomością bronzu nad schyloną głową Razumowa'', zdradzającego innych ludzi i odczuwającego przy tym ,,gorycz samotności''. I jeszcze: ,,— Może takie właśnie jest życie — myślał Razumow, przechadzając się tam i z powrotem pod drzewami wysepki, sam na sam z bronzowym posągiem Jana Jakuba Rousseau. — Sen i lęk''.

Zanim wszakże Razumow przystąpił do wywiązania się ze swoich genewskich obowiązków donosiciela, chwycił go skurcz wahania stłumiony natychmiast okrzykiem: ,,Czy podobna abym miał konwencjonalne sumienie?'' Na tym właśnie polega jego klasycznie conradowski dramat: do chwili swego ,,pokajania'', wywołanego bardziej może miłością do Natalii niż przekonaniem o moralnej nieodzowności tego kroku, nie miał konwencjonalnego sumienia. Skądże je miał mieć, skoro wpadł w ukryte sidła własnej logiki? ,,Zdradzić. Wielkie słowo. Cóż to jest zdrada? Mówi się że człowiek zdradza swój kraj, swych przyjaciół, swą kochankę. Ale najpierw musi istnieć jakaś więź moralna. Bo właściwie człowiek może zdradzić tylko swoje sumienie. A gdzież tu wchodzi w grę moje sumienie? Jakie więzy wspólnych wierzeń czy wspólnych przekonań zmuszają mnie, abym się dał wciągnąć w przepaść temu fanatycznemu idiocie? Wprost przeciwnie — obowiązek prawdziwej odwagi popycha mnie w inną stronę''.

W tych słowach i w ich następstwach mieści się skaza, jeśli nie wręcz pęknięcie artystyczne bohatera ,,W oczach Zachodu''. Dotąd wszystko było jasne i conradowskie: podstawiwszy pod Rosję ocean, żywioł lub bezlitośnie obojętną przyrodę, a pod rewolucję złowrogą dżunglę lub cienką skorupę ledwie zastygłej lawy, otrzymywaliśmy obraz niebezpieczeństw jakie czyhają na słabego człowieka walczącego z namiętnościami i dobrymi i złymi, które prowadzą ku zniszczeniu. Ale rzecz w tym, że Razumow, podobnie jak jego daleki kuzyn Raskolnikow, nie jest wcale człowiekiem słabym, przeciwnie — jest człowiekiem silnym; i jeśli zdradza Haldina a wraz z nim ,,konwencjonalne sumienie'' to nie ze słabości i tchórzostwa, lecz dlatego, że wie dobrze gdzie go popycha jego siła, niekonwencjonalne sumienie i ,,obowiązek prawdziwej odwagi''. Podobnie jak Raskolnikow wstrętnej pluskwy-lichwiarki, nienawidzi rewolucji, i z własnego punktu widzenia (a do pewnej granicy, do granicy nienaru-

szalności przykazań ,,nie zabijaj'' i ,,nie zdradzaj'', także z punktu widzenia Dostojewskiego i Conrada) mają obaj rację, broniąc swojej przyszłości — jeden przed niezawinioną nędzą, drugi przed ,,bezprawnymi mocami'' rewolucji. Sęk jednak w tym, że trzeba by czytać utwór Conrada z takimi samymi uczuciami nienawiści i obrzydzenia do rewolucji, z jakimi pisał go autor, by utożsamić ją z pluskwą-lichwiarką; a to jest, przynajmniej dla piszącego te słowa, niemożliwe. Żeby tę myśl wyrazić nieco jaśniej: problem moralny jest w obu powieściach analogiczny, ale podczas gdy w ,,Zbrodni i karze'' zło pchające do niewybaczalnej zbrodni musi się wydawać czytelnikowi obiektywne, w ,,Under Western Eyes'' jest ono co najmniej — i to bardzo delikatnie mówiąc — subiektywne aż do rażącej i niesprawiedliwej przesady. Stąd Raskolnikow ma moc przekonywania, a Razumow jej nie ma.

Conrad twierdzi, że ,,potraktował Razumowa z sympatią''. W moich uszach to zapewnienie brzmi jak eufemizm. Do pewnej granicy (którą określiliśmy wyżej) Razumow jest *porte-parole* Conrada w poglądach na rewolucję. Dlaczegóż miałoby być inaczej? Już samo nazwisko predestynuje go do roli jedynego *rozumnego* człowieka wśród ludzi zasługujących chyba tylko na kaftany bezpieczeństwa. Lecz kto nie ma tych co Conrad uprzedzeń do rewolucji, kto bez zaślepienia i nieubłaganej twardości potrafi dostrzec w niej także pewną wielkość i szlachetność, musi od pierwszej chwili patrzeć na tego rozumnego młodzieńca z głęboką antypatią. Gide wyczuwa trafnie, że ,,W oczach Zachodu'' jest powieścią o zgubnych konsekwencjach niekonsekwencji bohatera. Największym błędem filozoficznym i artystycznym Conrada jest to, że nie wiadomo z absolutną jasnością kiedy ta niekonsekwencja następuje: czy kiedy Razumow chce najpierw dopomóc Haldinowi w ucieczce, czy kiedy idzie w Petersburgu zdradzić go, czy kiedy pędzi na zebranie rewolucjonistów w Genewie żeby się ,,pokajać''. W każdym razie conradowski zdrajca pozostaje do końca wierny swojej nienawiści do rewolucjonistów i do spowiedzi pcha go nie odkrycie moralnej nikczemności i niewybaczalności zdrady, lecz moralna duszność wywołana miłością do siostry zdradzonego. Może dlatego składa prawie równocześnie dwa sprzeczne oświadczenia: w spowiedzi listownej przed Natalią pisze ,,jam niezależny i dlatego jestem *skazany na zgubę''*, na zebraniu u Laspary krzyczy: ,,Dziś po raz pierwszy od kiedy znalazłem się wśród was uzyskałem pewność *bezpieczeństwa* i oto dziś sam wyzwoliłem się z kłamstwa, z wyrzutów sumienia, stałem się niezależny od kogokolwiek na tej ziemi''.

Jego bezpieczeństwo jest złudne, u Conrada trzeba płacić bez nadziei odkupienia. Nasz szkic dobiegł końca, pożegnajmy więc dwóch młodych ludzi. W ,,małym, dwupokojowym, drewnianym domku na skraju jakiejś lichej mieściny południowo-rosyjskiej, ukrytym za wysokim parkanem z desek, z podwórzem zarośniętym pokrzywami'', dogorywa wolno za narusze-

nie praw moralnych ,,konwencjonalnego sumienia'' rozumny człowiek Conrada — ,,zniedołężniały, chory, z każdym dniem słabszy'', głuchy i odcięty na zawsze od świata. Jego daleki kuzyn, rozumny człowiek Dostojewskiego, odbywa w tym czasie na dalekiej Syberii karę za naruszenie boskiego prawa moralnego dziesięciu przykazań, czytając ze łzami w oczach ewangelię.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Wiersze

SROCZOŚĆ

Ten sam i nie ten sam szedłem przez las dębowy
Dziwiąc się, że muza moja, Mnemozyne,
Nic nie ujęła mojemu zdziwieniu.
Skrzeczała sroka i mówiłem : sroczość,
Czymże jest sroczość ? Do sroczego serca,
Do włochatego nozdrza nad dziobem i lotu
Który odnawia się kiedy obniża
Nigdy nie sięgnę a więc jej nie poznam.
Jeżeli jednak sroczość nie istnieje
To nie istnieje i moja natura.
Kto by pomyślał, że tak, po stuleciach,
Wynajdę spór o uniwersalia.

NIE WIĘCEJ

Powinienem powiedzieć kiedyś jak zmieniłem
Opinię o poezji i jak to się stało,
Że uważam się dzisiaj za jednego z wielu
Kupców i rzemieślników Cesarstwa Japonii
Układających wiersze o kwitnieniu wiśni,
O chryzantemach i pełni księżyca.

Gdybym ja mógł weneckie kurtyzany
Opisać, jak w podwórzu witką drażnią pawia
I z tkaniny jedwabnej, z perłowej przepaski
Wyłuskać ociężałe piersi, czerwonawą
Pręgę na brzuchu od zapięcia sukni,
Tak przynajmniej jak widział szyper galeonów
Przybyłych tego ranka z ładunkami złota;
I gdybym równocześnie mógł ich biedne kości
Na cmentarzu, gdzie bramę liże tłuste morze,
Zamknąć w słowie mocniejszym niż ostatni grzebień
Który w próchnie pod płytą, sam, czeka na światło

To bym nie zwątpił. Z opornej materii
Co da się zebrać? Nic, najwyżej piękno.
A wtedy nam wystarczyć muszą kwiaty wiśni
I chryzantemy i pełnia księżyca.

NAUKI

Od tamtej chwili, kiedy w domu o niskich okapach
Doktór z miasteczka przeciął pępowinę
A pleniły się w sadach szczawie i lebiody,
Gniazda dla kropkowanych białą pleśnią gruszek,
Byłem już w rękach ludzi. Mogli przecie zdławić
Mój krzyk pierwszy, nacisnąć swoją wielką dłonią
Gardło bezbronne, budzące ich czułość.
Od nich przejąłem nazwy ptaków i owoców,
W ich kraju zamieszkałem, nie zanadto dzikim,
Nie zanadto uprawnym, z łąką, ornym polem,
I wodą na dnie czółna w gąszczu za stolarnią.

Ich nauki znalazły co prawda granicę
We mnie samym a wola moja była ciemna,
Mało posłuszna moim albo ich zamiarom.
Inni, których nie znałem, czy tylko z imienia,
Stąpali we mnie i ja, przerażony,
Słyszałem w sobie skrzypiące pokoje
Dokąd się nie zagląda przez dziurkę od klucza.
Nic nie znaczyli dla mnie Kaźmierz ni Hrehory
Ani Emilia ani Margareta,
Ale każdą ich skazę i każde kalectwo
Musiałem sam powtórzyć. To mnie poniżało,
Że gotów byłbym krzyczeć: Wy, odpowiedzialni,
Przez was nie mogę zostać kim chcę, tylko sobą.

Słońce padało w książce na grzech pierworodny.
I nieraz, kiedy huczy w trawach popołudnie,
Wyobrażałem sobie dwoje, z moją winą,
Jak depczą osę pod rajską jabłonią.

MISTRZ

Mówią, że moja muzyka jest anielska.
Że kiedy słucha jej Książę
Jego twarz, zakryta, łagodnieje.
Z żebrakiem wtedy dzieliłby się władzą.
Wachlarz damy dworu jest nieruchomy,
Dotyk atłasu nie przywodzi myśli nieskromnych a miłych
I obce, jak w przepaści, ziębną pod fałdą kolana.

Każdy słyszał w katedrze moją Missa Solemnis.
Ja gardła dziewcząt z chóru świętej Cecylii
Przemieniłem w instrument który nas wywyższa
Ponad to czym jesteśmy. Umiem odjąć pamięć
Długiego życia mężom i kobietom,
Aż w dymach nawy stoją przywróceni
Rankom dzieciństwa, kiedy kropla rosy
I krzyk z gór były prawdą świata.

Wsparty na lasce o zachodzie słońca
Podobny mogę być ogrodnikowi,
Który wyhodował duże drzewo.

Nie trwoniłem lat kruchej młodzieńczej nadziei.
Mierzę co dokonane. Tam w chmurze jaskółka
Minie, i wróci nowa swoim skośnym lotem.
U studni zabrzmią kroki, ale innych ludzi.
Pługi zaorzą las. Tylko flet i skrzypce
Będą pracować jak im nakazałem.

Nikt nie wie jak płaciłem. Śmieszni. Oni myślą,
Że dostaje się darmo. Przebija nas promień.
Chcą promienia, bo to im pomaga w podziwie.
Albo wierzą w baśń gminną. Raz w cieniu pod olchą
Objawił się nam demon, czarny jak sadzawka,
Dwie krople krwi utoczył ukłuciem komara
I odcisnął na wosku pierścień z ametystu.

Grają niezmiennie sfery niebios i planety.
Ale chwila pamięci jest niepokonana.
W środku nocy powraca. Kto trzyma pochodnie,
Że co było tak dawno dzieje się w jasności?

Żal, już daremny, o każdej godzinie
Długiego życia. Jakie piękne dzieło
Zdoła okupić uderzenia serca
Żywej istoty i komu wystarczy
Uczynki wyznać, które trwają wiecznie?

Kiedy stare i siwe pod szalem z koronką
Palce nurzają w wodzie kropielnicy,
Zdaje mi się, że mogłaby być jedną z nich. Te same jodły
Szumią, i płytką falą mieni się jezioro.

Kochałem jednak moje przeznaczenie.
I gdybym cofnął czas, czy wybrałbym uczciwość
Nie potrafię odgadnąć. Linia losu nie wie.
Czy Bóg chce, żebyśmy gubili duszę,
Bo tak ma tylko dar nieskazitelny?

Mowa aniołów! Nim wspomnisz o Łasce
Bacz, abyś innych i siebie nie zwodził.
Co z mego zła powstało, to tylko prawdziwe.

KRÓL POPIEL

Nie były to zapewne zbrodnie tak jak nasze.
Chodziło o czółna drążone w pniu lipy
I o bobrowe skórki. Władał nad moczarem
Gdzie dudni łoś w księżycu kwaśnych szronów
I rysie idą wiosną na schnące ostrowy.

Jego częstokół, dworzyszcze i wieżę
Płetwami nocnych bogów pozlepianą
Widział za wodą z ukrycia myśliwiec
Nie śmiejąc łukiem rozchylić gałęzi.
Aż jeden wrócił z wieścią. Wiatr pędził po toni
Chwiejnie, w sitowia, największą łódź, pustą.

Myszy zjadły Popiela. Koronę z diamentem
Dostał później. I jemu, odtąd zniknionemu,
Który miał w skarbcu trzy monety Gotów
I laski bronzu, jemu, który odszedł
Gdzie, nie wiadomo, z dziećmi, z kobietami,
Lądy i morza oddał Galileo,
Newton i Einstein. Aby długie wieki
Na swoim tronie nożem wygładzał sulicę.

Czesław MIŁOSZ

Archiwum polityczne

Niemiecki cul-de-sac

Jest rzeczą zdumiewającą że w zachodnich Niemczech owemu ,,cudowi gospodarczemu'' — nie odpowiada choćby najskromniejsza ,,cudowność'' w polityce. To tak, jakby inny naród budował gospodarkę a inny prowadził politykę. Ci sami ludzie, którzy, jak długo mowa o produkcji przemysłowej, chodzą po ziemi i wykazują heroiczne cnoty realizmu — z chwilą gdy zwrócą się twarzą ku Wschodowi zaczynają fantazjować.

,,Emigracyjność'' zachodnio-niemieckiej polityki można scharakteryzować następującym schematem. Istnieją w tej chwili trzy koncepcje polityki niemieckiej:

a) dwa państwa niemieckie — czyli stabilizacja stanu obecnego;
b) sfederalizowanie obu republik i neutralizacja;
c) zjednoczenie na warunkach Bonn i pełna realizacja programu rewizjonistycznego.

Tym trzem koncepcjom niemieckim odpowiadają trzy koncepcje polskiej polityki:

a) stabilizacja stanu obecnego;
b) Polska w środkowo-wschodnim europejskim pasie neutralnym;
c) Polska à la 1939 rok z Wilnem, Lwowem i Ziemiami Odzyskanymi — mocarstwowa i nie neutralna.

Na nasze dobro musimy zapisać, że poparciem emigracji jako całości cieszy się nie koncepcja c), lecz koncepcja b). Koncepcja c) ma jedynie wartość akademiowo-propagandową i w gruncie rzeczy nikt jej poważnie nie traktuje. 90% emigrantów zdaje sobie bowiem sprawę iż koncepcja c) jest całkowicie nierealna.

Do września 1939 roku istniały dwa państwa o potencjalnych możliwościach wielkiej polityki wschodnio-europejskiej. Mam na myśli Rosję i Niemcy. Dziś należy stwierdzić obiektywnie, że tysiącletnia niemiecka polityka wschodnia leży w gruzach.

Wielowiekowy ,,Drang nach Osten'' został ukoronowany operacją ,,Barbarossa'' (kryptonim planu Hitlera likwidacji ZSSR). Jeszcze dziś w roku pańskim 1957 na łamach pism i periodyków fachowych — toczy się w Niemczech dyskusja nad ,,super-pytaniem'': czy narody Związku Sowieckiego byłyby poparły armie niemieckie gdyby Trzecia Rzesza podjęła wówczas sztandar wyzwoleńczej krucjaty? Wielu wybitnych specjalistów jak Otto Bräutigan, Gerhard von Mende, Hans Herwarth czy Theodor Oberländer — reprezentują tezę, że niemiecka polityka wschodnia przegrała w owych latach wojennych swą największą dziejową kartę. Cytowani autorzy uważają za pewnik, że istniała wówczas możliwość sojuszu między Niemcami a narodami Związku Sowieckiego — sojuszu zwróconego przeciwko tyranii Kremla.

W mojej opinii trudno byłoby znaleźć bardziej klasyczny przykład niemieckiej polityczno-historycznej fantasmagorii jak owe rozważania na temat ,,wyzwalania'' ludów Rosji. Ci sami sztabowcy, którzy dziś uważają, że należało ludy Rosji wyzwolić spod tyranii Stalina — nie umieli wyzwolić własnego narodu spod tyranii Hitlera. Nie umieli, a w dziewięćdziesięciu wypadkach na sto — nie chcieli. Teza panów Bräutiganów i Gerhardów — że wyzwoleńczą krucjatę niemiecką na Wschodzie storpedował jeden człowiek — Adolf Hitler — jest totalnym nonsensem.

Trzeba również stwierdzić, że w historycznym aspekcie niemiecka polityka okupacyjna w Rosji w istocie swej nie stanowiła novum. Tylko w szczegółach polityka ta była bardziej hitlerowska niż tradycyjnie niemiecka. W gruncie rzeczy była to odwieczna pruska polityka ucisku i wyzysku tylko wyjaskrawiona i podniesiona do potęgi. Całość operacji ,,Barbarossa'' — stanowiła ostatni wprawdzie, ale najpotężniejszy zryw klasycznego ,,Drang nach Osten''. Podejmując tę operację Niemcy dali dowód, iż ich wiara w metody i ,,ideologię'' Drangu pozostała niezachwiana. Mniemali natomiast, że pożądany rezultat przyniesie nie zmiana metody lecz wielokrotne zwiększenie sił. To nie tylko Hitler wierzył w tradycyjną ,,metodologię'' Drangu. Wierzyły w nią kolejne pokolenia Niemców aż po Stalingrad.

Doskonałym dowodem fałszywości legendy o ,,Dolchstoss'ie'' zadanym przez Hitlera rzekomej wyzwoleńczej krucjacie niemieckiej jest fakt, że po upadku polityki Drangu — powstała próżnia. Niemcy nie mają do dziś dnia nawet teoretycznego programu zastępczego. Mają tylko rewizjonistów i to wszystko.

Można by przypuszczać, że po tak bezprzykładnej katastrofie wielowiekowej polityki wschodniej — Niemcy dojdą wreszcie

do wniosku, że ich koncepcja wschodnia wymaga radykalnej reorientacji.

Obiektywny obserwator musi jednak stwierdzić, że Niemcy zachodnie nie mają żadnej koncepcji. W prasie zachodnio-niemieckiej jednego dnia czytamy o „Dolchstoss'ie" zadanym przez Hitlera „wyzwoleńczej" polityce niemieckiej w Rosji — a drugiego dnia czytamy nieprzytomne rewizjonistyczne wystąpienia pod adresem Polski. Innymi słowy ludy Rosji miały być wyzwalane — Polska natomiast ma być parcelowana.

Siódmy rok wychodzi w Niemczech miesięcznik pod charakterystycznym tytułem: „Der Europäische Osten". W piśmie tym — utrzymanym na wysokim poziomie — ukazało się w ubiegłych latach wiele wybitnych artykułów. „Der Europäische Osten" nie jest pismem oficjalnym i mogłoby wystąpić z nową koncepcją niemieckiej polityki wschodniej.

Cóż po siedmiu latach studiów i rozważań ma do powiedzenia cytowany niemiecki miesięcznik? W lipcowym numerze „Der Europäische Osten" czytamy między innymi: „Trwała niemiecko-polska przyjaźń byłaby tylko wówczas możliwa gdyby sami Polacy uwolnili się od sowieckiego daru Danaów i następnie wszczęli rokowania z Niemcami na temat przyszłości obu narodów" (str. 409).

Czytając tego typu wypowiedzi trudno oprzeć się wrażeniu, że Niemcy Zachodnie w dalszym ciągu nie rozumieją ani własnej sytuacji, ani sytuacji na Wschodzie Europy.

Istnieją w Niemczech dwa typy rewizjonizmu. „Ziomkowski" — szowinistyczny, krzykliwy oraz intelektualny i „ideologiczny".

Przed przewrotem październikowym w Polsce — „ideologiczny" rewizjonizm niemiecki starał się oprzeć na bazie wspólnego frontu antykomunistycznego. Wszystkie próby nawiązania kontaktu z polską emigracją nosiły charakter antykomunistycznej solidarności. „Ideologiczni" rewizjoniści wyobrażali sobie, że antykomunistyczni Polacy chętnie zapłacą ziemiami nad Odrą i Nisą za wyzwolenie. W owym okresie w Polsce był Bierut i Bezpieka — a w Niemczech obowiązywała doktryna Adenauera postulująca zjednoczenie Niemiec drogą nacisku na Związek Sowiecki.

Trzeba stwierdzić, że nawet wówczas, kiedy Październik wydawał się nieprawdopodobną mrzonką — „ideologiczni" rewizjoniści niemieccy nikogo nie pozyskali z polskiej emigracji.

Niemiecka polityka rewizjonistyczna a wraz z nią niemiecka polityka wschodnia — z każdym miesiącem ulega procesowi ufikcyjnienia. W pewnych kołach zachodnio-niemieckich łudzono się, że Stany Zjednoczone i Rosja będą konkurować i licytować się wzajemnie w walce o pozyskanie zjednoczonych Niemiec. Optymiści dawali dyskretnie do zrozumienia, że w pewnym momencie — Rosja chcąc zjednać sobie opinię niemiecką — wysunie propozycję rewizji granicy na Odrze i Nisie. Oczywiście, że w takiej sytuacji, Ameryka nie chcąc tracić karty w grze — musiałaby

również opowiedzieć się za rewizją tej granicy. Ale to wszystko było bardzo dawno temu.

Amerykańska polityka niemiecka w teorii jest maksymalistyczna. Zakłada zjednoczenie Niemiec poprzez ogólno-niemieckie wolne wybory a definitywne uregulowanie granicy na Odrze i Nisie uzależnia od postanowień mitycznej nieco konferencji pokojowej.

Jeżeli wysuwa się program co do którego wiadomo, że na drodze pokojowej jest nie do zrealizowania (a wojnę się wyłącza) — w praktyce oznacza to politykę zmierzającą do utrzymania status quo. Program amerykański w stosunku do Niemiec — mimo swego oficjalnego maksymalizmu — jest czysto defensywny i mieści się bez reszty w ramach ultra-defensywnego NATO.

A jak wygląda niemiecki program sowiecki?

Po ostatniej wizycie Chruszczowa w wschodnich Niemczech — główne punkty tego programu nie budzą już wątpliwości. Moskwa rozpatruje problem niemiecki w perspektywie długofalowych planów. Przywódcy sowieccy nie zgodzą się na kompromisowe czy jakiekolwiek inne rozwiązanie kwestii niemieckiej — nim pierwszy punkt tego programu nie zostanie w pełni zrealizowany. Chodzi w tym wypadku o rozbudowę i wzmocnienie pozycji Niemiec wschodnich tak na wewnątrz jak i na zewnątrz. Rosja domaga się uznania rządu wschodnio-niemieckiego i przyznania mu identycznego statutu jak Niemiec zachodnich.

Program sowiecki przewiduje sfederalizowanie dwóch państw niemieckich, które w ramach proponowanego związku zatrzymałyby w pełni swą odrębność. Krokiem wstępnym na tej drodze musiałoby być uznanie przez Bonn komunistycznego rządu wschodnio-niemieckiego. Propozycje przewidują również utworzenie Rady Ogólno-Niemieckiej jako organu doradczego.

To nie są warunki łatwe do przyjęcia. Ale jaka jest alternatywa? Alternatywy nie ma żadnej — jest tylko możliwość kontynuowania stanu obecnego. W czyim interesie leży kontynuowanie stanu obecnego? Na pewno nie w interesie niemieckim. Jeżeli już, to w polskim. Każdy rok, który mija, umacnia nas na Ziemiach Odzyskanych i wyposaża polskie władanie w najistotniejszą z wszystkich sankcji — w sankcję czasu.

Wydawałoby się więc, że polskie i niemieckie interesy są totalnie sprzeczne i nie do pogodzenia. Jest jednak istotny punkt w którym interesy nasze są zbieżne. Punkt ten dotyczy właśnie oceny obecnego stanu rzeczy w Europie środkowo-wschodniej.

Trzeba postawić sprawę jasno i bez niedomówień. W interesie Polski leży zmiana obecnego układu w Europie środkowo-wschodniej ponieważ jak długo trwa ten układ Polska nie ma żadnych szans wydobycia się spod jednostronnego dominującego wpływu Rosji. Leżałoby więc w naszym bezpośrednim interesie, gdyby zjednoczenie Niemiec poprzez federalizację — doprowadziło w dalszych konsekwencjach do wycofania się Rosjan

z Europy wschodniej, a Amerykanów z kontynentalnej Europy zachodniej. Zneutralizowane Niemcy i kraje Europy wschodniej rozdzielałyby wówczas oba super-mocarstwa światowe — co niewątpliwie zwiększyłoby niepomiernie perspektywy pokoju.

Choć to jest ów cel optymalny do jakiego w obecnym układzie światowym możemy dążyć — nie jesteśmy jednak gotowi za osiągnięcie tego celu zapłacić każdej ceny. Mając do wyboru kontynuację stanu obecnego, lub Polskę w europejskim pasie neutralnym bez Ziem Odzyskanych — wypowiadamy się jednomyślnie za kontynuacją stanu obecnego.

Innymi słowy, zmiana status quo w Europie środkowo-wschodniej leży tak w polskim jak i w niemieckim interesie pod warunkiem, że przez zmianę układu Niemcy rozumieją zjednoczenie obu republik a nie realizację programu rewizjonistycznego.

Lecz owa warunkowa wspólnota interesów dotyczy również wspólnego niebezpieczeństwa.

W współczesnym świecie istnieje właściwie tylko jedno zagadnienie epokowe, a mianowicie problem bomby wodorowej. Ponieważ wojna atomowa byłaby katastrofą niewymierną, logiczny i ludzki wydaje się wniosek, że żadne — najsłuszniejsze nawet racje polityczne nie mogłyby jej usprawiedliwić. Propaganda sowiecka od wielu lat idzie po tej linii. Związek Sowiecki nie wysuwa żadnych nowych żądań terytorialnych jako wstępnego warunku w negocjacjach rozbrojeniowych. Przeciwnie, przywódcy sowieccy podkreślają stale, że ewentualnych postulatów politycznych nie należy łączyć z problemem atomowym.

Trzeba obiektywnie stwierdzić, że żadna z tez propagandy sowieckiej nie znajduje takiego oddźwięku wśród społeczeństw świata zachodniego jak owa akcja atomowo-pokojowa. I trudno się dziwić, że tak jest. Porozumienie w sprawie międzynarodowej kontroli broni atomowych — umocniłoby pokój na dziesiątki a może na setki lat. Porozumienie tego typu mogłoby być wstępem na drodze wiodącej do rządu światowego. „Żelazna Kurtyna" straciłaby wszelki sens. Przed przemysłami Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii otwarłyby się nieograniczone rynki zbytu w Chinach i w państwach bloku wschodniego z Rosją włącznie.

A teraz zapytajmy z kolei co owe rajskie perspektywy przełożone na język realnej polityki oznaczałyby dla Polaków i Niemców? Ów pokój i „prosperity" Amerykanów, Anglików, Rosjan i innych wybranych nacji — dla narodów środkowo-wschodniej Europy oznaczałby utrwalenie — być może na stulecia — obecnego status quo. Wówczas należałoby porzucić wszelkie nadzieje.

W tym miejscu szlachetnie usposobiony Czytelnik — być może wysunie następujący zarzut: „Czyż nie jest megalomanią i egoizmem narodowym posuniętym do aberacji, odrzucać szansę powszechnego pokoju i szczęścia ludzkości tylko dla tego, że

my, Polacy, pragnęlibyśmy nieco innego układu w Europie środkowo-wschodniej?''

By uniknąć tego rodzaju zarzutu należy sprawę całkowicie wyjaśnić.

Nie wybieramy pomiędzy kataklizmem wojny wodorowej a powszechnym pokojem i szczęściem ludzkości. Jest oczywiste, że gdyby taki wybór stanął przed nami, należałoby opowiedzieć się za pokojem nawet, jeżeli ów pokój przekreślałby nasze wolnościowe i polityczne dążenia. Nie ma bowiem racji politycznej czy narodowej, która mogłaby usprawiedliwić kataklizm wojny atomowej. Uczciwy człowiek nie może w tej sprawie mieć żadnej wątpliwości.

Wybór jednak nie sprowadza się do alternatywy: wojna atomowa czy pokój. Wybór dotyczy innego zagadnienia, a mianowicie, czy należy zgodzić się na międzynarodową kontrolę zbrojeń atomowych w oparciu o polityczny status quo, czy też, zgodę na ową kontrolę uzależnić od przyjęcia przez Sowiety pewnych konkretnych postulatów politycznych.

Musimy pamiętać o tym, że jeżeli kiedykolwiek dojdzie do ustanowienia międzynarodowej kontroli atomowej — epoka polityki współczesnej dobiegnie kresu. Tym samym, linia podziału świata zostanie zamrożona. Z tej przyczyny jest rzeczą wprost niewymiernej wagi by światowy układ polityczny, który ma ulec atomowej stabilizacji — był możliwie najkorzystniejszy, gdyż później żadnych ,,poprawek'' nie będzie można ani zgłaszać, ani przeprowadzać.

Problem powyższy rozpatrywany z punktu widzenia interesów środkowo-wschodnio-europejskich ma jeszcze jeden ważny aspekt.

Tak Rosja jak i Ameryka — a więc główni i decydujący aktorzy tego widowiska — są niepomiernie mniej zainteresowani korekturami europejskiego systemu politycznego — niż my. Sprawa zjednoczenia Niemiec w perspektywie światowej polityki amerykańskiej czy rosyjskiej — stanowi ważny szczegół lecz niemniej tylko szczegół.

W moim przekonaniu nie sprawy obecnego układu politycznego stoją na przeszkodzie w uzgodnieniu stanowisk Waszyngtonu i Moskwy w odniesieniu do problemu kontroli atomowej. Istotną przeszkodą jest obopólna nieufność. Z całą pewnością nie Bułganinowi i nie Eisenhowerowi przypadnie historyczna rola podpisania atomowej karty świata. Ci ludzie osobiście sobie nie ufają i nigdy, w dostateczny sposób, ufać sobie nie będą. Mimo to, w moim zrozumieniu — dojdzie w przyszłości do ustanowienia międzynarodowej kontroli atomowej. Amerykanie nie są ani imperialistami ani militarystami. Ich mentalność cechuje realizm i pragmatyzm. Dlatego, wcześniej lub później, dojdą do wniosku, że jeżeli Rosji nie można pobić należy się z nią ułożyć. W perspektywie dwudziestu czy trzydziestu lat porozumienie amerykańsko-rosyjskie uważam za niepomiernie bardziej prawdopodobne niż wojnę atomową.

Chruszczow i stara gwardia przywódców sowieckich należy do pokolenia, które wierzy w mit komunistycznego uniwersalizmu. Ale za dziesięć czy dwadzieścia lat nawet w Rosji ludzie dojdą do wniosku, że problemy społeczno-gospodarcze rozwiązywać można rozmaicie — nie koniecznie według sowieckiego wzorca.

Amerykanie nie mają żadnych ambicji przywodzenia ludzkości. Tak więc, gdy Rosjanie pogodzą się z myślą, że kapitalizm — wykorzystując w pewnej mierze metody marksizmu (interwencjonizm państwowy, planowanie itp.) — idzie odrębną drogą rozwoju — odpadną zasadnicze przeszkody międzynarodowego porozumienia. Z chwilą gdy obie strony dojdą do wniosku, że ideologiczny uniwersalizm — obojętne w jakim wydaniu — jest mrzonką — „wiek ideologii" zemrze nareszcie naturalną śmiercią ku niewypowiedzianej uldze 90% bez-ideologicznej ludzkości.

W chwili gdy piszę te słowa (ostatnia dekada sierpnia), mocarstwa zachodnie wysunęły propozycję sugerując zawieszenie doświadczeń z bronią atomową na dwa lata. Wszystkie znaki na ziemi i na niebie wskazują, że jest to posunięcie czysto propagandowe. Między innymi jest to ukłon pod adresem opinii publicznej tak w Ameryce jak w Wielkiej Brytanii — która coraz uporczywiej domaga się wstrzymania doświadczeń atomowych jako zagrażających zdrowiu obecnych i przyszłych pokoleń ludzkości.

Gdyby pod wpływem nacisku opinii publicznej (tudzież opozycji, która powyższe hasło włączyła do swego programu) — mocarstwa zachodnie obecnie — czy za kilka lat — zgodziły się zawiesić na dwa lata doświadczenia z broniami atomowymi — sprawa byłaby przypieczętowana.

Skłonny jestem przypuszczać, że po upływie dwóch lat wznowienie tych doświadczeń nie byłoby po prostu możliwe. Dziś próbny wybuch bomby wodorowej w Rosji czy w Stanach Zjednoczonych nie wpływa bezpośrednio na zaostrzenie stosunków między Wschodem a Zachodem. Jednostronne podjęcie tych doświadczeń po dwu latach „atomowego pokoju" byłoby manifestacją, której natychmiastowy rezultat wyraziłby się niebezpiecznym zaostrzeniem sytuacji międzynarodowej. Klucz atomowy spoczywałby wówczas w rękach Sowietów. Bo jeżeli Rosja po upływie owych dwóch lat nie podjęłaby doświadczeń — Zachód decydując się na taki krok musiałby wziąć na siebie cały ciężar moralnej odpowiedzialności związanej z tą inicjatywą. Dla demokratycznego rządu ciężar ów mógłby się okazać ponad siły.

•

Przedmiotem naszych rozważań nie jest problem kontroli atomowej. Pragnąłem tylko wykazać, że choć pełnokrwisty światowy układ atomowo-rozbrojeniowy jest niewątpliwie muzyką

dalekiej przyszłości — to jednak atomowe ,,zawieszenie broni'' może nas zaskoczyć.

Układ taki w sensie politycznym oznaczałby zamrożenie status quo. Granice uległyby petryfikacji. Polityka nacisku, demonstracji siły itp. — przeszłyby do historii.

Lecz to jeszcze nie wszystko. Jeżeli koncepcje ,,pasa neutralnego'' — powiedzmy dla przykładu, uważamy za sugestię realną to tylko dla tego, że sądzimy iż zneutralizowanie i spacyfikowanie całych Niemiec — wzmogłoby bezpieczeństwo Związku Sowieckiego i Stanów Zjednoczonych. Oczywiście jeżeli Związkowi Sowieckiemu powiedzie się zwiększyć wydatnie swoje bezpieczeństwo na drodze niewymagającej ewakuacji z Europy środkowo-wschodniej — to koncepcja ,,pasa neutralnego'' tego samego dnia stanie się mrzonką. Nie tylko ,,pas neutralny'' ale i zjednoczenie Niemiec odłożone zostanie wówczas ad acta na czas nieograniczony. Nie ulega wątpliwości, że tego rodzaju rozwiązanie byłoby dla Rosji najkorzystniejsze.

Kanclerz Adenauer w czasie swej wizyty w Stanach Zjednoczonych uzyskał zapewnienie, że Waszyngton nie położy swego podpisu pod ostateczny układ rozbrojeniowy dopóki Sowiety nie wyrażą swej zgody na zjednoczenie Niemiec. Cytowane zapewnienie nosiło charakter osobisty i nie będzie wiążące ani dla następcy prezydenta Eisenhowera ani dla następcy kanclerza Adenauera.

Całkowity i finalny układ rozbrojeniowy, to jest pomnik który — być może — zbuduje dopiero następne pokolenie. Nasze pokolenie z dość zmiennym szczęściem pracuje nad formami tak zwanego ,,partial disarmament agreement''. Ten częściowy i prowizoryczny układ rozbrojeniowy nie jest uzależniony od jakichkolwiek postulatów politycznych. Niemniej ów częściowy układ gdyby został zawarty, wzmógłby niewątpliwie bezpieczeństwo Związku Sowieckiego wytrącając równocześnie Zachodowi główne atuty przetargowe w ewentualnym negocjowaniu zjednoczenia Niemiec i nowego układu w Europie środkowo-wschodniej.

Wniosek z powyższych rozważań można wysnuć tylko jeden z chwilą kiedy bronie atomowe zostaną poddane choćby częściowej kontroli a próby atomowe zostaną czasowo zawieszone — na zjednoczenie Niemiec i reorganizację Europy Wschodniej może być praktycznie biorąc — za późno.

Obserwując sowiecką taktykę w rokowaniach rozbrojeniowych trudno oprzeć się wrażeniu, że Rosja gra na zwłokę. Moskwa nie traci bowiem nadziei, że w budowie nowych broni atomowych — na pewnym odcinku wyprzedzi Stany Zjednoczone i wówczas będzie mogła rokować nie na zasadzie równości, lecz z pozycji siły. Oczywiście w takiej sytuacji postulaty polityczne wysuwane przez Zachód utraciłyby wszelkie pozory realizmu.

Gdyby Rosji powiodło się zbudować pocisk atomowy o zasięgu międzykontynentalnym — z całą pewnością usiłowałaby ,,sprzedać'' powstałe w ten sposób bezpośrednie zagrożenie

Ameryki za koncesje w Europie. Najbardziej upragnioną z tych koncesji jest ewakuacja wojsk i baz amerykańskich za Ocean.

Dramat naszych czasów w dużej mierze polega na tym, że o ile nowe odkrycia, czy suma postępu technologicznego w Rosji wzmaga natychmiast ofensywność polityki sowieckiej — o tyle nowe odkrycia czy postęp technologiczny w Ameryce nie znajdują żadnego odbicia w polityce Stanów Zjednoczonych. Amerykanie nie umieją własnego potencjału siły przekładać na język polityki.

W sumie, należy stwierdzić co następuje. Prawdopodobieństwo, że Stany Zjednoczone będą zarówno mogły jak i chciały użyć nacisku by wymusić na Rosji zjednoczenie Niemiec — jest równe zeru. Układ rozbrojeniowy w bliżej nieokreślonej przyszłości, wydaje się bardziej prawdopodobny niż światowa wojna atomowa. Można uznać za pewne, że jeżeli w ogóle rozbrojenie jest postulatem realnym — to tylko i wyłącznie na drodze układów częściowych. Byłoby nonsensem przypuszczać, że któregoś dnia zawarty zostanie generalny układ rozbrojeniowy. Natomiast za kilka czy kilkanaście lat może dojść do atomowego „zawieszenia broni". Układ taki nie będzie obejmował żadnych postulatów politycznych.

Jeżeli powyższe rozumowanie jest słuszne, należy w konsekwencji stwierdzić, że zarówno postulat zjednoczenia Niemiec jak i postulat neutralizacji Europy środkowo-wschodniej — są koncepcjami o ograniczonym czasokresie ważności.

Nim przejdziemy do dalszych wniosków należy wyjaśnić punkt następujący. Czytelnik — zwłaszcza krajowy — nie obznajomiony z planami neutralizacji Europy wschodniej — odnosi się ze zrozumiałą nieufnością do problemu zjednoczenia Niemiec. „Kultura" wychodzi z następujących założeń. Do zjednoczenia wcześniej czy później z całą pewnością dojdzie. Pytanie więc brzmi — nie, czy Niemcy będą zjednoczone, tylko — kiedy będą zjednoczone. Czy zostaną zjednoczone wówczas, kiedy Niemcy zachodnie będą już w pełni uzbrojone — czy zostaną zjednoczone obecnie, kiedy de facto są jeszcze rozbrojone. Narzucenie uzbrojonym Niemcom statutu neutralnego i związanej z tym międzynarodowej kontroli zbrojeń mogłoby się wówczas okazać niewykonalne.

Jak długo Niemcy są podzielone nie może być mowy o stabilizacji w Europie. Z drugiej strony, zjednoczone i uzbrojone Niemcy stanowiłyby zagrożenie dla Polski i pokoju światowego. Jedynym wyjściem jest Niemcy zjednoczyć i zneutralizować. Nie ma innego rozwiązania problemu niemieckiego, który gwarantowałby pokój i bezpieczeństwo.

Z polskiego punktu widzenia zjednoczenie i neutralizacja Niemiec posiadają istotne znaczenie również i z innego względu. Bez zjednoczenia i neutralizacji Niemiec nie może być mowy o realizacji szerszej koncepcji, a mianowicie, o utworzeniu bloku państw neutralnych w Europie środkowo-wschodniej.

Niemcy zachodni są tak odizolowani od Polski i innych krajów Europy wschodniej, że — przy charakterystycznym dla nich braku wyobraźni — nie zdają sobie zupełnie sprawy z rozwoju sytuacji. Antyrosyjskość wschodnich Europejczyków oceniają prostacko i naiwnie jako niemal proniemieckość.

,,The Manchester Guardian'' korespondencje swego wysłannika z wschodniego Berlina, który słuchał przemówienia Chruszczowa — zatytułował jednym słowem: ,,Hatred'' (nienawiść). Nawet we wschodnim Berlinie Chruszczow nie umiał ukryć — typowej dla współczesnego pokolenia Rosjan — nienawiści do Niemców. A cóż dopiero można by powiedzieć o Polakach.

Istnieją tylko dwie realne polityki. Polityka siły i polityka akomodacji. Przykładem dojrzałej, realistycznej polityki akomodacji jest polityka i postawa narodu polskiego. Patrząc jednak na postawę Niemców trzeba stwierdzić, że bezprzykładna klęska, jaką ponieśli, w niczym nie urealniła ich sposobu myślenia. Niemiecka polityka wschodnia, której treścią jest program rewizjonistyczny — stanowi politykę siły za którą nie stoi siła. Polityka ta podsyca znakomicie nieufność i nienawiść wschodnich Europejczyków do Niemców — nie przynosząc poza tym żadnych konkretnych rezultatów.

Niemiecka polityka wschodnia jest do odbudowania ale wymagałoby to całkowitej re-orientacji tak metod jak i celów. ,,Drang nach Osten'' i rewizjonizm należą do epoki polityki siły i imperializmu. Niemcy nie mają żadnych szans stania się atomowym super-mocarstwem na wzór Rosji czy Stanów Zjednoczonych. Z tej sytuacji winny wyciągnąć realistyczne wnioski.

Polityka akomodacji jest trudna. Nikt tego nie wie lepiej niż my. Ale tak dla nas jak i dla Niemców to jest jedyna realna droga.

Jedno jest pewne. Amerykanie nie wprowadzą Niemców do Wrocławia i ,,American Boys'' dla ,,niemieckiego'' Gdańska umierać nie będą. Niemiecką wschodnią politykę odbudować mogą tylko sami Niemcy.

Program realny w moim zrozumieniu musiałby obejmować następujące punkty: 1) Odzyskanie zaufania narodów wschodniej Europy a w szczególności Polaków przez oficjalne odcięcie się od wszelkich roszczeń rewizjonistycznych. 2) Zawarcie z Polską układu dotyczącego odszkodowań na wzór układu jaki rząd w Bonn zawarł z Izraelem. 3) Uznanie rządu wschodnich Niemiec i wszczęcie rokowań zmierzających do sfederalizowania obu republik niemieckich. 4) Wysunięcie postulatu neutralizacji Niemiec i krajów Europy Wschodniej przy równoczesnej ewakuacji wojsk amerykańskich z kontynentalnej Europy zachodniej a wojsk sowieckich z Europy wschodniej.

Powyższy program skonfrontowany z mentalnością i obecną polityką Bonn wydaje się wręcz fantastyczny. Zupełnie podobnie jak fantastyczna wydaje się polityka Gomułki skonfrontowana z polityką pewnych ośrodków emigracyjnych, które uwa

żają, że jedynie wojna atomowa może przywrócić Polsce „należne jej granice" — wskutek czego młodzież emigracyjna winna kształcić się wojskowo. A przecież w obecnej sytuacji realna jest polityka Gomułki a nie tych emigracyjnych generałów.

Gdyby Niemcy zachodnie podjęły program naszkicowany powyżej — Waszyngton musiałby uaktywnić swe stanowisko w odniesieniu do Niemiec i Europy wschodniej — co otwarłoby drogę do korzystnego kompromisowego rozwiązania.

Federalizacja obu republik niemieckich bez neutralizacji i ewakuacji wojsk sowieckich z Europy wschodniej — jest propozycją dla Bonn nie do przyjęcia. Natomiast federalizacja przy równoczesnej ewakuacji Amerykanów z kontynentu Europy zachodniej a Rosjan z Europy wschodniej — stwarzałaby zjednoczeniowe perspektywy, które w przyszłości mogą się nie powtórzyć.

Rosji nikt nie wyprze siłą ani z Niemiec ani z Polski. Ewakuacja może być tylko wynegocjowana na drodze kompromisu. Z państw środkowo-wschodniej Europy jedynie Niemcy zachodnie mają możliwość podjęcia wstępnej inicjatywy po tej linii.

Niemcy nie mają żadnych szans stania się organizatorem „przedmurza". Mogłyby jednak stać się współ-inicjatorem nowego systemu środkowo-wschodnio-europejskiego i odegrać w jego ramach poważną i pozytywną rolę.

Korespondent francuski, opisujący przełom październikowy w Polsce — chcąc wyrazić podziw dla politycznej dojrzałości Polaków — napisał, że zachowali się jak nie Polacy. Czy ktoś napisze kiedyś o współczesnych Niemcach, że zachowali się jak nie Niemcy?

Juliusz MIEROSZEWSKI

Moskwa, Pekin i Europa

Lato 1957 r. — usunięcie Mołotowa i Malenkowa, udany eksperyment sowiecki z dalekosiężnym pociskiem kierowanym — może pozostać w powojennej historii politycznej równie pamiętne jak sierpień 1953.

Wówczas, ogłaszając o zbudowaniu bomby wodorowej, Rosja zrównoważyła przewagę militarną Stanów Zjednoczonych, tym samym niwecząc w zarodku hasło „wyzwolenia", przy którego wtórze Eisenhower i Dulles gotowali się do objęcia kierownictwa polityki amerykańskiej. Dzisiaj powodzenie eksperymentu sowieckiego zaczyna przekreślać i strategię systemu atlantyckiego i kierunek wynikającej z niej dyplomacji.

Ale równocześnie z doraźnym wyprzedzeniem Ameryki przez Rosję w wyścigu zbrojeniowym doszło do ujawnienia walki o władzę na Kremlu i do zarysowania się niezależnej pozycji ideologicznej komunistycznych Chin. Jeżeli dwa rosyjskie sukcesy atomowe — 1953 i 1957 — są zwrotnymi punktami okresu powojennego, to trzecim, równie ważnym, składnikiem obecnej sytuacji jest także pierwsza w dziejach interwencja Chin w sprawy europejskie jaką jesienią ubiegłego roku było przestrzeżenie Moskwy przed zdławieniem Polski.

W ślad za tym, przemówienie Mao Tse-tunga na temat ,,wewnętrznych sprzeczności dyktatury proletariatu'' stało się pierwszą w dziejach interwencją chińską w dziedzinie ideologicznej, będącą dotychczas domeną wyłącznie europejską.

Trafnym symbolem dzisiejszego położenia byłby obraz przedstawiający zażartą walkę przedstawicieli dwóch frakcji partyjnych, toczącą się w sali, gdzie umieszczono aparaturę uruchamiającą międzykontynentalne pociski kierowane. Jest to walka ciągle jeszcze nierozstrzygnięta i trzeba przyjąć, że w najbliższym czasie świat może żyć pod grozą jej nieobliczalności. Na dalszą jednak metę rozwój sytuacji będzie zależeć od tego, jak długo utrzymają się *przesunięcia* przyniesione przez ostatnie miesiące: czasowe — prymatu zbrojeniowego z Ameryki do Rosji, stałe — komunistycznego prymatu ideologicznego z Moskwy do Pekinu. Gdyby szybko przywrócono pełną równowagę w pierwszym wypadku, tym większego znaczenia nabrałaby trwałość drugiej zasadniczej zmiany.

Uzyskanie przez Związek Sowiecki bomby wodorowej rozbiło powojenny układ świata, oparty na wierze w rozstrzygające znaczenie amerykańskiej przewagi wojskowej. Stąd zrodziła się próba wprowadzenia w życie postanowień Paktu Atlantyckiego i rozbudowania armii europejskiej, ale także, jako dalsze logiczne następstwo, i konferencja genewska. Obie bowiem strony szybko zrozumiały że wojna będzie dla nich tylko sumą strat. Głośnemu oświadczeniu Eisenhowera o ,,konieczności pokoju'' odpowiada tu przyjęcie przez Rosję doktryny ,,pokojowego współżycia''.

Nieuzyskanie jednak zasadniczego rozwiązania sporów i powrotu do wyraźnego podziału świata wpływa na podjęcie przez Amerykę próby odzyskania przewagi dzięki szybkiemu stworzeniu baz lotniczych otaczających terytorium sowieckie. Pierścień baz nie jest już jednak tym samym co monopol bomby atomowej; pozwala na pakt wschodnio-azjatycki, na doktrynę ,,powstrzymania'' postępów komunizmu, nawet na obecną doktrynę Eisenhowera na Bliskim Wschodzie, lecz nie wystarcza na powrót do hasła ,,wyzwolenia''; w drastycznej sprawie węgierskiej zmusza do zadowolenia się wyłącznie moralnym potępieniem i akcją psychologiczną obliczoną na grupę tak zwanych państw neutralnych.

Ograniczenie swobody ruchów dwóch wielkich mocarstw likwiduje wojny lokalne. Rosja nie śmie skorzystać z tak doskonałej sposobności jaką są trudności Francji w Afryce. Dopiero znalezienie nowej formy akcji w postaci wykorzystania nacjonalizmu arabskiego i działania pod staranną osłoną dość młodej suwerenności państw Bliskiego Wschodu znów pozwala Związkowi Sowieckiemu uchwycić inicjatywę polityczną. Zarówno wszakże akcja sowiecka jak i kontrakcja angielsko-francuska spalają na panewce, żadna strona nie osiąga zasadniczych wyników, gdy interwencję zachodnią paraliżuje sowieckie ultimatum bombardowania Londynu, a interwencję rosyjską hamują z kolei ostrzegawcze gesty USA. Ameryka swą polityką utrzymała wówczas pokój lub co najmniej odrzuciła ryzyko gry, w której jednym z elementów mógł być wybuch wojny o Bliski Wschód, ale uczyniła to kosztem interesów swych zachodnich sojuszników. Rosja zrobiła w końcu to samo kosztem wpatrzonych w nią nacjonalistów arabskich.

Ta lekcja streszcza w sobie sens polityczny całego okresu między zniknięciem monopolu bomby wodorowej a niedawną zmianą. Tu leży źródło wzrostu obozu neutralnego, nie wiążącego się politycznie z żadną ze stron, a szukającego u obydwóch i pomocy finansowej i wzorów społeczno-gospodarczych.

Połączenie pełnej niezależności i neutralności kusi zarówno Indonezję, Egipt, Tunis, nacjonalistów Algeru jak Jugosławię, Polskę czy Węgry. Utknięcie na kilka lat na martwym punkcie i współzawodnictwa i rokowań wytworzyło ruch odśrodkowy, grożący rozbiciem obu imperiów: wschodniego i zachodniego. Rosji zagroziła utrata Węgier, Polski i Niemiec Wschodnich, Zachodowi — arabskiej nafty. Na razie każda ze stron zastosowała skutecznie środki zaradcze.

Następstwa wszakże poszerzania się tego procesu dezintegracji, leżącego zresztą w interesie państw szukających i neutralności i pośredniego typu ustrojowego, stały się oczywiste. Jeszcze w 1952 roku marszałek Tito w rozmowie z L. Fisherem przyznał, że zjednoczenie Niemiec musi doprowadzić do końca systemu satelickiego w Europie. Czym znowuż dla Zachodu jest głęboki przewrót na Bliskim Wschodzie można osądzić po trudnościach przemysłowych Anglii i Francji, przeżywanych podczas przerwania dostaw nafty z Bliskiego Wschodu. Obie strony mogą przeciwdziałać perspektywom takiej sytuacji albo dojściem ze sobą do porozumienia albo energiczną próbą rozbicia systemu martwej równowagi. Dlatego też i techniczny eksperyment sowiecki i ideologiczny eksperyment chiński mają tyle znaczenia dla przyszłości.

Rosja śpieszy się z zagarnięciem zysków, wynikających z doraźnego przeciwstawienia dalekosiężnego pocisku kierowanego sieci baz amerykańskich. Musi być przecież jasne dla polityki sowieckiej, że po opracowaniu konstrukcji podobnego pocisku przez Zachód bazy amerykańskie będą jeszcze skuteczniej

neutralizować siłę rosyjską. Nawet dziś Rosja nie osiągnęła istotnej przewagi, ponieważ nowy pocisk pozostaje w stadium prób a silne lotnictwo zachodnie mogłoby dokonać równie skutecznych zniszczeń jak latające bomby wodorowe. Trzeba więc w praktyce liczyć się z dosyć szybkim wyrównaniem chwilowo naruszonej równowagi. Najważniejszy zatem wniosek, że o wiele prawdopodobniejsze jest bliskie *udoskonalenie* równowagi sił, aniżeli gwałtowne jej zwichnięcie. Co jednakże znaczy, że Rosja zażąda uznania swej roli na Bliskim Wschodzie i spróbuje osiągnąć kompromis: podział na dwie sfery.

Jak doktryna Eisenhowera jest próbą dostosowania środków do zmieniających się okoliczności kolonializm starego typu zastępując manewrem gospodarczym i wojskowym, tak samo w obozie komunistycznym doniosłe posunięcia Mao Tse-tunga są poszukiwaniem alternatywy dla stalinizmu, mającej opanować i siły odśrodkowe i ferment wewnętrzny. W tej grze słabą stronę Zachodu stanowi popieranie w państwach arabskich przeżytych ustrojów feodalnych często bardzo już oddalonych od żywego nurtu własnego społeczeństwa. Natomiast słabością Rosji jest kryzys ideologiczny i walka o władzę trzech najwyższych grup społecznych: kierownictwa partii, klasy specjalistów technicznych i administracyjnych oraz armii.

Wiedziano o tym od dawna także i w Chinach. Co najmniej od maja Związek Sowiecki nie miał już jednolitego kierownictwa politycznego, we wszystkich posunięciach widać było grę na zwłokę, improwizację, brak ustanawianej przez kogoś linii. Łącznie ze wstrząsającym doświadczeniem węgierskim mogło to być dodatkowym uzasadnieniem chińskiej interwencji ideologicznej w postaci ogłoszenia przemówień Mao Tse-tunga.

II.

Mowy Mao Tse-tunga oznaczają przede wszystkim koniec międzynarodowego komunizmu jako teorii jednolitej, kształtowanej i kontrolowanej w Moskwie. Miejsce uniformizmu ideowego już od dość dawna zajęły trzy odmiany idei komunistycznej: jugosłowiańska, chińsko-polska i sowiecka. Ale dziś sformułowania Chin przenoszą pomysły Gomułki z pogranicza herezji w sferę ortodoksji, uświęconej znaczeniem partii 600-milionowego państwa. Jeżeli zaś kiedykolwiek dojdzie do ponownej jedności ideowej, podstawą jej będzie raczej doktryna chińska jako zrywająca z głównymi przesłankami stalinizmu. W tym znaczeniu w przyszłości może ona zyskać znaczenie większe od XX. zjazdu partii sowieckiej, który potępiał wyniki pewnego okresu historii komunizmu lecz nie sięgał do przyczyn.

Ogłoszony w Pekinie tekst oficjalny pomija, w stosunku do oryginalnych przemówień, różne ostre oceny Stalina, drastyczną analizę kryzysu węgierskiego i uwagi o sytuacji jugosłowia-

skiej. Wydrukowane przemówienie Mao Tse-tunga stanowi ledwie dwie trzecie przemówienia wygłoszonego. Niewątpliwie skróty, zmiany i stonowania ataków na formuły stalinowskie nastąpiły pod wpływem pierwszej fazy kampanii „czengfeng" (x), która wykazała nieoczekiwanie rozległą niechęć do partii i wyraźne pragnienie różnych wpływowych grup społecznych przejścia do ustroju socjalistycznego o większej ilości niezależnych partii.

W swej alternatywie stalinizmu Mao Tse-tung zachowuje teorię walki o przewrót komunistyczny, natomiast rozwija zasady postępowania partii po zwycięskiej rewolucji. Jest to nawiązanie wprost do Lenina i ambicja prowadzenia dalej jego myśli.

Istotną cechą stalinizmu było doprowadzenie forsownego uprzemysłowienia kraju rewolucji do granicy, przy której rozwój przemysłu stawał się funkcją wyzysku chłopa. Rodzący się stąd rozpaczliwy opór wsi łamała brutalna kolektywizacja. Oczywisty wtedy konflikt interesów klasy robotniczej i klasy chłopskiej, wydzierających sobie szczupłe środki życia, maskowało twierdzenie że w kraju rewolucji socjalistycznej nie może być tego rodzaju wewnętrznych sprzeczności: walka klasowa toczy się w teorii jedynie między czynnikiem reakcyjnym i postępowym, ale jest niemożliwa między dwiema klasami rewolucyjnego ludu.

To stanowisko spychało do roli reakcji *każdą* grupę sprzeciwiającą się poświęceniu wszystkiego na ołtarzu ciężkiego przemysłu i potrzeb jego biurokracji. Usprawiedliwiało także terror, zwrócony przeciw wsi a w końcu i przeciw samej klasie robotniczej i protestującym członkom partii. Na tym założeniu opiera się pozorna prawidłowość polityczna procesów wielkiej czystki 1936 i 1938 roku. Ostatecznym wynikiem gwałtownego uprzemysławiania za wszelką cenę i przyjęcia teorii o zaostrzającej się walce klas w miarę postępów rewolucji jest jaskrawy podział ludności na rządzonych i prześladowanych oraz — na wąską kastę rządzących i prześladujących.

Twierdzenie Stalina o ciągłym przechodzeniu części społeczeństwa na pozycje reakcyjne Mao przeciwstawia dziś tezę, że zwycięstwo rewolucji nie jest jednoznaczne z usunięciem raz na zawsze sprzeczności interesów wewnątrz społeczeństwa. Co więcej — dyktatura proletariatu może sama wytwarzać nowe konflikty, prowadząc nawet do rozdziału między aparatem partii i rządu a światem pracy w którego imieniu sprawuje rządy dla jego korzyści. W zestawieniu z ortodoksyjnym marksizmem odbiera to walce klas monopol na sprzeczności i konflikty wewnętrzne. Ten krok odrywa wreszcie komunizm od stalinowskiego dopatrywania się machinacji wrogów rewolucji w *każdym* starciu interesów i dążeń polityczno-gospodarczych. W praktyce jest to przeciwstawienie stalinowskiej tendencji tę-

(x) Ruch korektury metod pracy partyjnej.

pienia rzeczywistego i urojonego przeciwnika chińskiej taktyki pozyskania współpracy klas i grup odsuniętych od władzy. Stalin aprobował taktykę Frontu Ludowego jedynie jako narzędzie podważania od wewnątrz państwa kapitalistycznego, Chiny przyjmują ją jako drogę umacniania państwa socjalistycznego.

III.

Mao Tse-tung odróżnia sprzeczności antagonistyczne i nieantagonistyczne. Do pierwszej kategorii należy konflikt między światem socjalistycznym a interesami kapitalizmu. Również i wewnętrzni zdecydowani przeciwnicy ustroju są wrogiem skazanym na bezwzględną eksterminację. Ale niezależnie od tego — przyznaje przywódca chiński — istnieje szeroki zakres konfliktów, nadających się do *pokojowego* rozwiązania, jeżeli tylko dostrzeże się je na czas i energicznie przekształci w postać nieantagonistyczną. Należy do nich starcie interesów między biurokracją a społeczeństwem, między miastem a wsią, między wymaganiami konsumpcji a koniecznością inwestycji, wreszcie — między politycznie bierną a politycznie czynną częścią ludności, czyli po prostu — między partią a narodem. Nie mówi wszakże Mao Tse-tung, że to ostatnie jest nieuniknioną sprzecznością *każdej dyktatury,* a więc i ,,dyktatury proletariatu'' sprawowanej przez elitarną partię.

Anty-stalinizm chiński w dziedzinie teorii wyraża się głównie w trzech rzeczach: w odmiennym niż rosyjski stosunku do fetysza uprzemysłowienia, w rozrywaniu wyrosłego w Sowietach związku rewolucyjnej dyktatury z państwem policyjnym, w nadawaniu odmiennego znaczenia pojęciom ,,ludu'' i ,,sprzeczności''.

Zamiast wzrostu uprzemysłowienia jako prawdziwe *kryterium działania socjalizmu* przyjmuje się podnoszenie się poziomu życia i osłabianie się — a nie zaostrzanie — konfliktów klasowych. Wynika stąd ważny wniosek iż szybkość uprzemysławiania kraju o socjalistycznej własności środków produkcji nie wiąże się automatycznie z postępami socjalizmu. Wręcz przeciwnie: może opóźniać jego rozwój, nagromadzając sprzeczności których pokojowemu rozwiązaniu ustrój nie jest w stanie podołać.

Jeżeli w podsycaniu dawnych antagonizmów, odziedziczonych po poprzednim ustroju, widzi się groźbę dla postępu gospodarczego, jest oczywiste, że na miejsce walki trzeba przyjąć politykę współpracy. Za jej pozyskanie, czyli za praktyczne *rozszerzenie* rewolucyjnego pojęcia ,,ludu'', warto zapłacić cenę jaką będzie dopuszczenie — wbrew zasadzie sowieckiej — i do krytyki partii i do współrządzenia z partią. W ramach tak pojętego ,,ludu'', stosunkami powinna rządzić kontrolowana demokracja, analogiczna do centralizmu demokratycznego w samej partii.

Ten rodzaj ,,kierowanej demokracji'' nie dopuszcza ani do pełnej swobody słowa, ani do tworzenia konkurencyjnych stronnictw politycznych. Wymaga za to absolutnej praworządności, porzucenia systemu policyjnego i materialnego wykorzystywania wyjątkowej pozycji partii. Gwarancją polityczną podobnego systemu staje się jawność i przestrzeganie prawa, ścisły nadzór nad policją sprawowany przez najwyższe władze partyjne, oraz istnienie stronnictw reprezentujących grupy społeczne, które współpracują z komunistami. Nie trudno dostrzec jak niedalekie jest to od swoistego mechanizmu parlamentarnego puszczonego w ruch w Polsce. Pozostaje arbitralna władza partii: czy to w Chinach czy w Polsce wyraża się ona w jej prawie samowładnego określania co jest patriotyczną współpracą z nowym ustrojem, a co — wrogą działalnością, co rozkwita jako jeden ze ,,stu kwiatów'' — a co przeradza się w ,,trujące zielsko''.

Lenin przewidywał że sojusz chłopsko-robotniczy z pierwszej fazy rewolucji rozwinie się z biegiem czasu w zaciętą walkę z chłopstwem. Mao Tse-tung wyłącza z chińskiego życia tę główną sprzeczność sowieckiego społeczeństwa z tej prostej przyczyny, że rewolucja w państwie o 500 milionach chłopów nie może iść wbrew nastrojom wsi. Nie strajk w przemyśle ale powstanie chłopów byłoby największą groźbą dla komunizmu w Chinach.

O wiele istotniejszą sprzeczność widzi Mao w stałym konflikcie między przodującym elementem rewolucji a naturalnym oporem masy przeciw zmianom i wzmaganemu wysiłkowi inwestycyjnemu. Można ją skutecznie przezwyciężyć jedynie drogą perswazji, nauki i pozytywnego przykładu. Rzekomo ,,bezpieczna'' droga Rakosi'ego na Węgrzech, droga terroru i represji, okazała się zgubna. Uznając słuszność przyczyn powstania węgierskiego, doktryna chińska nie potępia wszakże interwencji sowieckiej. Uważa ją za konieczność, gdyż inaczej Węgry odpadłyby od zwartego obozu socjalisycznego. Logiczną konsekwencją tego stanowiska jest potępienie zbyt samodzielnej polityki zagranicznej Jugosławii, przemówienia Tity w Pule i wszelkiej krytyki z *zewnątrz* pozycji obozu socjalistycznego. Wyznacza to zarazem dość oczywistą granicę rewizjonistycznej akcji Mao Tse-tunga, podjętej nie dla dalszego rozbijania bloku wschodniego lecz dla umocnienia go na nowej, o wiele bardziej racjonalistycznej podstawie.

Tak więc obecne hasło Mao Tse-tunga przełamania uprzedzeń między rewolucją marksistowską a spadkiem patriotyczno-liberalnej rewolucji Kuomintangu opiera się na przekonaniu, że przeciwnicy socjalizmu stracili nadzieję na obalenie ustroju drogą rewolty lub obcej interwencji. Swoisty ,,liberalizm'' chiński milcząco zakłada bankructwo kontr-rewolucji. Gdzie rzeczywistość próbuje zaprzeczyć temu założeniu jak np. w licznych

strajkach, demonstracjach i lokalnych rewoltach, tam żyjących nadzieją zmiany „zliberalizowany" komunizm tępi równie energicznie jak stalinizm. Wobec zaś niezdecydowanych stosuje zasadę *czi-fa*, oryginalną polityczną psycho-analizę doprowadzającą jej pacjenta do wyboru między wyraźnie wrogą i wyraźnie życzliwą postawą.

IV.

Nowa polityka chińska nie zjawia się wyłącznie jako produkt teoretycznej analizy sytuacji.

W Chinach, w Rosji, w Jugosławii czy w Polsce, do większej czy mniejszej zmiany metod rządzenia dochodzi pod wpływem coraz bardziej oczywistej gospodarczej nieudolności systemu. Nonsens gospodarczy udaje się utrzymać jedynie w oparciu o terror i groźbę rosyjską. Gdy przeciwstawia się im skutecznie dążenia niepodległościowe, jak np. w wypadku Jugosławii i Polski, nacisk na rynek wewnętrzny od razu wywołuje przebudowę gospodarczą, w Jugosławii w 1952 roku, w Polsce w 1956/57. Niepodległość zmusza do racjonalizacji życia, ograniczenie czy utrata niepodległości szybko przynoszą doktrynalną nędzę.

Dla Chin pierwszym sprawdzianem skuteczności ustroju socjalistycznego jest podniesienie produkcji rolnej. Tymczasem rok bieżący zapowiada się jako rok najgorszego niedostatku, a w niektórych okręgach nawet i głodu, od czasu objęcia władzy przez komunistów. Fatalne powodzie powiększyły rezultaty nieudolności, nieudanej kolektywizacji i niepewności prawnej gdy idzie o własność ziemską. Tegoroczne zasoby ziarna mogą spaść poniżej stanu ubiegłego roku, kiedy sięgały tylko trzech czwartych rosyjskiego zasobu z 1928 roku, roku katastrofy sowieckiego rolnictwa. Stalin zareagował wtedy gwałtowną kolektywizacją, Mao Tse-tung reaguje zmianą linii partyjnej ułatwiającą współpracę ze społeczeństwem. Stalin odpowiadał wzmocnieniem dyktatury, Mao dostosowuje dyktaturę do okoliczności aby nieuniknione zmiany dokonały się *wewnątrz systemu* a nie w opozycji wobec ustroju.

Powstaje jednak pytanie jak Chiny mogą sobie pozwolić na tę oryginalność ideową i taktyczną przy ciągłej potrzebie pomocy rosyjskiej. Jugosławia w podobnej sytuacji otrzymała pomoc amerykańską, Polska nigdy nie miała skutecznej pomocy rosyjskiej a i tak za ambicję samodzielności płaci olbrzymimi trudnościami gospodarczymi. Chiny zależą od Rosji w zakresie dostaw przemysłowych, czego miarę daje fakt, że do końca bieżącego roku rosyjski ekwipunek techniczny stanowi 60 procent wyposażenia chińskiego przemysłu. Natomiast pomoc żywnościowa staje się zupełnie iluzoryczna wobec olbrzymich chińskich potrzeb i olbrzymiego obszaru. Transport żywności z Rosji do Pekinu, na istniejących liniach kolejowych, zająłby przy dwóch pełnych pociągach dziennie ponad trzy lata, nie mówiąc

już o tytanicznym zadaniu rozprowadzenia jej po kraju. Nie ma innego wyjścia: Chiny muszą same podnieść swą produkcję rolną.

Pozwala to przywódcy chińskiemu wysuwać hasła, które będą wygodne w Azji, ale są niebezpieczne dla Rosji. Azja, a częściowo i Europa, otrzymują możność wyboru między Moskwą a Pekinem w szukaniu wzorów i natchnień ideologicznych. W chwili gdy zjawia się drugie źródło komunistycznej *prawowierności*, naciski sowieckie będą się już odsłaniać jako wyraz państwowej polityki rosyjskiej, a nie jako akcje ideologiczne. Własna doktryna Chin przekreśla w ogóle sprawę utrzymywania *czystości* nauki Marksa-Lenina. W ramach ogólnej kontynuacji marksizmu interesy narodowe, rozumiane jako rozwiązania korzystne dla krajowych, miejscowych interesów socjalizmu, biorą górę nad troską o ideologiczną jedność obozu.

Jest to koniec socjalistycznego dogmatyzmu na rzecz początków socjalistycznego racjonalizmu. Jest to koniec ,,międzynarodowości'' komunistycznej, z której pozostaje tylko wspólna wrogość do obozu kapitalistycznego. Te dwie doniosłe zmiany, aczkolwiek związane z kompromitacją gospodarczą ortodoksyjnego komunizmu, zostały jednak umożliwione wpływem dwóch czynników: po pierwsze — wyzwoleniem się kapitalizmu z periodycznych kryzysów i sukcesem odbudowy powojennej w bloku zachodnim co uwydatniło sowiecki kontrast z nowoczesną gospodarką kapitalistyczną, po drugie — chaosem ideologicznym w samej Rosji i odżyciem na Kremlu walki o władzę.

Znika prymat ideologiczny, natomiast pozostaje znaczenie potęgi państwowej Związku Sowieckiego. Pocisk dalekosiężny jeszcze bardziej ją podkreślił.

Rozpoczynając tę akcję Chiny musiały znaleźć wyjście z paradoksu, że najsilniejsze państwo komunistyczne posiada najsłabszy potencjał ideologiczny i prowadzi najszkodliwszą politykę dla całości interesów socjalizmu. Dziedzictwo i okresu stalinowskiego i okresu ,,zbiorowego przywództwa'', zakończonego Węgrami i potępieniem ,,starej gwardii'' jest katastrofalne. Odstraszający przykład interwencji na Węgrzech nabrał jeszcze większej wymowy gdy raport komisji specjalnej ONZ podpisał delegat Cejlonu, a Indie postanowiły zasadniczo nie sprzeciwiać się przedyskutowaniu przez ONZ raportu w sprawie Węgier.

Wydaje się że w tym położeniu Mao Tse-tung postanowił zrównoważyć materiałową zależność od Rosji oryginalnością ideową i samodzielnością manewru politycznego. Zarazem spróbował swą rewizją doktryny osiągnąć cztery cele: 1) ratować prestiż komunizmu w Azji wprowadzając wzór chiński na miejsce rosyjskiego, 2) ożywić ideę komunistyczną nową jej interpretacją, 3) dać państwom socjalistycznym wzór taktyki, 4) w wewnętrznych sprawach chińskich wyciągnąć wnioski z ostrzeżenia węgierskiego.

V.

Trudności i ryzyko polegały na zbiegnięciu się w czasie nowych sformułowań Mao Tse-tunga z rozprzężeniem w naczelnych władzach sowieckich.

Chiny udzieliły poparcia Chruszczowowi *łatwiej* godząc się na jego względnie racjonalny stosunek do innych państw bloku, do Zachodu i na nieracjonalne koncepcje gospodarczo-ustrojowe, niż na racjonalne projekty ekonomiczne przymierza Malenkow—Mołotow połączone z rygorystyczną polityką ortodoksji i represji w Europie Wschodniej.

Postalinowski okres rządów cechuje w Rosji zamęt ideologiczny, ciągłe zmienianie linii i zdawanie sobie sprawy z niedostatecznych wyników gospodarczych. Wciąż jeszcze dochód społeczny wynosi w Związku Sowieckim na głowę ludności około *jednej czwartej* analogicznej pozycji amerykańskiej i mniej aniżeli w przeludnionych Włoszech.

Wynika stąd konieczność daleko idącego zracjonalizowania gospodarki w której zawiodły dwa założenia rewolucji: centralizacja planowania i kolektywizacja rolnictwa. Pierwszą próbę racjonalizacji podjęły rządy Malenkowa, ale już samo stworzenie układu w którym Malenkow został premierem a Chruszczow pierwszym sekretarzem partii, kosztowało partię zniszczenie jednego z jej najważniejszych narzędzi władzy — potęgi tajnej policji.

Głośna samokrytyka i upadek Malenkowa były potępieniem ambicji aparatu państwowego zbudowanego przez Stalina. Mimo odejścia jego rzecznika zasadniczy konflikt pozostał: ,,górne dziesięć tysięcy'' partii przeciw ,,górnym dziesięciu tysiącom'' administracji, nowa klasa uprzywilejowanych jakobinów przeciw nowej klasie średniej uprzemysłowionej Rosji. Stalin miał do czynienia z podobnym problemem i rozwiązał go usuwając czystkami starych rewolucjonistów, narastającą zaś klasę managerów wprowadzając do partii. Tą drogą skupił w jednej grupie społecznej władzę, przywileje i nosicielstwo ideologii. Malenkow, racjonalizujący gospodarkę sowiecką, był dość bliski uznania przywilejów technokracji i — w ostatecznej konsekwencji — pojęcia partii która ,,inspiruje i prowadzi ale nie rządzi''.

Chruszczow, obalając Malenkowa i jego dość przypadkowe przymierze z Mołotowem, to samo zagadnienie rozstrzyga o wiele radykalniej. Plan reorganizacji ,,Gosplanu'' stał się kością niezgody ponieważ stanowił nowy wielki wstrząs, nowy akt ,,permanentnej rewolucji'' narzucanej społeczeństwu sowieckiemu przez partię. Chruszczow po prostu usuwa klasę technokratów, odwracając taktykę Stalina: zamiast przyznawania managerom godności i wpływów partyjnych masowo powierza dziś kompetencje administracyjne i techniczne członkom partii.

Partia raz jeszcze, i to dość rozpaczliwymi środkami, broni swej pozycji. Ale tym razem, obaliwszy poprzednio Berię, uderza w swą drugą tradycyjną podporę. Wchodząc w sprzeczność interesów i konflikt z klasą managerów opiera się już tylko na wojsku. Poparcie armii, uosobione w stanowisku Żukowa, jest niewątpliwie warunkowe. Jeżeli Chruszczow nie wypełni postawionego mu zadania — podniesienia produkcji rolnej i ogólnego poziomu życia bez ograniczania przemysłowych potrzeb armii — wojsko może poszukać innej drogi.

Intryguje pytanie *dlaczego* armia poparła ryzykowne pomysły Chruszczowa, zamiast przechylić szalę na rzecz o wiele ostrożniejszej polityki gospodarczej Malenkowa. Mógł tu przeważyć tylko wzgląd na politykę zagraniczną reprezentowaną w Prezydium przez przeciwników Chruszczowa. Po udanym eksperymencie z pociskiem dalekosiężnym mogli oni poprowadzić politykę zbyt awanturniczą, zbyt niebezpieczną w pojęciu armii. Zresztą — i tu wracamy do roli Chin — Chiny ostrzegły, że powrót do metod stalinowskich w stosunku do innych państw socjalistycznych może rozbić blok wschodni i uwikłać go w wewnętrzne zatargi. Stanowisko Mao Tse-tunga i stanowisko armii przechyliły szalę na Kremlu. Jeżeli jednak nowy etap rewolucji, nowy wstrząs organizacyjny w Rosji będzie *ceną* utrzymania przewagi partii i względnej ideologicznej spoistości bloku komunistycznego, cena łatwo się może okazać nieprawdopodobnie wysoką.

VI.

Trzy ostatnie najważniejsze wydarzenia polityczne — wystąpienie Mao Tse-tunga, przyjęcie planu reorganizacji przemysłu sowieckiego, ogłoszenie o dysponowaniu przez Rosję nowym typem „bomby latającej" — wpływają na odpowiedź na ciągle aktualne pytania: zaostrzenie czy racjonalizacja rewolucji komunistycznej? — zmniejszenie czy pogłębienie podziału świata? — pokój czy wojna?

Ostatnie posunięcia sowieckie na Bliskim Wschodzie wyglądają na chęć wyzyskiwania efektu wojskowej rewelacji sowieckiej. Ale z drugiej strony od czasów Korei kontrakcja amerykańska nie była tak szybka, kategoryczna i tak przyjmująca ryzyko następstw. Wydaje się, że Stany Zjednoczone patrzą na najbliższe miesiące jako na okres, kiedy istnienie systemu baz gwarantuje nadal jeszcze równowagę sił, a więc pozwala na energiczną obronę każdej pozycji. Jeżeli zbyt wyrównana równowaga, zachęcająca Rosję do niebezpiecznych inicjatyw, nie będzie trwać długo, przygotowanie przez Stany Zjednoczone narzędzia zniszczenia, podobnego do tego nad jakim teraz pracuje Rosja, przywróci poprzednią sytuację, sytuację podobną do położenia sprzed konferencji genewskiej. Podobną lecz o wiele *intensywniejszą* w każdym jej czynniku składowym. O wiele

bowiem intensywniejsze będzie uświadomienie sobie przez obie strony, że wojna równa się obustronnej zagładzie.

Wtedy, jak w Genewie i po Genewie, doszłoby do kompromisu i do wzrostu tendencji neutralistycznych. Nie wolno się łudzić — sięgnęłyby one także na Bliski Wschód, dotychczas finansowo i ustrojowo związany z kapitalizmem. W obozie zaś Wschodnim wystąpi za to nowy element ideologiczny jakim są teorie chińskie. Nie będzie on naruszać ani podstaw socjalizmu, ani bezpieczeństwa bloku komunistycznego, ale będzie zachęcać do zwiększenia niezależności od Rosji.

Przed Rosją, w razie tego niejako przymusowego powrotu do koegzystencji, stanie zagadnienie zrezygnowania albo z ortodoksji albo z szybkich wyników gospodarczych. Nie jest wyłączone, że wówczas armia opowie się za trzeźwym i rzeczowym rozwiązaniem, za rządami wolnymi od skaz stalinowskiego okresu i ryzyka ekonomicznego.

Gdy dziś Chruszczow przypomina Malenkowowi udział w zbrodniach Stalina, robi to wrażenie przygotowywania przyszłego procesu także i przeciw samemu sobie, wrażenie śliskich posunięć narzucanych mu przez wyjątkowo trudną sytuację.

Jeżeli w końcu zwycięży konieczność gospodarczego współzawodnictwa obu wielkich systemów i obię strony dojrzeją do zapłacenia rozsądnej ceny za usunięcie groźby mechanicznego, niszczycielskiego ataku, przed Europą otworzy się perspektywa stworzenia silnej jednostki neutralnej i przyjęcia na siebie — atlantyckiej roli Indii.

W tej chwili jej szanse historyczne zależą od *wytrzymania naporu wydarzeń przez najbliższych kilka miesięcy.*

Zdzisław BRONCEL

Kronika angielska

„OSTATNI ROZDZIAŁ"

Z perspektywy Włoch trudno było odpowiedzieć na pytanie czy powstanie warszawskie wybuchłoby bez względu na decyzję z góry. W organizacji wojskowej o wszystkim decyduje rozkaz. Jeżeli przyjmiemy, że Armia Krajowa była wojskiem — musimy w konsekwencji przyjąć, że nie byłaby podjęła akcji bez rozkazu.

Powstanie mogło być sukcesem tylko wówczas, gdyby było sharmonizowane z akcją wojsk sowieckich. Odpowiedź na pytanie czy Rosjanie mogli

w danym momencie pomóc powstaniu — jest w równej mierze zagadnieniem strategicznym jak i politycznym.

Załóżmy, że Rosjanie byliby przekroczyli Wisłę znacznymi siłami na 10 czy 15 dni przed kapitulacją powstania, zmuszając Niemców do generalnego odwrotu. Powstanie byłoby wówczas uwieńczone sukcesem. Niemcy opuściliby Warszawę a Armia Krajowa nie musiałaby kapitulować ani iść do niewoli. Następnego jednak dnia wkroczyłyby do stolicy jednostki armii sowieckiej i wypadki potoczyłyby się według utartego schematu. Pewne osobistości zamiast do oflagów pojechałyby do łagrów i to byłaby jedyna konkretna zmiana w obrazie sytuacji.

Powstanie było błędem nie dlatego, że zakończyło się klęską. Było błędem dla tego, że w żadnym wypadku nie mogło przynieść politycznych korzyści.

Krytyka nie jest w tym wypadku równoznaczna z oskarżeniem. Ci którzy brali udział w powstaniu wypełnili swój obowiązek ponad ludzką miarę. Ci którzy ponoszą za nie odpowiedzialność — nie znali historycznej perspektywy, którą my dziś dysponujemy.

Niemniej, należy się wystrzegać topienia politycznych błędów góry w glorii bohaterstwa dołów — gdyż nawet najbardziej heroiczny zryw narodu nie jest w możności okupić politycznych błędów kierownictwa. W ostatecznym bowiem rozrachunku liczą się nie wygrane czy przegrane bitwy, lecz rezultat polityczny. Bohaterski zryw, którego przywódcy narodu nie umieli przetłumaczyć na sukces polityczny — jest zawsze tylko klęską, choćby legion wieszczów twierdził co innego.

Powstanie — miejmy nadzieję — było ostatnią w naszych dziejach operacją na „dwa fronty". Jego celem było uwolnienie stolicy polskimi rękami, osadzenie władz polskich związanych z Londynem i postawienie Rosjan przed faktem dokonanym.

Załóżmy, że ów plan się powiódł. Ponieważ jednak Rosjanie prowadzili również operację na „dwa fronty" byliby zaprosili na Łubiankę nie 16-tu, ale 160-ciu przywódców związanych z polskim Londynem. Pozycja Stalina w obozie sojuszniczym była tego rodzaju, że nad Wisłą mógł sobie pozwolić na bardzo wiele.

Na przebieg wojny z Niemcami powstanie nie miało wielkiego wpływu. Wywarło natomiast wielki wpływ na sytuację „drugiego frontu".

W pierwszej linii powstanie warszawskie było masową likwidacją najbardziej antykomunistycznej młodzieży i inteligencji. Jego upadek wywołał zrozumiałe załamanie — psychiczne rozbrojenie — niewiarę w Zachód.

Ne mieliśmy rewolucji ale powstanie dostarczyło nam porewolucyjnego efektu wykrwawienia i wszystkich jego psychologicznych konsekwencji. Armia czerwona i polscy komuniści przychodzili na gotowe.

Gdyby powstania nie było — prawdopodobnie pewien procent przywódców zbiegłby na Zachód — pewien procent wywieziono by na Wschód. Ale masa żołnierzy Armii Krajowej pozostałaby na miejscu. Z całą pewnością i wówczas byłyby prześladowania i wówczas pisano by o „zaplutych karłach sanacji" — ale ani Rosjanie ani Bezpieka nie wymordowaliby tylu żołnierzy A. K. — ilu zginęło w 63 dniach powstania.

Lecz nie to jest najważniejsze. Gdyby dało się powstania uniknąć — nie nastąpiłoby owo rozładowanie potencjału sił — co w całości i bez reszty zdyskontowali komuniści. Dzięki powstaniu, komunizm znalazł u nas

idealną wprost sytuację. Orientacja Polski niepodległej zwaliła się do fundamentów — spopielały nadzieje największych optymistów — zaufanie do londyńskiego kierownictwa i polityki załamało się nieodwołalnie. Na tym tle marksistowska interpretacja procesu dziejowego — wydawać się musiała objawieniem oczywistych prawd.

Byłoby nonsensem twierdzić, że gdyby do powstania nie doszło bylibyśmy podjęli walkę na ,,drugim froncie" — przekreślając sowieckie plany skomunizowania Polski. Jednak ludzie w Kraju — w przeciwieństwie do emigrantów — zrozumieli w owych straszliwych dniach cały absurdalny anachronizm koncepcji ,,dwóch frontów". Rosja z okresu bitwy pod Warszawą, a Rosja z okresu bitwy pod Berlinem — to są dwa różne i nieporównalne z sobą państwa.

Nie tylko każda wojna polsko-rosyjska byłaby szaleństwem, ale nawet ewentualny sojusz polsko-niemiecki zwrócony przeciw Rosji — nie miał żadnych realnych szans powodzenia. Związani z Niemcami bylibyśmy podzielili ich los moszcząc kośćmi drogę od Stalingradu po Elbę. Epoka wyboru: z Niemcami przeciw Rosji — czy z Rosją przeciwko Niemcom — dla Polaków dobiegła kresu. Trzeba to podkreślić z naciskiem, bo spotyka się Polaków, których nienawiść do Rosji zaślepia do tego stopnia, iż jedynie w sojuszu z przyszłymi uzbrojonymi Niemcami — dopatrują się blasku... jutrzenki wolności.

Pomijając wszystkie zapory natury emocjonalnej — należy pamiętać o tym, że ceną sojuszu byłby zwrot Ziem Zachodnich. Nie istnieje nawet czysto teoretyczna koncepcja sojuszu między Polską a Niemcami. Teoretycznie możemy tylko rozważać możliwość sojuszu pomiędzy ,,Księstwem Warszawskim" a Niemcami. Jeżeli koncepcja polityki amerykańskiej miałaby w przyszłości ewoluować w kierunku popierania nie tylko zjednoczenia Niemiec, lecz również protegowania ich pretensji rewizjonistycznych — musielibyśmy się od tej polityki odciąć. Skłonny jestem przypuszczać, że nasi przyjaciele amerykańscy nie żywią w tej materii żadnych złudzeń.

Lecz to wszystko są uwagi na marginesie. W tej chwili interesuje nas problem jak rozwinęłaby się sytuacja w Kraju, gdybyśmy tragedii warszawskiej uniknęli. W moim przekonaniu formy historycznych wydarzeń byłyby na ogół te same — ale treść byłaby inna. Odpór społeczeństwa byłby daleko bardziej dynamiczny. Linia rozwoju byłaby wypadkową owego odporu i narzuconej rewolucji. Komunizm w Polsce byłby od samego początku bardziej polski — mniej naśladowczy — mniej kolaborancki.

Prześladowanie Kościoła — więzienie biskupów i prymasów — to wszystko było możliwe ponieważ naród stanowił wykrwawioną miazgę, sterroryzowany, oddynamizowany tłum. Dziś, gdy Warszawa jest odbudowana a pół miliona rocznie nowych kołysek wyrównuje szybko deficyt krwi — potencjał sił odporu wzmaga się z każdym miesiącem. Październik — przyszedł między innymi i z tych przyczyn. Gdy naród wyprostował grzbiet — Bezpieka musiała przycichnąć i zmaleć. Dziś żaden rząd polski nie mógłby sobie pozwolić — bez śmiertelnego ryzyka — na uwięzienie Prymasa. Ludzie w Kraju boją się sowieckiej interwencji ale nie polskiej milicji.

Bogusław Miedziński w ramach dyskusji na temat przedmowy pióra gen. Sosnkowskiego do książki gen. Sosabowskiego — definiując cele polityki Stalina w odniesieniu do warszawskiego powstania — napisał między in-

nymi: „to czego Stalin istotnie pragnął było wyniszczenie najtęższych i najbardziej ofiarnych sił polskich rękami niemieckimi...”

Jeżeli tak brzmiało rozpoznanie celów Rosji — realizowanie operacji powstania było niestety równoznaczne z realizowaniem programu Stalina. Anglicy i Amerykanie — jak słusznie stwierdza p. Miedziński — w owym okresie nie zdawali sobie zupełnie sprawy z rzeczywistych zamiarów Stalina w stosunku do Polski. O ile więc sprzymierzeńców zachodnich można w pewnej mierze usprawiedliwić beznadziejną ignorancją — o tyle trudno o ignorancję w sprawach sowieckich posądzać polskie kierownictwo.

Powstanie nie miało, i w danych historycznych warunkach mieć nie mogło, żadnego politycznego sensu. Było klasycznym polskim „zrywem” — za który w oficjalnej interpretacji — odpowiedzialność ponosi Historia nigdy generał X czy polityk Y. Jego rodowód wywodzi się z poszlacheckiej wiary, że szabla zawsze ważniejsza jest od polityki. Niestety szablą bez polityki można tylko zapełniać panteon bohaterów narodowych i mnożyć cmentarze.

P. Miedziński kończy swój artykuł wyrazem nadziei, że tom historii jego pokolenia jest wciąż „bez ostatniego rozdziału”. Osobiście jestem przekonany, że powstanie warszawskie było ostatnim rozdziałem, któremu patronowało to pokolenie. Gen. Sosnkowski wciąż mówi o „walnym konflikcie między Wschodem a Zachodem”, widząc w nim jedyną drogę „na której możemy odzyskać prawdziwą niepodległość w należnych nam granicach”. Jednak taki projekt „ostatniego rozdziału” przyjmowany jest ze zgrozą i oburzeniem przez tych, którzy mieszkają na świeżo zabudowanym warszawskim cmentarzysku. Jedno jest pewne: za głosem tego pokolenia naród polski więcej nie pójdzie i panowie ci mogą spokojnie zamknąć tomy swych pamiętników.

POCISKI MIĘDZYKONTYNENTALNE A BODŹCE EKONOMICZNE

Dlaczego Sowiety są bardziej zaawansowane w budowie pocisków międzykontynentalnych niż Stany Zjednoczone?

Pośredniej odpowiedzi na powyższe pytanie udzielił profesor fizyki na uniwersytecie w Oxfordzie K. Mendelssohn — w artykule ogłoszonym na łamach londyńskiego „The Observer”.

Fizyk brytyjski stwierdził przede wszystkim, że Rosja wydaje więcej na badania naukowe niż wszystkie pozostałe kraje świata razem wzięte. W rezultacie porównując uniwersytety w Moskwie i w Oxfordzie — otrzymamy następujące zestawienie: Uniwersytet moskiewski — 70 profesorów fizyki; Uniwersytet w Oxfordzie — 5. Uniwersytet moskiewski produkuje 500 dyplomowanych fizyków rocznie — Oxford — 70.

Ale problem tkwi gdzie indziej. Młody Brytyjczyk kończąc studia fizyczne — zastanowi się nie dwa lecz trzy razy nad pytaniem czy obrać karierę naukową. Jeżeli jest zdolny i ambitny, prawdopodobnie wyląduje w przemyśle, gdzie zarobi wielokrotnie więcej niż na asystenturze czy docen-

turze uniwersyteckiej. Ale i w ramach przemysłu nie naukowiec czy badacz jest najlepiej płatny. W kapitalistycznym ustroju najwyższe pensje zarezerwowane są dla ,,menadżerów'' i wielkich dyrektorów administracyjnych. Młody fizyk jeżeli będzie chciał piąć się szybko po drabinie hierarchii przemysłowej — wcześniej czy później porzuci laboratorium i usadowi się za biurkiem.

Innymi słowy, w zachodnim świecie kapitalistycznym bodźce ekonomiczne odciągają najzdolniejsze jednostki od kariery naukowo-badawczej.

W komunistycznej Rosji obserwujemy układ wręcz odwrotny. Młody fizyk o ile jest dostatecznie zdolny obiera karierę naukową, gdyż żadna inna nie zapewnia takich przywilejów i dochodów. Zarobki przeciętne niewykwalifikowanego robotnika wynoszą w Rosji około 600 rubli miesięcznie. Młody fizyk bezpośrednio po dyplomie otrzymuje 2.000 rubli. Z chwilą gdy zdobędzie pierwszy stopień naukowy jego pensja wzrasta do 3.000 rubli. Gdy ma zlecone wykłady otrzymuje 4.000 rubli. Docent zarabia 5.000 a profesor 6.000 rubli. Z chwilą, gdy profesor zostaje członkiem korespondentem Sowieckiej Akademii Nauk — dostaje dodatek do pensji wynoszący 3.000 rubli. Tenże dodatek dla rzeczywistego członka Akademii Nauk wynosi 6.000 rubli miesięcznie.

Większość wybitnych fizyków ma dwie a czasem trzy profesury — co przetłumaczone na ,,bodźce ekonomiczne'' daje 20 do 30.000 rubli miesięcznie. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że samochód kosztuje około 12.000 rubli to jest to suma zbliżona do wartości trzech samochodów.

Najbardziej wymowną jest jednak następująca tabela. Porównując zarobki niewykwalifikowanego robotnika z zarobkami przeciętnego fizyka otrzymamy proporcję: Stany Zjednoczone 1:5, Wielka Brytania 1:7, Związek Sowiecki 1:25.

Przeciętny fizyk sowiecki jest proporcjonalnie niemal czterokrotnie lepiej wynagradzany niż jego kolega amerykański.

,,Cuda'' trafiają się wyłącznie w polityce — w fizyce nigdy. I z tego względu kapitalistyczny Zachód jeżeli nie zechce pozostawać w tyle w badaniach atomowych będzie musiał przejąć pewne komunistyczne metody dotyczące mecenatu nauk ścisłych. Jak bowiem wykazuje praktyka bodźce ekonomiczne działają niezawodnie zarówno w systemie komunistycznym jak i kapitalistycznym.

GWIAZDA CONRADA?

Książka o Conradzie Jean-Aubery pt. ,,The Sea Dreamer'' (tytuł oryginału ,,Vie de Conrad'') — ma bardzo złą prasę. Przekroczyłbym moje zawodowe kompetencje zabierając głos w tej sprawie — ograniczam się przeto do odnotowania interesujących informacji jakie wypłynęły przy tej okazji.

Do najbardziej charakterystycznych wypowiedzi należy artykuł A. J. Hoppé, przedstawiciela firmy J.M. Dent and Sons Ltd., która wydała komplet dzieł Conrada i jest agentem praw autorskich (copyright) w stosunku do spadkobierców wielkiego pisarza.

Obecne kompletne wydanie dzieł Conrada firmy Dent obejmuje 21 tomów. Nakład każdego tomu 10.000 egzemplarzy. Wiele pozycji z tej serii w obrębie ostatnich lat wydawano dwu- i trzykrotnie.

Niezależnie od zbiorowego wydania firmy Dent poszczególne dzieła Conrada ukazują się i w innych znanych seriach. Należy tu wymienić ,,Everyman's Library", ,,World's Classics", ,,Penguin Books", ,,Collins'Classics", ,,Nelson's" (seria 6-tomowa) oraz ,,Hart-Davies Mariner's Library".

Pewne dzieła Conrada (Lord Jim, Youth, Gaspar Ruiz, The Rover etc.), ukazują się corocznie w wydaniach szkolnych i stanowią programową lekturę zarówno w szkołach angielskich jak i w szkołach Brytyjskiej Wspólnoty.

W Stanach Zjednoczonych dzieła Conrada stanowią fenomen nieustannego sukcesu wydawniczego. Książki wielkiego pisarza ukazują się w Ameryce zarówno w luksusowych wydaniach jak i w tanich popularnych seriach ,,kieszonkowych". O sukcesie Conrada za oceanem zadecydowały jednak ,,kluby książek". Owe kluby, o milionach członków zakupiły ostatnio prawa wydawnicze kilkunastu dzieł Conrada.

Przed kilku tygodniami ukazała się równocześnie w Ameryce i w Anglii (Oxford University Press), — bibliografia Conrada pt. ,,Joseph Conrad at Mid-Century, Editions and Studies, 1895-1955". Cytowana bibliografia obejmuje przeszło 1.000 pozycji. Wśród tych 1.000 pozycji — 70 pozycji stanowią książki w całości poświęcone twórczości Conrada.

Bibliografia nie obejmuje wydanych ostatnio E.H. Visiak ,,The Mirror of Conrad", ani studiów, które ukażą się tej jesieni jak Richard Curle ,,Conrad's Characters", lub nowa biografia Conrada pióra Jocelyn Baines'a.

A.J. Hoppé — niewątpliwy znawca przedmiotu — stwierdza autorytatywnie, że na przestrzeni ostatnich lat o żadnym innym pisarzu nie ukazało się w języku angielskim tyle książek, studiów i artykułów co o Conradzie.

,,Gwiazda Conrada błyszczy wspaniale w tym roku stulecia jego narodzin" — kończy swą notatkę Hoppé — odrzucając jako opinię laików posądzenie, że zbliża się zmierzch tego samotnego światła.

,,NOWA KLASA"

Książka Milovana Djilasa pt. ,,New Class" — bije rekordy powodzenia. W Ameryce pierwsze wydanie ukazało się 12 sierpnia br. Pierwszego września szóste wydanie szło pod prasę. W Anglii na dwa tygodnie przed datą publikacji zamówienia pokryły dwie trzecie zwiększonego pierwszego nakładu.

Kim jest autor tej dziwnej książki? Djilas przez dwadzieścia lat był najbliższym przyjacielem marszałka Tito. Wraz z nim walczył przeciw Austrii, przeciw Niemcom i Włochom, a po roku 1948 przeciwko Stalinowi. ,,Djido" jest jedynym człowiekiem przed którym prezydent i marszałek rewolucyjnej Jugosławii nie miał tajemnic. Mimo, że dziś Djilas przebywa w więzieniu w Srem Mitrovica — Tito nie przestał być dla niego ,,wielkim rewolucjonistą", choć ,,pozbawionym oryginalniejszych idei".

Trzeba powiedzieć, że oryginalnych idei nie brakuje natomiast autorowi ,,New Class".

Różnice pomiędzy obu przywódcami rewolucji jugosłowiańskiej zaznaczyły się bardzo wcześnie. Tito zdecydował się na definitywny krok w październiku ubiegłego roku, mimo, że Djilas rozpoczął publikację swych nieortodoksyjnych artykułów w roku 1953. Sprawa Djilasa dla marszałka Tity była bolesna i niełatwa. Wokół każdego przywódcy rewolucyjnego i niepodległościowego powstaje nowa klasa, która zazdrośnie strzeże swego uprzywilejowanego stanowiska. Z poparcia tych ludzi Tito nie chciał zrezygnować i poświęcił przyjaciela.

Djilas napisał swą książkę jeszcze na wolności. Rewizja w jego mieszkaniu — bezpośrednio po aresztowaniu — trwała dwanaście godzin. Poszukiwania tajnej policji nie dały jednak rezultatu ponieważ manuskrypt ,,Nowej Klasy" był już za granicą.

Studium Djilasa nie przypomina w niczym książek na temat komunizmu, jakich dziesiątki ukazało się od czasu wojny. W pierwszej linii jest to analiza systemu komunistycznego napisana przez wykształconego marksistę. Djilas krytykuje świat komunistyczny zarówno jako marksista jak i budowniczy państwa komunistycznego. Jego krytyka nie jest czysto negatywna lecz zawiera wytyczne przebudowy — wytyczne owego ,,nowego modelu" o którym tyle się obecnie pisze.

W niedalekiej przyszłości książka Djilasa w przekładzie polskim ukaże się w serii ,,Biblioteki Kultury".

ZNOWU ZAGŁUSZAJĄ?

Z wiadomości jakie otrzymaliśmy z Kraju wynika, że przystąpiono znów do zagłuszania zachodnich radiostacji. Nasi informatorzy wymieniają pięć miejscowości, w których podobno uruchomiono stacje zagłuszające: Biedrusko pod Poznaniem, Bytom, Opole, Wrocław i Zabrze.

Jeżeli powyższe informacje są zgodne z prawdą to trzeba powiedzieć, że wszystko wraca — i to niestety raczej szybko — do ,,starego porządku". Zmontowanie nowych stacji zagłuszających jest niewątpliwie dość oryginalnym sposobem uczczenia rocznicy polskiego Października.

LONDYŃCZYK

Kryzys samorządu robotniczego

1. *Samorząd robotniczy — postulat polityczno-ustrojowy*

Rok temu fala rewolucji październikowej wysunęła jako sztandarowe hasło przejęcie przez robotników zarządu zakładami pracy.

Ale idea samorządu robotniczego nie powstała dopiero w październiku, formowała się ona — wraz z narastającą falą niezadowolenia i buntu — już od wypadków czerwcowych. Dyskutowano ją żywo w takich ośrodkach, jak FSO na Żeraniu, w WFM, u ,,Świerczewskiego'' i innych.

To związanie idei samorządu robotniczego z ruchem mas o cechach ruchu rewolucyjnego przesądziło o jej charakterze. Samorząd robotniczy nie miał ograniczać się tylko do osiągnięcia lepszej organizacji pracy w przedsiębiorstwach i zapewnienia w ten sposób zwiększenia zarobków. Nie miał on być tylko walką z samowolą i bezkarnością biurokracji, z wszechogarniającym centralizmem i nonsensami życia gospodarczego. Jak przypomina się dzisiaj:

> ,,Sprawa dotyczy przecież udziału robotników w zarządzaniu przedsiębiorstwami, jednego z podstawowych elementów umacniania dyktatury proletariatu poprzez wciąganie mas do rządzenia. Czołowe oddziały klasy robotniczej — przypomnijmy — w październiku wysuwały ten problem jako sztandarowe hasło, mające prowadzić do dalszych rewolucyjnych zmian''.
>
> (,,Rada Robotnicza'' (1), nr 24/57)

(1) Tygodniowy dodatek do ,,Głosu Pracy''.

Związanie idei rad robotniczych z daleko idącymi hasłami rewolucyjnymi propaguje od początku grupa „Po Prostu". W nr 3-cim tego tygodnika mówi się, że ruch rewolucyjny, „wysuwając hasło samorządu robotniczego nie miał na celu dokonywania jakichś drobnych korekt w dotychczasowym modelu gospodarczym. Chodziło przede wszystkim o radykalną zmianę tego modelu, o budowanie socjalizmu zgodnie z narodowymi warunkami Polski". Bo „rady przecież są najistotniejszym, głównym dotychczas konstruktywnym elementem polskiej drogi do socjalizmu". A w konsekwencji tego stanowiska „Po Prostu" stwierdza, że „samorząd robotniczy jest przede wszystkim instytucją o charakterze polityczno-ustrojowym".

Charakter polityczno-ustrojowy samorządu robotniczego został sformułowany konkretnie już w nr. 1-ym tego tygodnika. W skrócie wygląda to w ten sposób. Dla zlikwidowania źródeł wypaczeń „tzw. stalinizmu" i dla przywrócenia dyktaturze proletariatu jej istotnej treści, trzeba stanąć na stanowisku, że „ruch samorządów robotniczych powinien pociągnąć za sobą cały łańcuch przeobrażeń w strukturze politycznej i gospodarczej państwa". Jeśli bowiem rady robotnicze nie mają mieć tylko charakteru doradczego, ale „stać się najwyższą władzą w przedsiębiorstwie" to „nie mogą one być w hierarchii wyższej podporządkowane czy uzależnione od starego biurokratycznego sposobu zarządzania, dostosowanego do potrzeb poprzedniego modelu społeczno-gospodarczego". Toteż „obecnie czy w najbliższej przyszłości trzeba bezwzględnie przechodzić od rad w poszczególnych przedsiębiorstwach do systemu rad".

A więc konieczna jest pionowa rozbudowa rad. Rady robotnicze w poszczególnych przedsiębiorstwach jednej gałęzi produkcji wyłoniłyby — na szczeblach centralnych zarządów — przedstawicielstwa klasy robotniczej, które „z kolei powoływałyby przedstawicielstwa wyższego szczebla, swego rodzaju sejmy i ogólny Sejm Robotniczy". Ten Sejm Robotniczy zapewniłby klasie robotniczej decydujący wpływ na główną dziedzinę życia gospodarczego, a co za tym idzie decydujący wpływ na całą politykę państwa. Kwestię formy tego wpływu w systemie władzy „Po Prostu" uważa za sprawę drugorzędną. Może to być więc odrębna reprezentacja obok dotychczasowego sejmu, lub też reprezentacja w łonie sejmu. Tyle grupa „Po Prostu" (2)

Koncepcja pionowej rozbudowy rad rozwija się i w innych wypowiedziach prasowych i dyskusjach. A chociaż Gomułka już w lutym, na II zjeździe Naczelnej Organizacji Technicznej (NOT) uznał za „daleko niedojrzałe wysuwane tu i ówdzie koncepcje pionowej rozbudowy rad robotniczych", to jednak jeszcze w kwietniowym numerze „Nowych Dróg", w dyskusji, zorganizowanej przez redakcję na temat rad robotniczych, spotykamy się

---

(2) W Jugosławii istnieje pionowa rozbudowa rad robotniczych i reprezentacja wytwórców w organach władzy politycznej.

zarówno z ideą politycznej roli rad robotniczych i ich pionowej rozbudowy, jak i z powołaniem drugiej izby sejmu.

Tak więc jeden z uczestników dyskusji nie sądzi, by

,,rady robotnicze były elementem tylko demokratyzacji gospodarczej. Są one również elementem demokratyzacji politycznej. Uważam, że byłoby dobrze, gdyby bezpośredni udział klasy robotniczej w rządzeniu nie ograniczał się wyłącznie do przedsiębiorstw. Sądzę, że jest to możliwe również na innych szczeblach systemu zarządzania. W szczególności uważam, że miałoby istotne znaczenie gospodarcze i polityczne istnienie w naszym Sejmie drugiej izby, która będąc przedstawicielstwem samorządu robotniczego, chłopskiego i rzemieślniczego brałaby udział w decydowaniu o wszystkich zagadnieniach gospodarczych i najważniejszych sprawach politycznych''.

Inny dyskutant, wypowiadając się przeciw drugiej izbie i stwierdzając, że nie można pionowej rozbudowy rad przeprowadzać, kiedy nie ma się jeszcze prawie żadnych doświadczeń działania rad w zakładach, uważa jednak, że ,,sprawa ewentualnej dalszej pionowej rozbudowy rad jest oczywiście do rozważenia. Nie można się od niej odżegnywać, jak od jakiegoś odstępstwa od marksizmu''.

Zresztą za koncepcją wiązania zmian gospodarczych ze zmianami polityczno-ustrojowymi wypowiadają się również i niektórzy ekonomiści. Tak na przykład prof. O. Lange stwierdza, że ,,nowy model gospodarczy będzie wymagać pewnych zmian w ustroju politycznym: powołania w sejmie drugiej izby, reprezentującej samorządy robotnicze, spółdzielcze i inne formy samorządu chłopskiego'' (,,Trybuna Ludu'', 1/I/57).

Głosów takich można by przytoczyć jeszcze wiele. Ale cała ta, czasami niezmiernie gorąca i ostra dyskusja, została gwałtownie ucięta na IX Plenum KC. PZPR. w połowie maja br. I w referacie Gomułki i w przyjętych uchwałach partia zajęła zdecydowanie negatywne stanowisko wobec pionowej rozbudowy rad robotniczych i nadawania im charakteru ruchu politycznego.

Uznając, że koncepcja rad robotniczych, jako politycznej organizacji klasy robotniczej i podstawy dyktatury proletariatu jest ,,tendencją szkodliwą'', Gomułka stwierdził bezapelacyjnie, że:

,,Rady robotnicze nie są organami politycznej władzy klasy robotniczej, jakimi były w historii ruchu robotniczego Rady Delegatów Robotniczych''.

Według Gomułki ,,pojęcie rad robotniczych zawęża się do odcinka bezpośredniego, zamkniętego w określonych ramach zarządzania przez robotników swoimi zakładami pracy''.

Tak samo zdecydowanie wypowiada się Gomułka przeciw wszelkim projektom pionowej rozbudowy rad, uważając, że ,,rady robotnicze budowane pionowo w górę we wszystkich branżach go-

spodarki narodowej musiałyby mieć nad sobą jakąś centralną zwierzchnią władzę''. A ponieważ nie mógłby nią być rząd, a więc w rezultacie rząd stałby się zbyteczny, stąd: ,,Krótko mówiąc w całej tej koncepcji obnażyła się anarchistyczna utopia... chyba nie warto nad nią dyskutować''.

Stanowisko to znalazło ostateczne sformułowanie w uchwale IX Plenum, stwierdzającej, że ,,Partia odrzuca jako niesłuszne i szkodliwe dla budownictwa socjalistycznego... postulaty pionowej rozbudowy rad robotniczych według branż''.

W ten sposób partia zażegnała niebezpieczeństwo, jakie zrodziło się z ,,października'', niebezpieczeństwo tworzenia się konkurencyjnej siły politycznej, organizującej robotników w jaką — według koncepcji wielu spośród inicjatorów samorządu robotniczego — mogłyby się przerodzić rady robotnicze.

O całkowitym — pozornie przynajmniej — zwycięstwie partii w tej sprawie świadczy zmiana tonu tygodnika ,,Po Prostu''. Po bojowych, rzucających daleko idące hasła artykułach w pierwszych numerach br., uchwały IX Plenum KC. zostały przyjęte nie tylko bez żadnego protestu, ale próbuje się je nawet uzasadniać. W artykule redakcyjnym (nr 21/57), omawiającym te uchwały, mówi się o zmianie ,,nastrojów entuzjazmu i ofiarności, charakterystycznych dla VIII Plenum'' na ,,rozczarowanie, zniechęcenie i apatię'', jakie nie ominęły i środowiska ,,najbliżej związanego z Październikiem'', to jest klasy robotniczej. Stwierdza się, że zmiany te wyrastały ,,między innymi z rozbieżności między wielkimi nadziejami a skromnymi rezultatami pierwszych popaździernikowych miesięcy'', ale podkreśla się natychmiast, że nie wszystkie z tych nadziei były ,,uzasadnione rzeczywistym układem stosunków'', i dochodzi się do ostatecznej konkluzji, że ,,dziś, gdy wielu ludzi przeżywa okres rozczarowania, kierownictwo partii przedstawia narodowi program może pozornie nieatrakcyjny, ale realny i w zasadniczych założeniach tak optymalny, jak na to skomplikowana sytuacja kraju pozwala''.

Jakże konkluzja ta odbiega daleko od pierwszych założeń grupy ,,Po Prostu'', która uważała, że rady robotnicze są przede wszystkim instytucją o charakterze polityczno-ustrojowym i jeszcze w styczniu bieżącego roku biła na alarm, że milczy się o tym właśnie charakterze rad.

2. *Czy rady robotnicze mają być podporządkowane partii?*

Przeprowadzone w ten sposób ,,odpolitycznienie'' ruchu rad robotniczych nie oznacza bynajmniej, że partia rezygnuje z bezpośredniego wpływu na działalność rad.

Nie ulega wątpliwości, że nie partia jako taka i nie VIII Plenum wysunęło hasło samorządu robotniczego. Stwierdza to choćby tygodnik ,,Po Prostu'', mówiąc, że ,,nie VIII Plenum stworzyło nową epokę. Nowe rodziło się wprawdzie ciężko, ale znacznie wcześniej'', i dopiero ,,pod wpływem stanowiska klasy

robotniczej VIII Plenum przyjęło zdecydowany kurs na demokratyzację''.

Żywiołowy ruch powoływania rad robotniczych w okresie po październikowym także nie był kierowany przez partię. Przeciwnie, w wielu wypadkach występował on nie tylko przeciw dotychczasowemu systemowi centralistycznego administrowania produkcją, ale był protestem przeciw metodom ,,rządzenia'' przez komórki partyjne wewnątrz zakładów pracy. Metody te dobrze charakteryzuje kilka poniżej podanych przykładów.

,,Dotychczas organizacje partyjne rządziły w zakładzie — lepiej czy gorzej, ale rządziły. Wyrażało się to między innymi w tym, że zapraszało się na posiedzenie egzekutywy dyrektora zakładu i próbowało na niego wpływać. Podejmowano takie czy inne decyzje, nieraz niesłuszne, ale dyrektor dla świętego spokoju wolał się często po prostu nie sprzeciwiać. Organizacje partyjne rządziły, jak wiadomo (najłatwiej tak rządzić) administracyjnymi metodami. Te administracyjne metody tak głęboko zakorzeniły się u naszych członków partii i działaczy w zakładzie, że walka z nimi będzie wymagała dłuższego okresu czasu.'' (,,Nowe Drogi'', 4/57).

Drugi przykład jeszcze bardziej wymowny:

,,Trzeba się cofnąć pół roku wstecz... Przecież w owym czasie... z głosem jego (3) każdy się liczył, począwszy od szeregowego pracownika zakładu, a skończywszy na dyrektorze... Polecenia sekretarzy, uchwały K.Z. lub P.O.P. (4) choć często niezrozumiałe dla załogi, były przyjmowane do wykonania... Ze statutowego prawa kontroli administracji korzystano zarówno w stosunku do dyrektorów członków partii, jak i bezpartyjnych, a nawet członków stronnictw politycznych. Uchwały wiązały wszystkich. *Kto się im sprzeciwiał, miał potem ciężkie życie w zakładzie, zresztą takich odważnych było bardzo niewielu''* (podkreślenia autora) (,,Nowe Drogi'', 5/57).

I wreszcie warto jeszcze przytoczyć za ,,Po Prostu'' (nr 24/57), przykłady z przemysłu węglowego. Oto w kopalni ,,Polska'' sekretarz organizacji partyjnej kazał się co rano meldować u siebie dyrektorowi, a w innej kopalni pracownicy, wzywani do sekretarza organizacji partyjnej ,,żegnali się przed drzwiami''.

W tych warunkach nic dziwnego, że jak wynika z szeregu autorytatywnych stwierdzeń, liczba członków partii wewnątrz rad robotniczych wynosi przeciętnie od 30 do 50 procent ,,radnych''. Ale, według oceny Egzekutywy Kom. Warsz. PZPR ,,za tym przeciętnym wskaźnikiem 40 procent członków partii w radach robotniczych kryje się pewna ilość rad, w których od-

(3) Sekretarza K.Z., to jest Komitetu Zakładowego Partii.
(4) Podstawowa Organizacja Partyjna.

setek ten jest zupełnie znikomy, lub absolutnie niewystarczający" („Nowe Drogi", 6/57).

Przed partią staje więc dylemat: w jaki sposób nie dopuścić, by rady robotnicze stały się czynnikiem, działającym poza partią i nie poddającym się jej wpływom.

I tu zaczyna się gorąca dyskusja między zwolennikami bezpośredniego wpływania partii na działalność rad robotniczych. Bardzo charakterystyczny artykuł pod tytułem „Samorząd robotniczy czy nowa „transmisja"? pojawił się już w pierwszym okresie tej dyskusji. („Rada Robotnicza", nr 10/57).

Omawiając naradę „w pewnej instancji partyjnej", autorka artykułu stwierdza, że jest ona

„symptomatyczna dla pewnych niepokojących prób wypaczenia idei samorządu robotniczego... Otóż jednym z głównych objawów złej pracy rad robotniczych miał być nie fakt, że nie spełniają one istotnie roli w kierowaniu zakładem pracy, ale to, że nie spełniają one roli „pomocnika" zakładowych instancji partyjnych w pracy agitacyjnej wśród załogi. A najgłębszym powodem tej słabej pracy ma być — jak się okazało — zbyt niski procent członków partii w radach... I to właśne — mówiono — jest powodem złej pracy samorządu, bo „gdzie my nie działamy — działa wróg".

To straszenie wrogiem klasowym wewnątrz rad robotniczych występuje już wyraźnie w przemówieniu Gomułki na IX Plenum KC. Zastrzegając się wprawdzie przeciw narzucaniu robotnikom osobowego składu rad, uważa on jednak, że partia powinna *wskazywać* robotnikom kandydatów do rad i przestrzega przed przenikaniem do nich „obcych ideowo elementów", „wrogów klasowych".

Na podstawie wieloletniego doświadczenia metod działania partii łatwo jest sobie wyobrazić, jak różne komórki partyjne będą stosować w praktyce te dane im z góry zalecenia „wskazywania" i wpływania na wybory do rad robotniczych.

Ponieważ wybory są jednak rzeczą niepewną, a, jeśli chodzi o rady robotnicze, to — jak stwierdza się powszechnie — były one pierwszymi na terenie zakładów pracy prawdziwymi wyborami, trzeba było więc szukać innych metod opanowywania rad robotniczych, opanowywania ich od wewnątrz.

Dalsza dyskusja o wpływie partii na rady robotnicze toczy się już na temat, czy mają być tworzone wewnątrz nich formalne „zespoły partyjne", podporządkowane decyzjom organizacji partyjnych.

Początkowo w dość swobodnej dyskusji zaznaczają się różne stanowiska. Znalazły one swój wyraz na łamach kwietniowego numeru „Nowych Dróg". Jedni członkowie partii bronią idei zespołów, uważając za niesłuszny argument, „jakoby zespół partyjny powodował rozbicie rady robotniczej, albo że działanie zespołu partyjnego prowadzi do narzucania zdania radzie robotni-

czej''. Inni są wręcz przeciwnego zdania, twierdząc, że ,,nie powinno być — w zasadzie — zespołów partyjnych w radach robotniczych. Istnieje obawa, że jeżeli nie zostaną przezwyciężone administracyjne metody kierowania, zespoły te mogą stać się organami komenderowania radami robotniczymi''.

I wreszcie trzecia grupa uważa, że chociaż w szeregu zakładów powołano już zespoły partyjne, to jednak ,,formę tę należy wprowadzać ostrożnie i tylko wtedy, gdy jesteśmy przekonani, że nie wywoła to fałszywych komentarzy i niewłaściwej reakcji ze strony załóg, dopatrujących się w utworzeniu zespołu partyjnego próby komenderowania radą''. Stanowisko takie znalazło nawet wyraz oficjalny w uchwale Plenum K.W. PZPR z kwietnia br., która mówi, że ,,Plenum K.W. pozostawia do uznania podstawowym organizacjom partyjnym sprawę powołania takich zespołów, zależnie od konkretnych potrzeb i warunków poszczególnego zakładu pracy'' (,Nowe Drogi'', 5/57).

Ale i ta wiele miesięcy trwająca dyskusja została definitywnie rozstrzygnięta w maju br. na IX Plenum KC, które uchwaliło, że w radach robotniczych ,,należy powoływać spośród członków partii zespoły partyjne''.

W ten sposób została w zasadzie przesądzona sprawa faktycznej niezależności rad robotniczych. Jak się można było spodziewać, decyzja ta wywołała wielki niepokój i niezadowolenie wśród rad robotniczych, którego echa odbijają się na łamach prasy. Charakterystyczny artykuł pojawił się w ,,Radzie Robotniczej'', nr 27/57, pod tytułem ,,Jeszcze raz o zespołach partyjnych. Czy zagrażają ,,suwerenności'' rad?''.

Autor stwierdza w nim, że:

,,w niejednym zakładzie pracy napotyka się pewne objawy niechęci do tworzenia zespołów partyjnych przy radach robotniczych, a nawet — powiedzmy wręcz — obawy, że powstanie ich zakłóci współpracę między członkami partii a bezpartyjnymi, że bezpartyjni wyciągną z tego wniosek: ,,partia chce komenderować po dawnemu''; że powstanie zespołów może stłumić u członków partii samodzielność myślenia''.

Ba, autor przytacza nawet przykład zdecydowanego oporu: oto na zebraniu aktywu woj. warszawskiego, odpowiedzialny działacz Zakładów Mechanicznych w Pruszkowie oświadczył: ,,u nas nie będzie zespołu partyjnego''. Autor dziwi się, że nikt mu nie wytłumaczył, iż jest to przymus i że ,,uchwały Plenum KC obowiązują każdą organizację partyjną''.

Zastanawiając się dalej nad niebezpieczeństwem powstania zespołów partyjnych, zwłaszcza tam, ,,gdzie organizacja pojmuje źle, po staremu swoją rolę kierownika politycznego'', autor pociesza się w końcu, że zagrożenie ,,suwerenności'' rad przez zespoły partyjne nie jest takie wielkie, ,,ponieważ — argument może prymitywny, ale za to konkretny: wiemy dobrze, że w większości rad robotniczych udział członków partii nie przekracza jednej trzeciej''.

Ten naiwny, ale z pewnością życiowy argument będzie jednak tak długo działać, dopóki nie zwiększy się nacisk partii na wybory do rad robotniczych.

3. *Kto ma zajmować się sprawami produkcji: rady robotnicze czy związki zawodowe?*

Torując drogę bezpośredniego wpływu komórek partyjnych na działalność rad robotniczych, Gomułka wysuwa równocześnie związki zawodowe jako ,,opiekuna'' rad.

I tu odżywa na nowo ostry konflikt, jaki powstał na początku podjęcia hasła samorządu robotniczego: kto ma zajmować się sprawami produkcji i reprezentować załogi w tym zakresie: związki zawodowe i ich najniższe komórki — rady zakładowe, czy też świeżo powstające rady robotnicze?

Konflikt ten został wówczas łatwo rozstrzygnięty na korzyść rad robotniczych. Zbiurokratyzowane, scentralizowane i niezdolne do żadnej twórczej inicjatywy, związki zawodowe straciły w tym okresie resztki zaufania wśród rzesz robotniczych. Robotnicy odsuwali się od organizacji związkowych, które przez szereg lat spełniały — na rozkaz partii — wyłącznie rolę ,,poganiacza'', których jedynym celem działalności było dążenie do wykonania — za wszelką cenę — nadmiernie wygórowanych planów produkcji, a nie dobro i obrona interesów robotniczych.

Ale powiew wolności w Polsce nie mógł nie wpłynąć i na ruch związkowy. Jak pisze ,,Rada Robotnicza'', nr 22/57:

,,Przemiany październikowe nie ominęły i związków. Zachodzą w nich (nie bez trudności zresztą), te same procesy demokratyzacji, odbiurokratyzowania, usamodzielnienia, które znaczą drogę przemian w partii i w całym naszym życiu''.

A więc zmienia się scentralizowana struktura organizacyjna ruchu związkowego, szereg przymusowo przedtem połączonych związków rozpada się na organizacje samodzielne, zmniejsza się znacznie aparat biurokratyczny, związki zaczynają zatracać charakter ,,tuby partyjnej'', a zamiast interesów produkcji, wysuwają na pierwsze miejsce obronę interesów pracowników.

W związku z tym następuje wyraźne rozgraniczenie zadań i roli, jaką mają spełniać związki zawodowe i rady robotnicze. W styczniu br. X Plenum CRZZ stwierdza, że do rady robotniczej należy zarządzanie przedsiębiorstwem, podejmowanie decyzji w sprawach gospodarczych, natomiast rady zakładowe ponoszą odpowiedzialność za sprawy warunków pracy i bytu załóg.

Kiedy jednak hasło obrony interesów robotniczych zostało szczerze podjęte przez poszczególne związki, kiedy zaczęto domagać się podwyżki głodowych zarobków, a jednocześnie zbyt usamodzielniać się w stosunku do partii — następuje reakcja od góry, cofanie się z przyjętego po październiku kierunku. Wyrazem tego odwrotu jest artykuł przewodniczącego CRZZ w

„Przeglądzie Związkowym" (nr 6/57), pod tytułem „Po IX Plenum".

Autor stwierdza w nim, że zmiany i krytyka stanu poprzedniego wewnątrz związków zawodowych poszły w pewnych wypadkach „za daleko", że przejawiły się w różnych ogniwach związkowych „tendencje rewizjonistyczne", jako „próby wskrzeszenia... wstecznych, dawno rozgromionych w naszym ruchu teorii socjaldemokratycznych, wyrażających się w negowaniu i pomniejszaniu kierowniczej roli partii".

Jednocześnie zaś wysuwa postulat, by związki zawodowe przeciwstawiły się z całą stanowczością wąskiemu pojmowaniu „funkcji obrony interesów pracowniczych jedynie od strony postulowania podwyżek płac i innych świadczeń". Trzeba by organizacje związkowe „tkwiły mocno w zagadnieniach produkcji i gospodarki narodowej" by wkładały jak najwięcej wysiłku „w zapewnienie lepszych wyników gospodarczych w produkcji".

Przyjęte przez X Plenum CRZZ w styczniu rozgraniczenie kompetencji związków zawodowych i rad robotniczych staje się dziś nie tylko nieaktualne, ale — jak się okazuje — niezgodne z teorią Lenina. Czytamy dalej w artykule:

„Sztywne rozgraniczenie działalności rad robotniczych od działalności związków zawodowych — poprzez zawężenie sfery ich działania jedynie do spraw socjalno-bytowych — nie jest słuszne również z teoretycznego punktu widzenia. Zwolennicy oderwania i rozgraniczenia działalności związków od rad robotniczych siłą rzeczy spychają związki zawodowe na pozycje niewłaściwie pojętej obrony interesów robotniczych, co pozostaje w oczywistej niezgodzie z leninowskim określeniem funkcji związków zawodowych, jako szkoły gospodarowania i rządzenia".

Pod naciskiem takiego stanowiska CRZZ, kolejno odbyte w lipcu br. plenarne posiedzenia zarządów głównych szeregu „samodzielnych" związków zawodowych przeszły do ofensywy. Jak stwierdza „Głos Pracy" (5/VIII/57) w artykule redakcyjnym ,na posiedzeniach tych omawiano:

„sferę zagadnień produkcyjnych, które dawniej stały w orbicie uwagi działaczy związkowych, a dziś są często zupełnie pomijane.... Było to konieczne wobec istnienia nie tylko wśród rzesz pracowniczych, ale i wśród działaczy związkowych wątpliwości co do roli i zadań związków zawodowych oraz pojmowania funkcji reprezentanta i obrońcy ludzi pracy".

Cytata ta nie pozostawia wątpliwości, że władze związkowe, — wbrew oczywistym nastrojom i dążeniom rzesz pracowniczych i dołów związkowych — wytyczają kierunek działalności ruchu zawodowego, podporządkowując go bezapelacyjnie dyrektywom partii i narzuconej przez nią interpretacji obrony interesów pracowniczych.

W tych warunkach jasne się staje, że partia woli opierać się na związkach zawodowych, niż na niepewnych, nieopanowanych jeszcze radach robotniczych.

Na IX Plenum KC Gomułka stwierdził potrzebę ,,powiązania'' rad robotniczych ze związkami zawodowymi oraz udzielania przez związki ,,pomocy'' radom robotniczym.

Takie sformułowanie stosunku między związkami zawodowymi a radami robotniczymi wywołało wielkie zaniepokojenie i zamieszanie wśród rad robotniczych. Prasa pełna jest głosów niepokoju, że pomoc związków zawodowych okaże się w praktyce ,,komenderowaniem'' radami, ,,że więź rad robotniczych ze związkami — to nic innego, jak stopniowy uwiąd tych pierwszych'' (,,Rada Rob.'', nr 22/57).

Charakterystyczny przykład słuszności tych niepokojów znajdujemy w Stoczni Gdańskiej. Działa tam rada robotnicza, która nie tylko ma już pewne osiągnięcia, ale i przygotowuje się do przejścia na eksperyment. Ponieważ jednak w lipcu br. plan globalny produkcji nie został w Stoczni wykonany, do boju występuje rada zakładowa. Jak podaje ,,Głos Pracy'' z 12/VIII/57, rada zakładowa postanowiła uznać wykonanie planu za swój ,,czołowy'' problem, a jej przewodniczący żąda, by administracja Stoczni ,,uznała znowu współodpowiedzialność organizacji związkowej za produkcję i przeszła do codziennej współpracy z nami''.

Cóż więc pozostaje dla rady robotniczej w tym zakładzie, jak nie powolny uwiąd?

O istnieniu tendencji podporządkowania rad robotniczych związkom zawodowym, alarmuje W. Skulska w artykule: ,,Uwaga: Rady Górnicze zagrożone!'' (,,Po Prostu'', nr 22/57):

,,W kopalniach powiedziano mi, że związki zawodowe ,,przejmują'' Rady Górnicze. Wyśmiałam się. A w godzinę później, siedząc w wymienionym gmachu związkowym — przestałam się śmiać... Zapoznano mnie z tezami dyskusji na temat ,,Związek zawodowy — Rada''. Są to tylko pierwsze propozycje.... wyrażają jednak *pewne tendencje*, dlatego, mimo niedyskrecji — cytuję niektóre punkty''.

A więc, że rada robotnicza ma być pozbawiona wszelkiej samodzielności działania: nie może ona wysuwać żadnych dezyderatów, postulatów i wniosków inaczej, jak za pośrednictwem rady zakładowej; nie wolno jej kontaktować się bezpośrednio z instancjami wyższymi, Ministerstwem Górnictwa itp., a gdyby jednak delegacja rady robotniczej udała się do ministerstwa bez udziału rady zakładowej, ministerstwo nie powinno prowadzić z nią żadnych rozmów itp.

Kończąc cytatę, autorka dodaje:

,,Dziś zajmują się radami wszyscy: partia, resort, związki. Związki, jak widać, z apetytem, przypominającym wilka z bajki o Czerwonym Kapturku. Nie pozwólmy go schrupać!!!!''

4. *Przeszkody w działalności rad robotniczych.*

Tak przedstawia się atmosfera, w jakiej pracować muszą dziś rady robotnicze.

Jeśli chodzi natomiast o stronę gospodarczą, to tu piętrzą się przed nimi niezmierne, na razie często nie do pokonania trudności.

Według początkowych założeń samorząd robotniczy miał być jednym z podstawowych elementów nowego modelu gospodarczego. Ponieważ jednak zmiana modelu jest i bardzo trudna i nie może być szybko przeprowadzona, dla umożliwienia radom robotniczym pracy w pierwszym etapie ich działalności, uchwalono — obok ustawy o radach robotniczych — ustawę o Funduszu Zakładowym, to jest o udziale robotników w zyskach, oraz wydano uchwałę Rady Ministrów o rozszerzeniu uprawnień państwowych przedsiębiorstw przemysłowych.

Uchwała ta (zwana w skrócie uchwałą 704), nie naruszając w niczym istniejącej organizacji produkcji, miała zapewnić większą swobodę przedsiębiorstw, bez czego rady robotnicze nie mogłyby ruszyć z miejsca. Dotychczas bowiem, według doskonałej charakterystyki, podanej w ,,Przeglądzie Technicznym'' z 20/II 1957 r.:

,,Władze centralne określały schemat organizacyjny przedsiębiorstwa, ustalały dokładnie każdą komórkę, szufladkowały każdego pracownika przedsiębiorstwa.

,,Władze centralne określały dokładnie, do najdrobniejszych szczegółów i asortymentów produkcję każdego zakładu i określały ściśle źródła i warunki zaopatrzenia oraz adresy i warunki zbytu, ustalały jak najdokładniej koszt produkcji i płace załogi.

,,Władze centralne — nie licząc się często z opinią kierownictwa zakładu i nie pytając o zdanie załogi — decydowały o każdej dużej i małej inwestycji. Wobec tego kierownictwo i załoga były obojętne, gdy inwestycja była nawet wyraźnym marnotrawstwem.

,,Władze centralne zaczęły nawet dysponować wozami służbowymi zakładów, ich funduszami na delegacje służbowe a nawet ich kancelaryjnymi zakupami. Najdrobniejsze i najbardziej miejscowe kontakty ze światem zewnętrznym (z handlem, rzemiosłem, spółdzielniami pracy) wymagały sankcji z góry, poczynały być regulowane z góry''.

Jak więc wynika jasno z tej notatki — przed wydaniem uchwały 704 — przedsiębiorstwa były całkowicie ubezwłasnowolnione i nie mogły rozwijać żadnej inicjatywy. Ale czy i co zmieniło się w praktyce od czasu jej ukazania się w dniu 10 października ubiegłego roku?

Jedną z zasadniczych przeszkód, pomniejszających działanie uchwały, jest gąszcz starych przepisów (,,Głos Pracy'' naliczył

ich aż 12.850!), nieraz sprzecznych z nią oraz z duchem i literą ustawy o radach robotniczych.

Mimo stale wysuwanych postulatów uporządkowania i poddania rewizji wszystkich tych zarządzeń i mimo że rok już prawie upłynął od wydania uchwały, nic dotychczas nie zostało w tej sprawie zrobione. Użala się na to wielokrotnie „Rada Robotnicza":

„Mój Boże! — wzdychają niektórzy — napłodziliśmy przez te lata takie tomy okólników, zarządzeń, przepisów i załączników ku ludzkiej udręce, a tak trudno nam zdobyć się teraz na kilka zarządzeń, których tak bardzo brak! Na początek — chociażby zarządzeń a n u l u j ą c y c h ..." (nr 17/57).

„Małe przeszkody urastają wówczas do rozmiarów klęsk, a ludzie w zakładach pracy, na których się to wszystko skrupia, tresują się w gimnastyce i akrobacji „uników", czyli unikania przepisów" (nr 20/57).

Ale jak słusznie podkreśla się w dyskusji o radach robotniczych na łamach „Nowych Dróg" (4/57), samo uchylenie zarządzeń nie zmieni automatycznie metody pracy wyższych instancji gospodarczych i ich stosunku do zakładów pracy. Jedną bowiem z poważnych przeszkód w praktycznym usamodzielnianiu się przedsiębiorstw, a więc i w efektywnej pracy rad robotniczych, są Centralne Zarządy, które na początku bieżącego roku „chcąc dowieść konieczności swego istnienia bardzo poważnie się zaktywizowały... przesądzając z góry o całym szeregu spraw... obdzielając zakłady szczodrze dyrektywami, instrukcjami i poleceniami".

W dyskusji tej nie brak jest drastycznych przykładów „twórczości" centralnych zarządów. Tak więc przytacza się, że w Centralnym Zarządzie Przemysłu Cukierniczego jeszcze na rok bieżący „zaplanowano centralnie wszystkie smaki, receptury a nawet obwoluty na czekolady produkowane przez fabryki w całym kraju". Kwestionuje się „potrzebę i celowość centralnego zarządzania produkcją wody sodowej", lub też planowania na najwyższym ekonomicznym szczeblu państwowym „ilości landrynek, struksu w zielone kropki, czy też bucików na wysokich obcasach" i z humorem nakreśla się działalność Zarządu Przemysłu Zieleniarskiego:

„Może wulgaryzuję, ale wygląda to tak: chodzi babcia po łące i zbiera rumianek. I do tego jest cały aparat CZ, który głowi się, ile babcia ma zamiar zebrać rumianku i jak go sprzedać".

Przed wydaniem uchwały o rozszerzeniu uprawnień państwowych przedsiębiorstw przemysłowych, plan produkcji rocznej każdego przedsiębiorstwa był ustalany szczegółowo przez Centralne Zarządy za pomocą tak zwanych wskaźników, przy-

tym, jak podaje R. Fidelski w broszurze (5), omawiającej tę uchwałę, liczba ich „była tak duża, że zestawienie ich razem wraz z niezbędnym omówieniem stanowiło grubą księgę''.

Uchwała 704 redukuje ilość wskaźników tych do ośmiu. Ale, w dyskusji w „Nowych Drogach' stwierdza się nie tylko, że „liczby wskaźników planu na rok 1957 z reguły nie zmniejszono'', ale że „trudno jest przypuścić, aby to była kwestia tylko nieudolności czy opieszałości. Są to opory nie tylko biurokratyczne, ale noszą charakter mniej lub bardziej świadomie polityczny''.

Oprócz dotychczas scharakteryzowanych trudności natury raczej administracyjno-gospodarczej, istnieją, oczywiście, bardziej zasadnicze przeszkody w działalności samorządu robotniczego, jak wadliwy z gruntu system cen i związana z tym niemożność ustalania rentowności przedsiębiorstw i osiąganego zysku, trudności w przeprowadzaniu inwestycji, zakupów, sprzedaży, słowem cały szereg spraw, wynikających z obecnego modelu gospodarczego.

Pierwsze jaskółki głębszych zmian, to ogłoszone w czerwcu br. „Tezy Rady Ekonomicznej w sprawie niektórych kierunków zmiany modelu gospodarczego''. Tezy te, które, jak stwierdza się w prasie krajowej, są kompromisem zwolenników dawnego i nowego systemu, były już wprawdzie rozpatrywane przez Radę Ministrów w dniu 30 lipca, ale droga do ich realizacji jest jeszcze daleka. Trudno też jest przewidzieć już dzisiaj, jakie będą ich dalsze losy. Jak pisze „Po Prostu'' (25/57):

„O tym, jaka będzie interpretacja Tez Rady, która z obu tendencji, połączonych w kompromisowym projekcie zwycięży i jaki będzie ostatecznie model realizowany w praktyce — zadecyduje życie, zadecyduje dalszy rozwój sytuacji — przede wszystkim politycznej''.

Toteż w tej chwili dla rad robotniczych praktyczne znaczenie ma problem bardziej konkretny: interpretacja ich uprawnień i zadań. Sprawy te są tematem żywej dyskusji, począwszy od sporu zasadniczego: czy rady robotnicze „zarządzają'' przedsiębiorstwem. Choć formułuje to wyraźnie ustawa o radach robotniczych, której art. 2, p. 1, mówi, że: „Rada robotnicza zarządza w imieniu załogi przedsiębiorstwem, będącym własnością ogólno-narodową'', uprawnienia rad w tym zakresie są poddawane w wątpliwość.

W dyskusji w kwietniowych „Nowych Drogach'' są wprawdzie obrońcy ścisłej interpretacji ustawy, ale mówi się też o wątpliwościach, czy da się pogodzić te uprawnienia z zasadą jednoosobowego kierownictwa zakładem pracy, mówi się, że „rada robotnicza powinna być organem doradczym i kontrolnym, albo nadzorczym w stosunku do administracji, a nie organem zarzą-

(5) „O radach robotniczych. Nowe zjawiska w życiu gospodarczym Polski''.

dzania'' i wreszcie, że może być mowa tylko o ,,udziale'' rady robotniczej w zarządzaniu przedsiębiorstwem.

Takie właśnie sformułowanie ustalił ostatecznie Gomułka na IX Plenum KC, mówiąc, że ,,rady robotnicze są autonomiczną demokratyczną instytucją robotników, powołaną do współzarządzania poszczególnymi zakładami pracy''.

A co rozumie się przez to ,,współzarządzanie'' — wynika jasno z programu działalności rad robotniczych, nakreślonego na tym samym Plenum. Program ten sprowadza się do następujących zasadniczych punktów: 1) zmniejszenie kosztów produkcji poprzez likwidację marnotrawstwa, 2) dopilnowanie, aby plany produkcji nie były ,,zaniżane'', ale odpowiadały istotnym możliwościom zakładów, 3) bezbolesna likwidacja przerostów sił roboczych i administracyjnych w drodze zwiększania produkcji zasadniczej i zorganizowania produkcji ubocznej, 4) opiniowanie przydatności fachowej pracowników na kierowniczych stanowiskach, 5) walka z plagą kradzieży, łapownictwa i innych wykroczeń.

Program ten nie wiele odbiega od poprzednio już wysuwanych sformułowań — mocno w swoim czasie zwalczanych przez grupę ,,Po Prostu'' — ograniczających działalność rad robotniczych do trzech punktów: walki z marnotrawstwem, z przestępczością gospodarczą i z brakiem dyscypliny i porządku.

5. *Osiągnięcia i braki w działalności rad robotniczych.*

Za wcześnie jest dzisiaj jeszcze na ocenę rezultatów działalności rad robotniczych, za mało jest zebranych danych, za krótki okres ich istnienia, a przede wszystkim za wiele przeszkód, które wypaczają, lub wprost uniemożliwiają im pracę, a które — trzeba wierzyć — będą stopniowo usuwane. Jest jednak dość materiału, pozwalającego zorientować się w aktualnej sytuacji samorządu robotniczego.

Według różnych źródeł z sierpnia bieżącego roku rady robotnicze powstały już w 80% niemal przedsiębiorstw przemysłowych. Największy odsetek rad jest w przemyśle ciężkim, natomiast w przemyśle lekkim i w drobnych zakładach, rady istnieją zaledwie w 1/3 przedsiębiorstw.

Poważnym problemem, wywołującym gorącą dyskusję, jest skład socjalny rad robotniczych. Ustawa o radach robotniczych nie przesądza tej sprawy, daje tylko wskazówkę, że ,,rada robotnicza powinna w miarę możności składać się w 2/3 z robotników''.

W praktyce skład rad robotniczych jest bardzo różny. Tak więc w przemyśle ciężkim, według PAP, robotnicy stanowią połowę członków rad (5.350 robotników na ogólną liczbę 10.700 radnych).

Natomiast, jeśli chodzi o ocenę ogólną, to ,,Rada Robotnicza'' (23/57) podaje, że ,,w przeważającej większości wypad-

ków robotnicy nie stanowią połowy członków rad. W niektórych przedsiębiorstwach udział robotników wynosi zaledwie kilkanaście, czy kilka procent... Są również i takie zakłady, w których rady robotnicze składają się wyłącznie z pracowników administracji i personelu techniczno-inżynieryjnego. Rady takie spotkać można na wybrzeżu".

W dyskusji, jaka rozwinęła się w tej sprawie, wiele głosów broni obecnej sytuacji. Mówią one, że rady zostały wybrane w naprawdę wolnych wyborach, że duży udział w nich pracowników umysłowych wynika ze świadomości samych robotników, iż nie mają oni na razie odpowiedniego przygotowania do zarządzania zakładami pracy, nie należy więc wywierać nacisku na zmianę obecnej sytuacji.

Inni natomiast uważają, że należy dążyć do zwiększenia ilości robotników w radach, a wśród nich są i tacy, którzy wypowiadają się za zmianą ustawy i ustaleniem w niej stosunku liczbowego obu kategorii członków rad, tak jak to jest w ustawie jugosłowiańskiej, gdzie robotnicy stanowić muszą 4/5 składu tak zwanych ,,komitetów zarządzających".

W sprawie tej zabrał głos również Gomułka na IX Plenum KC. Uznając potrzebę uczestniczenia w radach inżynierów, techników i pracowników administracji, zastrzegł się on jednak, że ,,rady są radami robotniczymi, a więc powinny posiadać większość robotniczą, muszą robotnicy posiadać w nich głos decydujący". Należy więc wykorzystywać w tym kierunku wpływy partii przy wyborach do rad.

Przechodząc do praktycznej działalności rad, zacznijmy od przykładów pozytywnych, a przede wszystkim od przedsiębiorstw eksperymentujących. Wśród masy bowiem zakładów pracy, w których powstały rady robotnicze, wyodrębniono tak zwane przedsiębiorstwa eksperymentujące i dano im znacznie szersze uprawnienia, niż te, jakie wynikają z ustaw, dotyczących rad robotniczych. Różne bardzo podstawy eksperymentu, muszą być zaopiniowane przez Komitet Ekonomiczny i zatwierdzone przez Radę Ministrów.

W pierwszej fazie podjęło eksperyment 25 zakładów pracy, od 1 lipca zaczęło pracować na tych zasadach jeszcze 14 przedsiębiorstw, dalsze zwiększenie ilości eksperymentów przewidziane jest dopiero w przyszłym roku.

Oto kilka przykładów gospodarki rad robotniczych w eksperymentujących przedsiębiorstwach.

Zakłady przyrządów pomiarowych A-3 *im. Janka Krasickiego we Włochach* (6)

Rada robotnicza istnieje już od listopada ubiegłego roku. Zakład otrzymał — w ramach eksperymentu — ,,wolną rękę"

(6) Według ,,Trybuny Ludu", 11/VII/57, ,,Nowych Dróg", 5/57 i ,,Rady Robotniczej", 24/57.

w sprawach finansowych, w stosunku z odbiorcami, w zaopatrzeniu itp. Wykorzystując dużą swobodę w gospodarowaniu funduszem płac, zakład przebudował zupełnie system bodźców materialnych: zniesiono całkowicie akord i wprowadzono system dniówkowo-premiowy; w rezultacie zarobki robotników nieznacznie, ale systematycznie wzrastają. Równocześnie przeprowadzono rewizję zarobków i — za zgodą większości załogi — zmniejszono nadmiernie wygórowane zarobki niektórych kategorii robotników, a podniesiono płace tym, którzy zarabiali za mało (7). Tak więc zakład ten, otrzymawszy wolną rękę w dysponowaniu funduszem płac ,,potrafił rozwiązać te podstawowe trudności, z którymi w skali krajowej przemysł nie potrafił sobie dać rady''.

Po różnych zmianach organizacyjnych zakład osiągnął 100-procentową rytmiczność produkcji (brak rytmiczności był przedtem stałą bolączką zakładu); podniosła się jakość produkcji, a wydajność pracy zwiększyła się o 11,6 procent.

W rezultacie zakład wygospodarował w pierwszym kwartale br. 1,5 miliona obniżki kosztów produkcji. Ogólny zysk zakładu w tym okresie przekroczył sumę miliona złotych, z czego — w myśl przyjętych zasad — do podziału między załogę przypadło 40%. Odłożywszy pełne rozliczenie z tego tytułu do końca roku, załoga otrzymała na razie 50-procentową zaliczkę, co wyniosło blisko 20% zarobku każdego pracownika. Z wygospodarowanego zysku przeznaczono też 160 tysięcy złotych na akcję socjalną.

Zakłady Samochodów Osobowych Żerań (8)

Żerań uzyskał w ciągu pierwszych trzech miesięcy pracy na zasadach eksperymentu ponad 10 milionów złotych zysku.

Zysk ten powstał z obniżki kosztów produkcji, to jest z oszczędności, uzyskanych na materiałach pomocniczych, narzędziach, paliwie, usługach transportowych, remontach bieżących itp. Ponadto wpływa na to lepsza praca działu kooperacji, znalezienie tańszych źródeł zakupu materiałów i surowców. Poważnym źródłem zysku jest też uruchomienie produkcji części zamiennych, która poprzednio praktycznie nie istniała. Do zysku natomiast nie wlicza się sum, otrzymanych z podwyżki cen samochodów, ponieważ różnica przekazywana jest całkowicie do skarbu państwa.

Rezultaty gospodarcze i finansowe eksperymentu Żerania ,,przeszły najśmielsze oczekiwania'' rady robotniczej, tym bardziej, że zakład posiadał szereg poważnych błędów ,,wyjściowych'' w swej organizacji i założeniach i że w poprzednich latach był stale deficytowy.

(7) Rozpiętość zarobków na niektórych oddziałach wynosiła od 800 zł do 4.000 zł., lub od 600 zł. do 6.000 zł.
(8) Według ,,Rady Robotniczej'', 21/57, ,,Nowych Dróg'' 8/57.

Pierwszy zysk został już przez załogę rozdzielony: 20% poszło do skarbu państwa, 30% na budownictwo mieszkaniowe dla załogi, a z pozostałych 50% połowę już wypłacono pracownikom, reszta zostanie podzielona po bilansie rocznym. Przy podziale zysku zastosowano — wbrew stanowisku rady robotniczej, a na skutek nacisku załogi — system „równościowy": wszystkim jednakowo, z uwzględnieniem tylko stażu pracy; minimalny przydział wyniósł 400 złotych. Zakład przewiduje, że zysk uzyskany w ciągu całego roku przekroczy 35 milionów złotych.

„Zakłady im. 22 Lipca" (dawny Wedel) (9)

Półroczny okres eksperymentu w zakładach przyniósł 8 milionów ponadplanowego zysku. Ponieważ jednak połowę uzyskano z potanienia surowca i zmiany asortymentu, zostaje ona odprowadzona do skarbu państwa, a pozostałe 4 miliony, stanowiące „rzetelnie wypracowany" ponadplanowy zysk, otrzymuje w 50 procentach załoga.

Na osiągnięcie tego zysku wpłynęły różne przyczyny: obniżenie procentu dopuszczalnych strat na skutek oszczędnej gospodarki materiałem, obniżenie kosztów ogólno-fabrycznych, jak transport, wydatki administracyjne itp. Spore oszczędności w tym zakresie powstały między innymi, ze zmniejszenia kosztów niektórych robót, które dawniej były przymusowo oddawane do wykonania spółdzielniom, a obecnie są wykonywane bądź przez własnych pracowników, bądź też przez prywatnych rzemieślników.

Wzrosła wydajność pracy, spadła znacznie ilość godzin nadliczbowych i postojowych (wzrost rytmiczności produkcji), oraz nieusprawiedliwionej nieobecności.

Ważnym źródłem zysku jest też reorganizacja sprzedaży: prowadzą ją teraz sklepy, które zajmują się wyłącznie sprzedażą wyrobów firmy.

Zakład przewiduje uzyskanie w ciągu roku 5 milionów zysku, przeznaczonego dla załogi, a ponieważ załoga nie może otrzymać więcej, niż trzynastą pensję, która mieści się w granicach 4 milionów, pozostały milion przeznaczony będzie na potrzeby bytowe i socjalne załogi, prawdopodobnie na budowę bloku mieszkalnego.

W zakładzie przyjęto inne zasady podziału zysku, niż w Żeraniu: zastosowano tu system „hierarchiczny" (10) — nie wszyst-

(9) Według „Rady Robotniczej", 19 i 29/57.

(10) System podziału zysków między załogę jest obecnie tematem gorącej dyskusji, a czasem nawet ostrych starć na terenie zakładów pracy. Zwolennicy systemu „równościowego" twierdzą, że bezpośrednie bodźce ekonomiczne, uwzględniające kwalifikacje, stanowisko itp. są, lub powinny być zawarte w systemie płac. Udział w zysku winien być natomiast bodźcem moralnym, wyrabiającym poczucie odpowiedzialności za cały zakład i ważności roli każdego pracownika, jako współgospodarza. Jest to przy tym

kie wydziały i nie wszyscy robotnicy będą mieli równy udział w zysku, ponieważ nie wszyscy wpłynęli jednakowo na jego osiągnięcie. Specjalna komisja ma ustalić zasady podziału, a ponadto rada robotnicza postanowiła ulepszyć eksperyment przez wprowadzenie rozrachunku wewnętrznego między wydziałami, co pozwoli na zaostrzenie kontroli pracy i kosztów poszczególnych działów. Z wyjątkiem jednak ,,nierobów i bumelantów'' każdy robotnik otrzyma nie mniej niż 50% trzynastej pensji.

Trudno jest więcej miejsca poświęcić na opis rezultatów poszczególnych eksperymentów. Rzecz jasna, że rady robotnicze w ,,zwykłych'' zakładach, nie mających szerszych uprawnień, nie mogą mieć tak dużych osiągnięć. Ale, jak widać z prasy, i w niektórych z nich widoczne są już rezultaty półrocznej pracy samorządu, zarówno w usprawnieniu samej organizacji produkcji, jak i w uzyskaniu dodatkowych zysków do podziału między załogę. A, jak donosi ,,Rada Robotnicza'' z 30/VIII/57, uprawnienia tych zakładów mają być od przyszłego roku rozszerzone. Mają one mieć znacznie większy wpływ na kształtowanie się inwestycji, na postęp techniczny, zaopatrzenie materiałowo-techniczne oraz zbyt własnej produkcji, co otworzy przed radami robotniczymi szersze pole dla własnej inicjatywy.

Niestety, na razie, znacznie więcej jest informacji o braku jakichkolwiek rezultatów, niż o osiągnięciach. Przy tym, jak stwierdza prasa, wynika to nie tylko z konkretnie istniejących przeszkód, ale i ze zniechęcenia i obojętności robotników dla samorządu.

Weźmy dla przykładu teren kieleckiego. Jak podaje ,,Trybuna Ludu'' (2/VII/57) w artykule pt. ,,Na froncie rad robotniczych zacisze'', sponad trzystu większych i mniejszych zakładów na tym terenie, rady robotnicze powołano tylko w siedemdziesięciu zakładach. Rady te są przeważnie bezsilne, krępowane przez władze, utrudniające im normalną pracę. Wiele przedsiębiorstw jeszcze w maju nie otrzymało planów akumulacji, a więc nie mogło ustalić nawet perspektyw walki o wygospodarowanie funduszu zakładowego, mającego stanowić bodziec materialnego zainteresowania załogi. Wiele rad jeszcze nie okrzepło, z trudem

---

zasada jasna, poddana powszechnej kontroli, wykluczająca subiektywną ocenę poszczególnych kierowników, i związanych z tym niesprawiedliwości.

Zwolennicy systemu ,,hierarchicznego'' twierdzą, że udział w zysku winien być miarą indywidualnej zasługi i wkładu pracy, a więc odpowiadać zróżniczkowaniu, wprowadzonemu przez system płac. System ,,równościowy'' godzi w najbardziej wartościowych i przodujących pracowników, mających niewspółmiernie większy udział w wypracowaniu zysku, a ich dalszy udział w walce o racjonalną gospodarkę, wzrost oszczędności i zysków byłby zahamowany. Zasada ta mogłaby podzielić los dotychczasowych nieudanych ,,bodźców'', które przekształcały się w automatyczny dodatek do zarobków.

W sprawie tej zabierają głos: J. Majchrzak, ,,Nowa Kultura'', 23/57; J. Wacławek, ,,Trybuna Ludu'', 4/VIII/57; S. Jakubowicz, ,,Życie Warszawy'', 13/VIII/57; J. Barski, ,,Trybuna Ludu'', 14/VIII/57 itp.

stawia czoło przeciwnościom, mając mnóstwo wątpliwości, których im nikt nie wyjaśnia. W rezultacie w szeregu wypadków nie mają one żadnego dorobku, by potwierdzić choć częściowo pokładane w nich nadzieje. Taka sytuacja odstręcza załogi innych zakładów od wyboru rad; nikt ich zresztą do tego nie zachęca. I wreszcie konkluzja artykułu: ,,Zacisze, które panuje jest w pewnej mierze rezultatem faktu pogodzenia się z istniejącym stanem rzeczy''.

Jeszcze bardziej pesymistyczna jest ocena sytuacji rad w górnictwie na Śląsku, opisana przez W. Skulską w kilku artykułach w ,,Po Prostu'' (11).

W 85 kopalniach na tym terenie istnieje 66 rad górniczych. Chociaż rady w kopalniach nie powstały z oddolnej inicjatywy, ale były organizowane od góry, to jednakże stosunek załóg do nich jest na ogół dobry. Mówi się, że rady są potrzebne, że ,,to są nasze rady'': nasze, to znaczy, że po raz pierwszy przeprowadzono prawdziwe wybory, a nie ich fikcję. A chociaż załogi nie bardzo się orientują, co rady naprawdę robią, autorka uważa, że to uznanie rad za ,,nasze'' mogłoby stworzyć podstawę do wyjścia z impasu obojętności górniczej: ,,obojętności, która jest groźniejsza, aniżeli otwarty sprzeciw — wyrażała się w niskiej, coraz niższej wydajności załóg górniczych''.

Omawiając sprawę ogromnego spadku wydajności pracy w górnictwie (36% w stosunku do 1938 roku, a 6.1% w stosunku do 1949 roku) autorka podaje różne jej przyczyny. A więc znacznie za małe inwestycje, niezbędne nie tylko dla rozbudowy kopalń, ale przede wszystkim dla utrzymania produkcji na bieżącym poziomie, stałe pogarszanie się jakości materiału, potrzebnego w kopalniach, brak części zapasowych; stąd przerwy w pracy, awarie, wielkie nasilenie wypadków i katastrof (szczególnie lata 1953-1954).

Nie stworzono więc zdrowych przesłanek wzrostu produkcji, a mimo to przyjęto teorię o ,,konieczności skoku za wszelką cenę'' i wobec tego ,,dokonano go za cenę wielkiego nacisku administracyjnego. Dalszy bieg wypadków całości życia górnictwa i jego ludzi był jedynie *nieuniknioną konsekwencją* fałszywego założenia''.

A więc: nie można dość wydobyć — wprowadza się planowane niedziele, przedłużony dzień pracy, rolki itp. Górnictwo przestaje być zawodem atrakcyjnym, brak kandydatów do pracy, płynność załóg dochodzi do 55 procent — wprowadza się pracę przymusową: w 1955 roku pracuje w kopalniach 55 tysięcy przymusowych górników (,,spekulant, złodziejaszek obok górnika''). Dla podniesienia wydajności stosuje się nacisk na dyrektorów — w niektórych kopalniach zmieniano ich dziesięciokrotnie lub nawet częściej. Stosuje się nacisk partii (która jednak zrobiła ,,w porę zwrot od dogmatyzmu i dlatego nie było

---

(11) Nr.: 24, 25, 26/57: ,,Karolinka i inne sprawy'', ,,W górniczą niedzielę'', ,,Uwaga! Rady górnicze zagrożone''.

na Śląsku — Poznania"). A kiedy ferment wśród górników wzrasta, to ,,jako ostatni szczebel nacisku administracyjnego powstają w kopalniach referaty bezpieczeństwa — jako że łamanie praworządności nie kończyło się na X departamencie".

Przychodzą popaździernikowe zmiany, zmniejsza się nacisk administracyjny, zmienia się atmosfera, wybiera się rady robotnicze, podnosi się zarobki górników, ale ,,w systemie zarządzania i organizacji kopalń nie dokonują się żadne zmiany, nie zarysowują się nawet próby, eksperymenty zmian".

Cóż więc w tych warunkach mogą zdziałać rady górnicze? Stwierdzając zahamowanie roli i zakresu ich działania, Skulska podaje parę przykładów eksperymentujących kopalń. A więc ,,Mortimer", który wprowadził na próbę cztery zmiany, ,,Szombierka" otrzymała zezwolenie na zmianę ceny węgla i z ,,otrzymanego" zysku pomaga rencistom i budownictwu, ,,Andaluzja", która oszczędności przeznacza na uruchomienie budownictwa domków indywidualnych.

,,To wszystko. Po prostu trzy, czy nawet cztery kopalnie, korzystając z odwilży gospodarczej, próbują wygospodarować czy wykombinować trochę dodatkowych środków dla potrzeb najbardziej pokrzywdzonej części załogi".

Mówiąc zaś o skargach w kierownictwie górnictwa na brak aktywności załóg i zainteresowania się sprawą rad robotniczych, autorka stwierdza kategorycznie: ,,Rady mogą się rozwijać, aktywizować jedynie w warunkach, kiedy rysuje się przynajmniej perspektywa walki o nowy model gospodarczy".

Niestety, zobojętnienie dla spraw rad robotniczych notowane jest we wszystkich ośrodkach kraju. W tych warunkach nic dziwnego, że prasa bije na alarm. Mówi się nie tylko o narastającej w wielu przedsiębiorstwach ,,obojętności załogi" wobec rad robotniczych, ale i niekiedy nawet o ,,wręcz negatywnym" ustosunkowaniu się do nich, i intencji ich rozwiązywania: cytuje się głosy, że rady nie będą już na przyszły rok egzystować, ,,po co one w ogóle istnieją? kiedy w innych krajach nie ma rad, a stopa życiowa jest wyższa".

Charakterystyczny przykład obojętności załogi dla spraw rady robotniczej miał miejsce nawet w tak dużym zakładzie pracy pod Warszawą, jak Ursus: pierwsze zorganizowane przez radę zebranie sprawozdawcze nie odbyło się, bo nikt z załogi nie przyszedł.

Część winy takiego stosunku robotników do spraw samorządu prasa przypisuje dość powszechnie samym radom, które nie podtrzymują dostatecznie kontaktu z załogą, nie próbują jej zainteresować swoją pracą, trudnościami i zamierzeniami. To oderwanie się od załóg prowadzi w pewnych wypadkach do zatargów między radą robotniczą a załogą, a nawet do protestacyjnych strajków. Tak było w Żeraniu kiedy w styczniu, jako pierwszy krok usprawnienia organizacji pracy, przeprowadzono zmianę norm bez porozumienia z załogą, bez próby wytłumaczenia jej, że nowe normy są słuszne i korzystne. Toteż nic dziw-

nego, że robotnicy, pamiętając tak niedawne jeszcze metody administracyjnego podnoszenia norm powiedzieli: ,,Stop! To jest stary kawał, znamy się na tym'' i zastrajkowali (,,Fakty'' — pismo załogi FSO, nr 12).

Podobny zatarg miał miejsce już dwukrotnie u Cegielskiego.

Sprawa braku kontaktu rady robotniczej z załogą, choć ważna i istotna, nie stanowi jednak problemu, trudnego do rozwiązania w praktyce. Znacznie bardziej istotną jest notowana w prasie utrata wiary we własne siły wśród samych członków rad robotniczych. Przyczyną jej jest przede wszystkim — co stwierdza Skulska w stosunku do górnictwa, a co ma miejsce we wszystkich działach produkcji — nie ruszenie w praktyce z miejsca sprawy zasadniczych zmian w organizacji gospodarki narodowej, zmiany modelu gospodarczego. W dotychczasowych warunkach rady robotnicze — z wyjątkiem niektórych eksperymentujących zakładów — doprawdy nie mogą przeprowadzić bardziej gruntownych zmian.

Mogą one wprawdzie próbować, jak to się im podsuwa, walczyć z marnotrawstwem, kradzieżami, absencją, bumelanctwem, ale czy naprawdę są w stanie wykonać nawet te ograniczone zadania?

Zapewne można ,,oddziaływać na załogę dobrym przykładem'' — samorząd żerański postanowił, że członkowie jego nie opuszczą ani jednego dnia pracy bez usprawiedliwienia. Można działać za pomocą sankcji materialnych — w Żeraniu około 1.200 pracowników ma być pozbawionych udziału w zyskach z powodu nieusprawiedliwionej absencji (,,Trybuna Ludu'', 7/VIII/57) i stosować szereg innych doraźnych środków; wątpliwe jednak czy zmienią one radykalnie sytuację.

Bo przyczyn tak alarmującego zwiększenia się absencji i rozluźnienia ,,dyscypliny pracy'' należy szukać przede wszystkim w zbyt niskich, nędznych często zarobkach. Czy warto pilnie pracować w przedsiębiorstwie, jeśli zarobionych pieniędzy nie starczy na wyżywienie i ubranie dzieci? Czy warto chodzić systematycznie do fabryki, jeśli całodzienny zarobek fabryczny można osiągnąć w ciągu paru dorywczych godzin pracy, a przy sezonowej robocie na wsi, zarobić w ciągu 2-3 dni tyle, co przez tydzień w przedsiębiorstwie?

I tu właśnie kryje się niemniej poważna przyczyna kryzysu rad robotniczych. Wydawało się, że jedną z zasadniczych zmian, jakie przyniesie z sobą powołanie samorządu, będzie zmiana stosunku robotników do pracy w przedsiębiorstwie. Przedtem zmuszano ich do pracy pod groźbą surowych sankcji ustawy o dyscyplinie pracy — dziś, ,,współgospodarze'' zakładu powinniby pracować dobrowolnie, chętnie i z zapałem.

Niestety, trudno jest te piękne ideały realizować przy głodowych zarobkach, a poczucie krzywdy i wyzysku pozostaje niezależnie od tego, czy zarządza fabryką dyrektor, centralny zarząd, czy rada robotnicza.

H. Brodzka w artykule pt. „Nie żyjemy na księżycu" („Rada Robotnicza", 25/57) widzi przyczynę zniechęcenia w niespełnieniu się „naiwnych złudzeń" i początkowej wiary w „automatyczną" poprawę zarobków.

Ale czy przeciętny robotnik nie miał prawa się łudzić, że po latach ucisku, wyzysku i nędzy, „październik", a z nim samorząd robotniczy przyniesie zasadnicze zmiany nie tylko moralne ale i materialne?

Autorka stwierdza dalej, że u źródeł kryzysu leżą „polskie cechy", „krótkotrwały zapał, który tworzy cuda i niechęć do żmudnej, codziennej pracy i walki z przeszkodami".

Ale czy można się dziwić, że ręce opadają członkom rad robotniczych, jeśli nie usunięto dotychczas żadnej prawie z tych przeszkód, które można było usunąć nawet w ramach starej struktury gospodarczej; kiedy w ciągu roku działalności rad robotniczych nie uporządkowano nic jeszcze na odcinku administracyjno-gospodarczym, nie zniesiono szeregu sprzecznych i szkodliwych przepisów, hamujących lub wręcz uniemożliwiających pracę samorządu; kiedy w dalszym ciągu przedsiębiorstwa podporządkowane są całkowicie centralnej administracji i nie mają żadnej prawie inicjatywy i swobody działania.

Z pewnością nie pomoże do przełamania kryzysu podtrzymywanie konfliktu między partią i związkami zawodowymi a radami robotniczymi, próby oddania ich pod komendę partii lub kierowanych przez nią związków, czy też odmawianie im całkowicie roli politycznej.

Hasło samorządu robotniczego w Polsce zostało nierozerwalnie związane z protestem przeciw całej dotychczasowej gospodarce, przeciw temu wszystkiemu, co było krajowi narzucone wbrew jego oczywistym narodowym interesom.

Dziś z pięknej i szeroko ujętej idei samorządu robotniczego, jako jednego z podstawowych czynników nowego modelu gospodarczego, idei nie tylko gospodarczej, ale i politycznej, próbuje się sprowadzać rolę rad robotniczych do walki z kradzieżami, marnotrawstwem i brakiem dyscypliny.

Już w styczniu „Po Prostu" biło na alarm: „Samorząd robotniczy w niebezpieczeństwie". Upłynęło szereg miesięcy i woła się dzisiaj w prasie, że „istnieje niebezpieczeństwo, które może zagrozić samej istocie rad".

Czy naprawdę zagrozi? Czy to jest istotnie kryzys, z którego nie ma wyjścia?

Na to można dziś odpowiedzieć tylko tak, jak mówi „Po Prostu" o tezach Rady Ekonomicznej w sprawie nowego modelu gospodarczego: „zadecyduje tu życie i dalszy rozwój sytuacji — przede wszystkim politycznej".

Janina MIEDZIŃSKA

Więzienie sowieckie (1)

PAMIĘTNIK

Zamieszczone w tym dziale wspomnienia o Leonie Kozłowskim odniosły niespodziewany efekt: udało się nam, przypadkiem, odnaleźć pamiętnik Leona Kozłowskiego, pisany przez niego w Berlinie. Pamiętnik obejmuje okres od jego uwięzienia przez władze sowieckie aż do chwili ucieczki ze Związku Sowieckiego. Pamiętnik składa się z trzech części. Rozpoczynając jego druk, będziemy musieli, ze względu na brak miejsca, opuścić część drugą, pt. ,,Rosja Sowiecka widziana za kratami więzienia'', zawierającą następujące rozdziały: 1) Literatura rosyjska, 2) Parę uwag historycznych do genezy Związku Sowieckiego, 3) Literatura sowiecka, 4) Życie rodzinne w Sowietach, 5) Gospodarka sowiecka, 6) Więziennictwo sowieckie, 7) Stopa życiowa w Sowietach, 8) Oświata w Sowietach, 9) Rolnictwo i wieś sowiecka. — Mimo niewątpliwie ciekawych obserwacji i stwierdzeń — część druga nie ma charakteru pamiętnikarskiego. Może w przyszłości będziemy mieli możność opublikowania całego rękopisu.

WKROCZENIE WOJSK SOWIECKICH DO LWOWA

Wojna zastała mnie we Lwowie. Do wojska nie byłem powołany, w życiu politycznym od jesieni 1938 roku udziału nie brałem, znalazłem się więc poza nawiasem toczącej się walki, bez możności wpływania na bieg wypadków, których katastrofalny wynik był dla mnie oczywisty. Katastrofę przyśpieszyło wystąpienie bolszewików.

Materiały zamieszczane w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

17 września, wbrew umowom zawartym z Państwem polskim i w oczywistej sprzeczności z paktem nieagresji z roku 1934, wojska rosyjskie przekroczyły granicę, w momencie, gdy armia polska znajdowała się w ciężkim i nierównym boju z całą niemal potęgą niemiecką. Motywem wkroczenia, podanym oficjalnie, był zamiar wyzwolenia Ukraińców i Białorusinów spod ucisku panów polskich. Wkroczenie wojsk sowieckich od wschodu w granice Polski czyniło dalszą wojnę beznadziejną. Naczelne dowództwo wojsk polskich wydało też rozkaz nie przeciwstawiania się wkraczającym wojskom sowieckim. Rozkaz ten, z wyjątkiem indywidualnych aktów rozpaczy, lub wypadków, gdy rozkaz do drobnych oddziałów nie dotarł, był wykonany. Wojska sowieckie zajmowały tereny Polski nie napotykając na opór. Wszędzie gdzie wkraczały wojska sowieckie, witał je wrogi nastrój ludności zarówno polskiej, białoruskiej i ukraińskiej, wyjątek stanowiły nieliczne jaczejki komunistyczne, jakie istniały na tym terenie, które natychmiast zaczęły wzywać ludność do rabunków dworów. Żydzi wszędzie entuzjastycznie witali wojska sowieckie, a w wielu wypadkach przechodzili do czynnych wystąpień przeciwko ustępującym władzom polskim. Nadto korzystały z tego męty społeczne i elementy kryminalne, które samorzutnie zaczęły wprowadzać w życie bolszewickie zasady ,,sprawiedliwości społecznej''.

Dnia 22 września 1939 roku, na podstawie umowy podpisanej z jednej strony przez generała Langnera, dowódcę korpusu Lwowskiego i z drugiej strony przez naczelnego wodza wojsk sowieckich generała Timoszenko, wojska sowieckie wkroczyły do Lwowa. Wojska polskie miały złożyć broń, a następnie żołnierze i oficerowie mieli być odesłani do domu. Byłem na Placu Mariackim w centrum miasta, gdy wkraczali bolszewicy. Z czołowymi oddziałami konno wjeżdżali lwowscy Żydzi, którzy jako członkowie partii komunistycznej zgłosili się do wojsk sowieckich i byli użyci jako przewodnicy. Z pośrednictwa parlamentariuszy sowieckie wojska nie skorzystały. Oddziały sowieckie były zmęczone długimi marszami, wygłodniałe i bardzo brudne, wkraczały w szyku bojowym, tak jak gdyby Lwów zdobyły po długim i zaciekłym boju. W rzeczywistości żadnego boju nie było, wojska sowieckie wkraczały na podstawie podpisanej umowy kapitulacyjnej. Wojska wkraczające zachowywały się jak w kraju zdobytym. Zaczęła się też w mieście nieregularna strzelanina, której odgłosy dochodziły ze wszystkich stron. Strzelały męty miejskie, które ruszyły na rabunek, oddziały wkraczających wojsk sowieckich, które ,,zdobyły'' miasto i strzelały do urojonych wrogów, do okien domów i do przechodniów, lżąc rozbrojone oddziały polskie, a zwłaszcza oficerów i policję. Rezultatem były liczne ofiary w ludziach, oraz miały miejsce liczne napady na rozbrojone oddziały, tak na przykład oddział policji, który wychodził bez broni z miasta został zaatakowany przez wojska sowieckie i prawie do nogi wystrzelany. Spotykanych oficerów natychmiast internowano, jedynie żoł-

nierzy puszczano do domu. Po mieście rozstawiono posterunki i rozesłano patrole wojskowe. Rozpoczynał się nowy nikomu nie znany stan prawny, którego skutków wszyscy z lękiem oczekiwali. Miasto tymczasem gwałtownie zmieniało swój charakter. Na ulicę wylegali Żydzi i Lwów stał się od razu zewnętrznie żydowskim miastem, zwłaszcza wobec masy uciekinierów żydowskich, którzy przybyli z zachodu. Tłumy te manifestowały żywą sympatię dla przechodzących oddziałów sowieckich i przejeżdżających tanków. Każdy Żyd uważał za swój obowiązek włożyć do klapy czerwoną wstążeczkę lub w razie możności jakąś sowiecką odznakę.

W niedzielę, 24 września, wyszły na ulicę manifestacje robotnicze oczywiście prawie wyłącznie Żydzi, wyrażając swą radość z powodu ,,wyzwolenia''. Polacy i nieliczni zresztą we Lwowie Ukraińcy na ulicach mało się pokazywali, a na ich twarzach malowało się głębokie przygnębienie. Uciekinierzy żydowscy z zachodu, których masy zwaliły się do Lwowa, przyjmowali żywy udział w pro-sowieckich manifestacjach. Zaraz po wkroczeniu żołnierze i oficerowie sowieccy rozbiegli się po mieście czyniąc zakupy. Zwłaszcza rozchwytywane były zegarki i wszelkie wyroby lekkiego przemysłu. Przedmioty zupełnie niedostępne dla obywatela sowieckiego, których brak prawie całkowicie w dzisiejszej Rosji. Równie wielkim powodzeniem cieszyły się wszelkie materiały i garderoba oraz bielizna, były to przecież przedmioty prawie niedostępne dla obywatela sowieckiego w jego ojczyźnie. Rzucono się także na żywność: każdy idący i jadący furgonem żołnierz czy oficer jadł z żarłocznością głodnego zwierzęcia, czyniło to wrażenie, że odjeść się nie może. Sklepy wypróżniły się szybko. Lwów, który już poprzednio przeszedł dwutygodniowe oblężenie i bombardowanie niemieckie, był faktycznie wygłodzony i straszliwie przeludniony uciekinierami. Teraz szybko był ogałacany z resztek zapasów przez przybyłe wojska sowieckie. Ludzie z głęboką obawą patrzeli w przyszłość, która zapowiadała się groźnie. Z lękiem zwłaszcza oczekiwano na aresztowania.

Byłem zdecydowany wyjechać na zachód do Krakowa. W drogę chciałem iść z swoim bratem stryjecznym, który mieszkał we Lwowie. W dniach najbliższych mieliśmy wyruszyć, liczyliśmy jednak, że mamy jeszcze trochę czasu zanim bolszewicy urządzą się we Lwowie, a droga wobec ciągłego jeszcze ruchu wojsk sowieckich i wycofywania się wojsk niemieckich za San była w danym momencie bardzo ryzykowna. Sądziliśmy, że za kilka dni wyjechać będzie łatwiej, a granica nie będzie jeszcze obsadzona i zamknięta. Ostatecznie o wyjeździe mieliśmy zadecydować we wtorek 26 września.

MOJE ARESZTOWANIE

Dnia 26 września koło południa poszedłem do muzeum prehistorycznego na Placu Mariackim, które urządzałem i do którego codziennie przez cały czas wojny chodziłem. Wewnątrz zastałem dwóch młodych oficerów sowieckich, którzy, jak się okazało, na mnie czekali. Sprowadził ich do muzeum p. Prusiewicz, człowiek nieokreślonej przynależności narodowej, Polak, Ukrainiec i Rosjanin w zależności od okoliczności i potrzeby, który, jak się to teraz okazało, był komunistą. Pan Prusiewicz zebrał dość znaczne zbiory z etnografii ukraińskiej i był zajęty ich porządkowaniem. Zbiory były oddane miastu, a on otrzymywał miesięczne wynagrodzenie, rodzaj dożywocia, miał nadto doprowadzić swe zbiory do porządku. Był to zbieracz bez naukowych kwalifikacji. Należy zaznaczyć, że działalności politycznej pan Prusiewicz nie przejawiał, jego zaś poglądy społeczne nikogo nie interesowały. Był zresztą znany jako oryginał i dziwak. Otóż pan Prusiewicz poinformował oficerów, że jestem byłym szefem rządu polskiego i byłym ministrem reform rolnych, a tym samym wrogiem ustroju sowieckiego. Po krótkiej rozmowie i sprawdzeniu moich dowodów osobistych, oficerowie wyjęli rewolwery i oświadczyli, że jestem aresztowany.

Do muzeum przyszedłem w jesiennym palcie, które miałem na sobie. Kapelusza, który powiesiłem wchodząc do muzeum nie pozwolono mi zabrać. Z gołą głową posadzono mnie na wóz ciężarowy, czterech żołnierzy z karabinami na ,,gotuj broń'' i obaj oficerowie z wyciągniętymi rewolwerami odstawili mnie do N.K.W.D. na ulicę Sapiehy, do gmachu policji. Ta teatralność mego aresztowania miała, jak sądzę, na celu pokazać ludności jak to Sowiety likwidują wrogów ludu. Przed gmachem musiałem czekać na załatwienie formalności. Padał deszcz. Jakaś kobieta, widząc że jestem aresztowany i stoję z gołą głową zdjęła swój beret i podała mi go. Ten beret oddawał mi bardzo duże usługi przez cały czas mego pobytu w więzieniu, służył mi bowiem nie tylko jako okrycie głowy, ale także jako poduszka. Oficerowie, którzy mnie aresztowali, wdali się ze mną w rozmowę — rodzaj indagacji — i oświadczyli, że takich jak ja, wrogów ludu, ustrój sowiecki niszczy i unieszkodliwia. Jeden nadmienił przy tym, że jest Żydem i żebym dobrze sobie zapamiętał, że właśnie Żyd mnie aresztował i że on, Żyd, jest przyczyną mego ostatecznego zniszczenia, które nieodwołalnie nastąpi. W rzeczywistości jednak moje aresztowanie nie było jeszcze formalnie załatwione. Byłem dopiero zatrzymany, przeprowadzono mnie też na górę i tam w poczekalni, ale pod strażą, czekałem swego losu wraz z innymi podobnie jak i ja zatrzymanymi. Pod wieczór do N.K.W.D. sprowadzono pana Prusiewicza, który zeznał, że jestem byłym szefem rządu polskiego, byłym ministrem reform rolnych, brałem udział w tworzeniu polskiej konstytucji, że pracowałem na

szkodę ludu gnębiąc ruch rewolucyjny — to znaczy komunizm — i wysługiwałem się międzynarodowemu kapitałowi. Zapytany, przyznałem oczywiście, że jestem byłym szefem rządu polskiego z roku 1934-1935 i byłym ministrem reform rolnych, zaprzeczyłem natomiast kategorycznie jakobym pracował na szkodę ludu i służył międzynarodowemu kapitałowi. Późnym wieczorem zakomunikowano mi decyzję prokuratora o moim aresztowaniu i odesłano do aresztu.

Teraz przeprowadzono szczegółową rewizję zabierając wszelkie przedmioty metalowe, a więc złoty zegarek z dewizką i takież cenne spinki; przedmiotów tych więcej nie zobaczyłem. Nadto zabrano mi pieniądze, wszelkie papiery i legitymacje, szelki, podwiązki, a u spodni odcięto sprzączki. Tak ogołoconego odstawiono do celi.

W gmachu policji nie było więzienia, a jedynie były areszty, w których trzymano zatrzymanych do wylegitymowania najdłużej 48 godzin, normalnie kilka lub kilkanaście godzin. Areszty te były już przepełnione, wobec tego posadzono mnie w piwnicy, która w czasie wojny służyła jako schron i aresztem nie była. Cela miała cementową podłogę i stały w niej drewniane prycze. Tu spotkałem pierwszych towarzyszy niedoli. Cela w następnym dniu była już przepełniona. Umieszczono w niej 12 osób na gołych deskach. W celi panował mrok. Na pryczy leżeliśmy gęsto, jeden przy drugim. Ogromną większość aresztowanych stanowili oczywiście Polacy. Siedział tu: oficer i przodownik policji, porucznik rezerwy w mundurze, z zawodu adwokat z Łodzi, sędzia sądu okręgowego, robotnik kolejowy, student politechniki i student Wyższej Szkoły Handlu Zagranicznego. Podobny zespół siedział, jak się potem przekonałem, i w innych celach: sędziowie, policja, schwytani oficerowie, działacze społeczni, robotnicy, studenci, wszyscy podobnie jak i ja aresztowani na podstawie donosów komunistów, w większości wypadków Żydów. Drugą kategorię aresztowanych stanowili komuniści. W mojej celi siedziało ich dwóch. Jak się potem przekonałem, w każdej celi siedziało ich po paru. Byli to przeważnie ludzie, którzy siadywali już poprzednio po polskich więzieniach za komunizm, a obecnie zostali aresztowani po wkroczeniu wojsk sowieckich. Polska Partia Komunistyczna nie zawsze stosowała się ściśle do instrukcji Kominternu, a nadto, ideologicznie, w wielu wypadkach zajmowała inne stanowisko niż oficjalna partia komunistyczna Związku Sowieckiego. Konflikty doszły do tego, że w roku 1936 partię komunistyczną w Polsce rozwiązano. Oficjalnym motywem było to, że rzekomo było w niej wielu prowokatorów na służbie polskiej policji. Istotnie ideowy i moralny poziom partii był niski. Otóż obecnie dawano stuprocentową wiarę wiernym komunistom, natomiast innych, którzy stali pod zarzutem herezji w stosunku do wiary oficjalnej, a zwłaszcza podejrzanych o sympatię w kierunku Trockiego, aresztowano pod najcięższymi zarzutami prowokacji i służenia polskiej policji. Los tych ludzi był przesądzony.

Trzecią kategorię aresztowanych zaraz w pierwszych dniach stanowili ukraińscy działacze polityczni i społeczni. W mojej celi znaleźli się senator Łucki, z którym kolegowałem w senacie i byłem zawsze w dobrych stosunkach i redaktor „Diła" (oficjalny organ ukraińskiej narodowo-demokratycznej organizacji) równocześnie poseł. Z głębokim przygnębieniem patrzyli oni w przyszłość. Zdawali sobie sprawę, że ich los jest przesądzony i że młody ruch narodowy ukraiński, który jedynie w Polsce mógł się rozwijać, zostanie zlikwidowany przez fizyczne zniszczenie ukraińskiej inteligencji i bardziej kulturalnego włościaństwa. Obawy te w całej rozciągłości zostały przez późniejsze wypadki potwierdzone.

Artyleria niemiecka, która bombardowała Lwów przez szereg dni przed wkroczeniem wojsk sowieckich, rozbiła wodociągi i uszkodziła elektrownię. Lwów był bez światła i bez wody. Bolszewicy uruchomili bez większego trudu elektrownię, ale wodociągi jeszcze w ciągu dłuższego czasu nie funkcjonowały. Skutek dla nas, aresztowanych, był fatalny. Nie było możności się umyć a ustęp był w stanie okropnym. Po uruchomieniu wodociągów stan ten niewiele się poprawił. Na naszym piwnicznym korytarzu był jeden jedyny kran, pod którym musiały się myć wszystkie cele i jeden ustęp. Robactwa nie było. Areszty były czyste, a więźniowie też nic ze sobą nie przynieśli. Ta plaga przyszła dopiero później. Jako żywność otrzymywaliśmy 600 gramów chleba. Było tajemnicą bolszewików skąd brano tak fatalny, niewypieczony i niejadalny chleb, zlepiony z jakiejś mieszaniny, mającej tylko pewne podobieństwo do chleba. Na obiad i kolację otrzymywaliśmy po talerzu zupy (kapuśniaku) oraz rano herbatę.

Mimo tego zupełnie niedostatecznego pożywienia, głodu nie odczuwałem, organizm żył jeszcze starymi zapasami. Przykre było natomiast bardzo spanie na gołych deskach bez możności podłożenia czegokolwiek pod głowę i brak tytoniu.

Rozpoczęły się dochodzenia. Byłem wzywany dwa, a nawet trzy razy dziennie o najróżniejszych porach dnia i nocy. Badania ciągnęły się po 8 do 10 a czasem i więcej godzin na dobę. Śledztwo prowadzone było najprymitywniejszymi metodami. Oskarżony winien był sam dostarczyć dowodów swej winy. Protokółowano pytania oficera śledczego i odpowiedzi oskarżonego. Po spisaniu ze mnie danych osobistych, spisano moją biografię. Zwłaszcza chodziło o dane co do mojego udziału w rządzie w charakterze ministra reform rolnych i prezesa rady ministrów. Potem zaczęto mnie w sposób prymitywny i naiwnie chytry wypytywać o moją działalność na tych stanowiskach. Żądano, bym stwierdził, że gnębiłem świat pracy i służyłem międzynarodowemu kapitałowi. Wyciągnięto także sprawę utworzenia za mego rządu obozu odosobnienia w Berezie Kartuskiej, ale sprawy tej szerzej nie rozwijano. Było to przecież dziecinnie łagodne zarządzenie w stosunku do obozów istniejących w Sowietach i milionów ludzi osadzonych w nich na długie lata z wy-

roków administracyjnych. W Berezie Kartuskiej za mego urzędowania znajdowało się około dwustu „odosobnionych", a każda sprawa, po trzech miesiącach musiała być na nowo rozpatrywana. Nie dawało to podstawy dla wewnętrznej propagandy w ustroju sowieckim. Mego śledczego interesowało tylko ilu w Berezie siedziało komunistów, a gdy się dowiedział, że było ich 38 to cyfra ta wcale mu nie zaimponowała i uznał, że sprawa nie nadaje się do szerszego traktowania. Oskarżono mnie też ogólnie o gnębienie ruchu rewolucyjnego i znęcanie się nad komunistami nie precyzując tego oskarżenia.

Po kilku dniach śledztwa oskarżono mnie o udział w organizacji mającej na celu walkę z władzą sowiecką, rzekomo na podstawie niezbitych dowodów jakie są w posiadaniu śledztwa. Gdy dowodów tych zażądałem, oczywiście okazania tych dowodów mi odmówiono, domagano się tylko bym się sam przyznał do winy i ujawnił śledztwu co mi o owej organizacji wiadomo. Jest rzeczą jasną, że takiej organizacji nie było i być nie mogło. Atak sowiecki na Polskę był nieoczekiwany, a nawet już po 17 września raczej oczekiwano, że Lwów zostanie zajęty przez Niemców, którzy stali bezpośrednio pod Lwowem i z trzech stron otoczyli miasto, niż przez bolszewików. Nadto zdawano sobie we Lwowie sprawę, że Niemcom będzie zależało na zagłębiu naftowym. Wycofanie się wojsk niemieckich spod Lwowa w momencie zbliżania się bolszewików było dla miasta nieoczekiwane. Treść tajnego układu, jaki został zawarty między Niemcami, a Związkiem Sowieckim była nam oczywiście nieznana. W tych warunkach, przy najbardziej nawet wrogich nastrojach w stosunku do bolszewików, żadna organizacja nie mogła jeszcze powstać. Z tego zresztą oficerowie śledczy dokładnie zdawali sobie sprawę i świadomie prowadzili fikcyjne śledztwo, z myślą, że może ono da jakiś materiał, który okaże się dla nich pożyteczny. Po wyczerpaniu tematu, śledztwo przybrało tępy obrót. Oficer śledczy żądał od mnie zeznań i informacji. Ja powtarzałem te same odpowiedzi po raz setny, że o żadnej organizacji nic nie wiem i do żadnej tego rodzaju organizacji nie należę, potem już po prostu milczałem. Tak upływały godziny śledztwa, przerywane tylko czasem rozmową na jakiś inny temat. Przy takich rozmowach oficerowie sowieccy zawsze i niezmiennie okazywali nicość swego wykształcenia, a nawet bardzo słabą znajomość teoretyków socjalizmu, co winno było stanowić podstawę ich wykształcenia.

Schemat śledztwa, który zastosowano do mnie, stosowano i do innych aresztowanych. Wszystkim wytaczano jedno i to samo oskarżenie, że zwalczali ruch rewolucyjny, służyli międzynarodowemu kapitałowi, należeli i organizowali związek mający na celu walkę z władzą sowiecką. Te zarzuty oskarżony winien był poprzeć dostarczonymi przez siebie dowodami.

Przez kilka pierwszych dni po aresztowaniu przypuszczałem, że bez dalszych korowodów zostanę po prostu zastrzelony i czekałem na egzekucję. Za zdziwieniem stwierdziłem, że egzekucje

nie mają miejsca i tok śledztwa upewnił mnie że ja i moi towarzysze więzienni wszyscy będziemy obiektem dla wymiaru sowieckiej sprawiedliwości.

W piwnicy urzędu policji przesiedziałem cały miesiąc. Byłem cały czas ściśle izolowany od świata zewnętrznego. Żadnych przesyłek otrzymywać nie mogłem. Siedziałem bez zmiany bielizny, bez mydła, ręcznika i w ogóle jakichkolwiek rzeczy.

WIĘZIENIE NA ZAMARSTYNOWIE

24 października nad ranem wszystkich nas wyprowadzono z celi, załadowano na wóz ciężarowy, nakryto brezentem, ustawiono żołnierzy z wymierzonymi w nas bagnetami i leżących pokotem powieziono, jak się potem okazało, do więzienia wojskowego na ulicę Zamarstynowską. Tu poddano nas bardzo szczegółowej rewizji i mnie odstawiono do celi Nr 59 wraz z czterema innymi towarzyszami. Więzienie zamarstynowskie było przedtem więzieniem wojskowym. Cele przeważnie były urządzone na dwóch więźniów, o dwóch łóżkach ustawionych jedno nad drugim. W celi stał nadto stół i dwa taborety. Nasza cela miała kubaturę 25 m3, co było uwidocznione nad drzwiami celi o powierzchni dwa na trzy metry. Usunięto z niej oczywiście stół i taborety i posadzono pięciu aresztowanych, czterech na łóżkach i jednego na dodatkowym sienniku, ale zaraz w następnych dniach więźniów zaczęło przybywać, tak, że liczba wzrosła do ośmiu, a następnie do trzynastu osób. Powstała niewiarygodna ciasnota. Spaliśmy po dwóch na jednym wąskim łóżku. To były miejsca uprzywilejowane. Jeden pod łóżkami a ośmiu na podłodze. Było tak ciasno, że przewrócić się w nocy na drugi bok można było tylko równocześnie, na komendę. Śpiący na podłodze mieli do swego rozporządzenia trzy sienniki, które zakrywały całą powierzchnię podłogi. Okna nie wolno było otwierać, a szyby zamazano farbą, pomimo że okno wychodziło na podwórko więzienne. Przesyłek z domu nie dopuszczono. Czystej bielizny nie dawano, tej co mieliśmy na sobie uprać nie można było. Dopiero w trzecim miesiącu od aresztowania pozwolono niektórym więźniom na przesyłkę z domu dwóch zmian bielizny, kawałka mydła i paczki tytoniu. Przesyłki żywnościowe były zakazane. Do mnie nawet przesyłki z bielizną nie dopuszczono. Gdy weszliśmy do celi robactwa nie było, ale już po paru tygodniach zjawiły się wszy, a wobec ciasnoty i straszliwego brudu zaczęły się szybko rozwijać. Od tej chwili stałym naszym zajęciem w ciągu jasnych godzin dnia było polowanie na te pasożyty. Wskutek zamazania szyb farbą w celi panował stale mrok, a wskutek brudu i przepełnienia smród i zaduch; paliło się też w dzień i w nocy światło elektryczne. Pożywienie stanowiło 600 gramów razowego chleba

możliwego do jedzenia, pół litra zupy na obiad i takież pół litra na kolację. Zupa była przeważnie bardzo rzadka. Rano dawano herbatę i dwie kostki cukru. Było to pożywienie zupełnie niewystarczające. Po pewnym czasie pojawiła się biegunka wywołana wyczerpaniem organizmu, a ta do reszty odbierała siły, tak że w ciągu kilku miesięcy wszyscy doszliśmy do straszliwego wychudzenia i wyczerpania.

W celi był dość częsty ruch więźniów. Jednych zabierano z celi, innych przyprowadzano. Nowi aresztowani przychodzili, albo wprost z wolności, albo też z innych cel. Dawało to kontakt ze światem zewnętrznym i informowało co dzieje się w więzieniu i kto został aresztowany. Było jasne, że liczba aresztowanych szybko wzrasta. Nasze więzienie obliczone na kilkaset więźniów mieściło kilka tysięcy aresztowanych. Tak samo przepełnione było więzienie w Brygidkach (dawne więzienie dla przestępców kryminalnych). Przepełnione były areszty kryminalne, a wobec tego, że nowe aresztowania nie ustawały, więzienia zaś na prowincji były też przepełnione, tworzono pośpiesznie nowe więzienia i rozszerzano stare zamieniając na cele więzienne różne administracyjne i gospodarcze lokale. Ogromną większość aresztowanych stanowili oczywiście Polacy, należący do wszystkich warstw społecznych. Dość liczną grupę stanowili Ukraińcy. Trzecią wreszcie grupę tworzyli komuniści, ci ostatni przeważnie Żydzi. Duży kontyngent aresztowanych stanowili oskarżeni o przejście nielegalne granicy. W ich liczbie dużo Żydów uciekinierów z zachodniej Polski. Przestępstwo to, zgodnie z kodeksem sowieckim, jest karane trzema latami ciężkich robót : o ile oskarżonemu nie został uczyniony dostateczny zarzut szpiegostwa. Na razie nie było nic słychać o wyrokach. Ci co stawali przed sądem wracali z powrotem do więzienia śledczego dla uzupełniającego śledztwa. Sądy wyroków nie wydawały. Widocznie nie było jeszcze instrukcji jak sprawy sądzić odnośnie polskich obywateli. Wyroki zaczęły się sypać dopiero później, już po moim wywiezieniu ze Lwowa. Przez sześć miesięcy mego siedzenia w więzieniu lwowskim, przez moją celę przeszła dość znaczna ilość aresztowanych. Z niezrozumiałych bowiem powodów dość często przerzucano aresztowanych z celi do celi. Przytłaczającą większością byli Polacy. Część stanowili wojskowi, jak na przykład pułkownik-lekarz, komendant szpitala wojskowego we Lwowie, który pozostał na miejscu, dalej opiekując się rannymi, którymi szpital był przepełniony. Został on parę dni po przyjściu bolszewików aresztowany. Pułkownik intendentury, który wrócił do swojej rodziny, i zaczął żyć jako człowiek cywilny. Kapitan rezerwy, który ostatni kierował ewakuacją na pograniczu Rumunii, a następnie wrócił do Lwowa. Trzech podoficerów służby czynnej. Oficer policji, przodownik i posterunkowy policji, naczelnik wydziału urzędu wojewódzkiego we Lwowie, urzędnik ministerstwa ewakuowany z Warszawy, prywatny urzędnik bankowy, pomocnik reżysera teatru lwowskiego, za nielegalne przekroczenie granicy z dodatkowym oskarżeniem

o szpiegostwo, nie wiadomo tylko na czyją stronę. Kilku robot
ników różnych zawodów, w tych jeden komunista z Warszawy
który wraz z rodziną przyszedł do Lwowa w nadziei, że jak
kwalifikowany robotnik i komunista uzyska lepsze warunk
pracy, o których tyle słyszał. Trafił on za nielegalne przekrocze
nie granicy do więzienia i stał pod dodatkowym zarzutem szpie
gostwa na rzecz Niemiec. Żyd-komunista, aresztowany jak
sympatyk Trockiego, akademicy Szkoły Handlu Zagranicznego
Politechniki i Uniwersytetu, nauczyciele szkół średnich i po
wszechnych, ci najczęściej za antysowiecką agitację. Liczn
grupę stanowiła inteligencja ukraińska, głównie spod znak
U.N.D.O., które to ugrupowanie było szczególnie przez bolsze
wików gnębione, jako grupujące większość narodową uświado
mionej inteligencji ukraińskiej.

Wszyscy ci ludzie żadnych przewinień w stosunku d
władzy sowieckiej nie popełnili. Żaden jednak nie miał już ży
jako wolny człowiek. Czekały ich wyroki od pięciu do piętnast
lat ciężkich robót w obozach pracy, co było równoznaczn
z wyrokiem śmierci. Z tej perspektywy nie zdawaliśmy sobi
jeszcze sprawy. Wszyscy nie orientowaliśmy się w sowieckie
rzeczywistości i w sowieckim wymiarze sprawiedliwości. Nasz
wina była udowodniona: Byliśmy Polakami, względnie jeszcz
gorzej — Ukraińcami, i żyliśmy dotychczas jako wolni ludzie
To już było dostatecznym przewinieniem aby byś zniszczonym
Nadto nie byliśmy komunistami i żyliśmy w warunkach mate
rialnego dostatku, jaki nam ustrój polski zapewniał. Było to te
przestępstwo za które resztę życia mieliśmy przeżyć i przepraco
wać w najstraszniejszych warunkach sowieckiego obozu pracy

Z rozmiarów jakie przybrały aresztowania w więzieniu ni
można sobie było zdać należycie sprawy. Wiedzieliśmy tylko, ż
aresztowania zatoczyły bardzo szerokie kręgi i liczba aresztc
wanych oraz wysiedlonych w głąb Rosji musi być bardz
wielka. O rozmiarach aresztowań dowiedziałem się dopier
znacznie później. Opieka społeczna przy ambasadzie polskie
w Moskwie w jesieni 1941 roku obliczała liczbę aresztowanyc
i wysiedlonych, którzy w tym czasie znajdowali się w Rosji —
na półtora miliona ludzi. Liczba ta jest z pewnością za mała
przecież opieka społeczna nie rozporządzała pełnymi danym
Władze sowieckie także ewidencji nie miały, czy też nie chciał
jej ujawniać. Jeżeli się zważy, że cała ludność zajętego prze
bolszewików terenu Polski wynosiła około 11 milionów, to wów
czas otrzymamy, że przeszło 13 procent ogółu ludności aresztc
wano, względnie zesłano. Licząc zmarłych po więzieniach i n
zesłaniach oraz tych co siedzieli w więzieniu w kraju i nie by
wywiezieni, należy liczyć, że 15 procent ogółu ludności wynosił
liczba represjonowanych. Liczba ta sama już mówi o rozmiarac
bolszewickiego terroru w Polsce.

Z wolności przychodziły do więzienia ponure wiadomośc
Drożyzna przybrała fantastyczne formy i brak było wszystkiego
w pierwszym rzędzie produktów żywnościowych. Złotego rów

nano z rublem, wówczas gdy stosunek towarowy siły nabywczej złotego do rubla był jak 1 : 5. Kwitła spekulacja. Sklepy, domy, przedsiębiorstwa i w ogóle wszelką własność, prócz przedmiotów własnego użytku wywłaszczono. Ludzie żyli ze sprzedaży posiadanych rzeczy oficerom sowieckim, którzy kupowali wszystko i nieźle płacili. Chłopi za produkty pieniędzy brać nie chcieli. Zaczął się też rozwijać handel zamienny. Żydzi, którzy byli jedynym elementem radośnie spotykającym wkraczających bolszewików, też gwałtownie zmieniali front. Burżuazja żydowska była na równi z polską niszczona, a proletariat zaczął już na sobie odczuwać dobrodziejstwa nowego ustroju. Głód i nędza panowały niepodzielnie. Wieś żyła pod grozą wprowadzenia kołchozów. W pierwszych tygodniach po przyjściu wojsk sowieckich pod kierownictwem komisarzy sowieckich rozgrabiono dwory, a ziemię rozdzielili bolszewicy między chłopów. Nie wydano im jednak żadnych tytułów prawnych na otrzymywanie działek. Skutek był taki, że nowootrzymanych działek chłop nie obrabiał, nie mając pewności czy będzie zbierał. Rządy bolszewickie dały się szybko odczuć chłopom. Toteż nawet w najbardziej nacjonalistycznych ukraińskich wsiach ludność modliła się po cerkwiach o powrót Polski, a z natury swej bitna ludność Małopolski Wschodniej w wielu wypadkach chwytała za broń, której po wojnie było wszędzie pod dostatkiem, i wystrzeliwała sowieckich komisarzy. Wywoływało to dzikie represje i masowe aresztowania, oraz wysiedlanie całych wsi w głąb Rosji na Syberię. Były to wieści, jakie przychodziły z zewnątrz w mury więzienne. Opowiadano też anegdoty. Na przykład żołnierze bolszewiccy chętnie udzielali ludności różnych informacji o Rosji Sowieckiej. Koło jednego żołnierza we Lwowie zebrała się gromadka ludzi. Pytali czy te lub inne przedmioty są w Rosji do nabycia i czy nie ma braków, oraz czy można oczekiwać, że towary, których brak dotkliwy odczuwa się we Lwowie zostaną dowiezione. Żołnierz z głębokim przeświadczeniem oświadczył, że w Sowietach wszystkiego jest wiele i że brakujące towary we Lwowie będą dowiezione. Jeden ze słuchaczy zapytał go czy w Sowietach jest Kopenhaga. Żołnierz bez namysłu oświadczył: ,,O tak u nas jest dużo Kopenhagi i dostarczymy ją do Lwowa''. Po Lwowie przeszło powiedzonko: ,,Wszystko czego nie ma — będzie, a Kopenhaga już jest!''.

W więzieniu zamarstynowskim zmienił się sposób prowadzenia śledztwa. Zaczęto powszechnie stosować terror fizyczny bijąc aresztowanych i tą drogą wymuszając od nich zeznania. Bicie stosowano powszechnie. Więcej jak połowę aresztowanych bito pięściami i pałkami gumowymi po ciele. Zbitych odprowadzano z powrotem do celi. Taką operację powtarzano co kilka lub kilkanaście dni na delikwencie. Podczas jednego z dochodzeń, które przebiegało w sposób stereotypowy — to znaczy oficer śledczy żądał, bym złożył zeznanie odnośnie antysowieckiej organizacji, którą rzekomo organizowałem i do której należałem, a ja twierdziłem, że nic mi o takiej organizacji nie wiadomo —

wszedł do pokoju generał z majorem sowieckim. Generał zapyta oficera śledczego, czy daję zeznania, ten oświadczył, że zezna nie daję. Wówczas major bez dalszych wstępów, klnąc mni słowami swoistymi tylko rosyjskiemu językowi, uderzył mni pięścią w twarz, a generał pałką gumową przez plecy. Zaczęł się bicie. Uderzenia następowały szybkie, jedno po drugim Potem przewrócono mnie na ziemię i bito dalej. Potem znów posadzono na krzesło i bito pięścią po twarzy i pałką gumow po plecach. Po kilkudziesięciu uderzeniach generał i majo wyszli, a ja pozostałem w pokoju z oficerem śledczym, któr w egzekucji udziału nie brał. Teraz oficer śledczy zaczął m tłumaczyć, że w swoim własnym interesie, powinienem dać ze znania, że to co mnie spotkało to tylko mała próbka tego, c mnie czeka w przyszłości, że wobec mego postępowania będ do mnie zastosowane, bardziej dotkliwe środki, których ni będę mógł wytrzymać, że dalszy mój opór nie ma celu itd. Gd w dalszym ciągu odmawiałem zeznań, zbitego i na pół żyweg odesłano z powrotem do celi.

W smrodzie, w brudzie, jedzeni przez wszy, głodni, nie wyprowadzeni nigdy na świeże powietrze, tłuczeni niemiłosierni w czasie dochodzeń, popadliśmy w stan tępego odrętwienia w którym trwaliśmy długie tygodnie. Należy zaznaczyć, że mim tych warunków aresztowani trzymali się dobrze i nikt nie uległ ani się nie załamał i wszyscy odrzucali twardo stawiane im za rzuty. Wyroki sądowe nie były jeszcze wydane. Faktycznie lo nasz był już przesądzony. Nikt z nas nie miał już wrócić d życia. Czekał nas wcześniej czy później gdzieś na dalekie północy obóz pracy, z którego już nie ma powrotu.

WYWIEZIENIE DO MOSKWY

W więzieniu zamartynowskim przesiedziałem pięć miesięcy a więc ogółem we Lwowie pół roku. 18-go marca 1940 roku kazano mi zebrać swoje rzeczy, wyprowadzono z celi, ostrzy żono, ogolono, przygotowując w ten sposób do transportu Na dwa tygodnie przedtem dopuszczono do mnie przesyłkę, a mia nowicie: dwie zmiany bielizny, kawałek mydła, ręcznik i st gramów tytoniu. Była to jedyna przesyłka, jaką otrzymałem przez cały czas mego pobytu w więzieniu. Po załatwieniu for malności załadowano mnie i pięciu innych więźniów do karetk więziennej i odstawiono na dworzec. Tu załadowano nas d specjalnego więziennego wagonu tak zwanego stołypinowskiego. Naszą szóstkę wsadzono do jednego przedziału. Byli to: maszy nista kolejowy, wiceprzewodniczący Polskiej Partii Socjalistycz nej na Lwów — Wróbel, rabin z Warszawy, były senator Schorr, Niemiec-nauczyciel ludowy z kolonii niemieckiej z okolic Lwowa, szofer wojskowy, złapany przez wojska sowieckie, sier-

żant lotnik i ja. W sąsiednim przedziale jechało także sześć osób. Z moich znajomych — syn Wróbla młody student Politechniki, także socjalista, z którym uprzednio siedziałem razem w celi i komisarz policji, również mój towarzysz z celi. Innych osób nie znałem. Kto jechał w innych przedziałach, nie mogłem ustalić.

Wieczorem 18-go marca wyjechaliśmy ze Lwowa w kierunku wschodnim, rano przejechaliśmy Zbrucz, a po południu byliśmy w Żmerynce. Było jasne, że jedziemy do Kijowa, gdzie stanęliśmy rano. Przez drogę karmiono nas bardzo źle. Dostawaliśmy 600 gramów chleba razowego i pół śledzia na dobę. Poza tym czystą wodę w bardzo ograniczonych ilościach, tak że cierpieliśmy bardzo od pragnienia. W Kijowie przestaliśmy cały dzień i wieczorem przejechaliśmy Dniepr. Rano mogliśmy już ustalić, że jedziemy do Moskwy, gdzie stanęliśmy późnym wieczorem. Załadowano nas do karetki więziennej i przewieziono na Łubiankę.

Łubianka jest wewnętrznym więzieniem mieszczącym się wewnątrz gmachu N.K.W.D. W samym centrum Moskwy N.K.W.D. zajmuje olbrzymi blok 6-piętrowych gmachów, wewnątrz mieści się pięciopiętrowa oficyna będąca więzieniem. Jest to słynne więzienie G.P.U. znane z opisów okrucieństw bolszewickich z okresu rewolucji i wojny wewnętrznej. Dziś jest to najbardziej wzorowo urządzone więzienie sowieckie, które pokazuje się cudzoziemcom, zwiedzającym Moskwę. Tu siedzą pod śledztwem poważniejsi, wyłącznie polityczni przestępcy, których organy śledcze chcą mieć pod ręką na każde zawołanie i których sprawy mają ogólnosowiecki charakter. Spośród Polaków na Łubiankę przywożono tylko wybitniejszych działaczy politycznych, osobistości bardziej znane, lub ludzi z jakiegoś szczególnego powodu budzących zainteresowanie organów bezpieczeństwa sowieckiego. Tu, jak się potem przekonałem, siedział były premier Aleksander Prystor, były minister spraw zagranicznych książę Sapieha, obaj bracia marszałka Piłsudskiego, Jan i Kazimierz, prof. Grabski, prof. Głąbiński, książę Janusz Radziwiłł i wielu innych. Tu siedział także późniejszy wódz armii polskiej w Z.S.S.R. generał Anders i kilku wyższych wojskowych. Przyjęcie nas na Łubiankę trwało całą noc. Przede wszystkim wykąpano nas, ubranie nasze poddano gruntownemu i skutecznemu odwszeniu, dano czystą bieliznę, potem sfotografowano i spisano szereg różnorodnych arkuszy ewidencyjnych. Dopiero rano rozsegregowano nas po celach, uprzednio poddawszy bardzo szczegółowej rewizji.

Mnie zamknięto w celi pojedyńczej Nr 76, na 4-tym piętrze. W celi panowała prawie sanatoryjna czystość, którą obowiązany byłem podtrzymywać. Stało łóżko z bardzo zresztą lichym materacem, ale z czystą bielizną pościelową, kocem i poduszką, oraz stół i kubeł. Cela była 1,5 szeroka i 4 metry długa. Podłoga wyłożona była linoleum. Okno opatrzone było mocną kratą i blachą ochronną od zewnątrz. Miało jednak lufcik, który

mogłem dowolnie otwierać i zamykać. Ściany do połowy wysokości były malowane olejno i mogły być zmywane wodą. Na ścianie wisiały przepisy więzienne — dość liberalne ale, jak się o tym przekonałem później, stosowane w praktyce tylko w wyjątkowych wypadkach. Do mnie zastosowania nie miały. Nie otrzymywałem książek z biblioteki więziennej, nie mogłem też korzystać ze sklepiku więziennego, ani też otrzymywać przesyłek spoza więzienia. Miałem tylko prawo korzystać z dwudziestominutowego spaceru dziennie i otrzymywałem kąpiel oraz czystą bieliznę co dziesięć dni. W porównaniu z więzieniem lwowskim warunki mieszkaniowe na Łubiance były świetne. Trzeba zresztą przyznać, że były one i obiektywnie bardzo dobre, lepsze niż warunki więzienne w Polsce. Jest to zresztą, jak podkreślam, jedyne tak urządzone, więzienie w Rosji sowieckiej i posiada charakter reprezentacyjno-pokazowy.

Pożywienie, które dawano na Łubiance, było obfitsze i znacznie smaczniejsze od tego, które otrzymywałem we Lwowie. Chleb — 600 gramów dziennie, był dobrym chlebem razowym, jaki jada cała ludność Związku Sowieckiego. Na obiad dawano zupę i porcję kaszy, na wieczór tylko porcję kaszy, nadto herbatę, oczywiście surogat, i 2 i pół kostki cukru na dobę. Pożywienie to po Lwowie wydawało mi się świetne. W rzeczywistości było niedostateczne dla podtrzymania sił, a dla mnie, który przeszedłem sześciomiesięczną głodówkę we Lwowie, zupełnie niewystarczające, aby odbudować moje siły. Więźniowie mieli prawo kupować niewielkie ilości produktów w sklepie więziennym po cenach urzędowych, ogółem na 75 rubli miesięcznie. Racje te były tak ułożone, że razem z pożywieniem więziennym stanowiły pokarm wystarczający do podtrzymania sił. Bez tej racji dodatkowej, następować musiał powolny, ale stały spadek sił. Z dodatkowej racji korzystać nie mogłem wobec braku pieniędzy. Pieniądze, które miałem, zostały mi zabrane, a nowych otrzymać nie mogłem, nikt bowiem z moich bliskich nie wiedział gdzie się znajduję. W ten sposób na żadną pomoc z zewnątrz liczyć nie mogłem. Także cenne przedmioty, które przy sobie miałem, przepadły. Wobec braku pieniędzy byłem skazany na brak papierosów, co dla mnie jako nałogowego palacza, było szczególnie uciążliwe. Już po paru dniach zorientowałem się we wszystkich właściwościach nowego więzienia. Obowiązywała najsurowsza izolacja więźniów. Istotnie, przez cały czas pobytu na Łubiance, nie było wypadku, bym widział lub spotkał na korytarzu czy schodach, innego więźnia. Bardzo liczny personel nadzorczy czuwał nad skrupulatnym wykonywaniem niepisanego ale faktycznie obowiązującego regulaminu. Na spacer czy też na śledztwo, wyprowadzało mnie zawsze dwóch nadzorców. Idąc na śledztwo byłem trzymany silnie za ręce. Przez judasza w drzwiach, co kilka minut, zaglądano do celi by przekonać się, co robię. Przydzielony nadzór miał mi ciągle coś do zarzucenia, lub też moje zachowanie się wydawało się nadzorcy podejrzane, były to oczywiste szykany. Wchodzono wówczas do

celi i robiono mi jakąś uwagę lub zapytywano co znaczyło moje zachowanie. Mnie obowiązywała w stosunku do nadzoru grzeczność, w przeciwnym wypadku, czekały mnie dotkliwe kary. W nocy świeciła się w celi jasna lampa elektryczna wprost w oczy i nadzór przez judasza widział moją twarz i obie ręce na kocu, gdy w nocy, przez sen, obróciłem się lub schowałem wskutek chłodu ręce pod koc wchodzono do celi, budzono mnie, i nakazywano przyjąć przepisową pozycję, względnie kręcono kluczem w zamku aż do mego obudzenia. Budzono mnie w ten sposób po kilka razy na noc. Nawet gdy spałem zgodnie z przepisami i to mnie nie chroniło, bo nadzór miał wówczas i tak wątpliwości i budził w każdym wypadku. Przepisanymi godzinami snu był czas od 10 wieczór do 6-ej rano. W dzień można było leżeć na łóżku, nawet spać, ale oczywiście zgodnie z przepisami. Przepisy więzienne mówiły o prawie korzystania z biblioteki więziennej. Mnie jednak książek odmówiono, byłem więc skazany na całkowitą bezczynność. Wszystkie środki, jakie stosowano, miały na celu rozbić moralnie i nerwowo więźnia i ułatwić zadanie śledztwu.

Oficer śledczy, który objął moją sprawę, nie ponawiał stawianych oskarżeń przez śledztwo we Lwowie, a więc zarzutu o tworzeniu antysowieckiej organizacji, a zażądał ode mnie, bym mu odsłonił tajemnice polskiej polityki zagranicznej i wewnętrznej, oraz środki i metody, jakie rząd polski stosował w walce z komunizmem i tajne umowy międzynarodowe jakie zawierał przeciwko Związkowi sowieckiemu. Muszę stwierdzić, że poziom dochodzeń stał na bardzo niskim poziomie. Mego śledczego w pierwszej linii interesowały plotki polityczne, wymyślone przez propagandę komunistyczną, lub puszczane przez ugrupowania opozycyjne. Mój śledczy żądał, bym te plotki potwierdził, uznał za prawdziwy sposób przedstawiania rzeczywistości i dał szczegóły potwierdzające ich treść. Istotny stan rzeczy, śledztwa nie interesował. Był on śledztwu zupełnie obojętny. Rozmówki na ten temat, które trwały po kilka godzin, powtarzały się w odstępach tygodnia - dziesięciu dni. Wobec tego, że nie dawały one żadnego wyniku, protokółu ze mnie nie spisywano. Po sześciu tygodniach, zmieniono mi śledczego. Tym razem dostałem Żyda. Już poprzednio miałem Żydów śledczych, była to okoliczność raczej korzystna. W stosunkach sowieckich Żydzi reprezentują bowiem element inteligentniejszy i kulturalniejszy od rosyjskich komunistów. Nowy śledczy zaprzestał indagacji na temat politycznych plotek puszczanych przez antypolską propagandę, a zażądał, bym napisał szczegółowe curriculum vitae. Zadanie to wykonałem, nie wychodząc zresztą w opisie mego życia poza fakty, drukowane w różnych moich życiorysach, jakie się różnymi czasami ukazały. Tym właściwie śledztwo zostało wyczerpane, o czym się wkrótce przekonałem.

(c.d.n.)

Leon KOZŁOWSKI



Kronika kulturalna

Zderzenia literackie

O STAFFA

Po śmierci Leopolda Staffa wybrałem dla ,,Kultury'' dwa z najpiękniejszych jego wierszy. Moje kryteria oceny nie były widocznie ekscentryczne jeżeli jeden z tych wierszy ukazał się równocześnie, i przecie nie dzięki telepatii, na pierwszej stronie warszawskiego tygodnika ,,Po Prostu'', jako hołd pamięci poety. Było mi bardzo przykro, kiedy p. Leopold Wellisz z New Yorku dopatrzył się i w tym wyborze i w mojej opinii — że Staff ,,zawsze umiał literackie porażki zamieniać w ludzkie zwycięstwa'' — jakichś podstępnych zamiarów. Odkryć, do jakich zdolna jest podejrzliwość, bardzo trudno się domyśleć. ,,Wielu tutejszych czytelników — pisze w swoim liście p. Wellisz — uważa to za insynuację ze strony niewątpliwie utalentowanego poety, że śp. Staff wykorzystywał swe mierne wiersze dla zapewnienia sobie korzyści materialnych''. Z takiego sformułowania należy, jak sądzę, wyciągnąć dwa wnioski: 1) że czytelnicy, których reprezentuje p. Wellisz, cierpią na obsesję; 2) że ,,ludzkie zwycięstwa'' są dla nich synonimem pieniężnych korzyści.

Pomysł że nad grobem poety i humanisty, tak pracowitego i tak skromnego w swoich potrzebach, ktoś mógłby robić aluzję do rubli, koron czy złotych (Staff był niemal zawsze ubogi jak mysz kościelna) jest wyjątkowo okrutny i należy do dziedziny psychoanalizy. Obawiać się można, że przemawia tu jakaś stłumiona nienawiść, bez określonego obiektu, właściwa pewnym kołom polskiej inteligencji.

Zdanie jakiego użyłem może wydać się enigmatyczne. Przedstawia jednak stosunek do Staffa kilku pokoleń literackich. Wszyscyśmy go kochali i jego nieustająca młodość nas cieszyła. W przeciwieństwie do autorów, którzy apogeum osiągają koło

czterdziestki i później tylko się powtarzają, Staff nigdy nie zastygł, odradzał się bez ustanku i gdyby żył jeszcze sto lat zawsze byłby współczesny. Swoje doświadczenie poetyckie i wielką kulturę (monarchia habsburska strzegła tradycji wychowania klasycznego) umiał wykorzystać nie tylko przekładając pisarzy Francji i swojej niemal drugiej ojczyzny, Italii — jego dorobek tłumacza jest olbrzymi — ale również nawiązując kontakt z najmłodszymi poetami, entuzjazmując się każdym ich rzeczywistym osiągnięciem. Co ciekawsze, ulegał ich wpływom i ciągle zmieniał swoją technikę. Kult Staffa nie miał w naszym środowisku nic sztywnego, był zapłatą ciepłem za ciepło, zaufaniem, przyjaźnią.

Gdybym źle myślał o Staffie, byłoby to z mojej strony czarną niewdzięcznością. Z wizyt w jego mieszkaniu, na Koszykowej, podczas wojny wracałem pocieszony. Nie było wtedy łatwo o okazje do odrobiny pychy — a Staff moje wiersze recytował z pamięci. Instytucja mądrego literackiego dziadunia, który w każdej chwili jest gotów kopać z nami piłkę, bywa bardzo potrzebna. Całą niemal starszą generację poetów wywiało wtedy z Warszawy i za partnerów mając tylko dwudziestolatków, czuliśmy się dziwnie osamotnieni. Ale był na Koszykowej Staff, jakby rękojmia trwałości i ładu w chaosie.

Jednak cześć dla Staffa zawsze była oparta na szczególnym rozróżnieniu, dość bystrym. Wielbiło się nie jego poezję, ale człowieka, który się poprzez nią realizował. Jego dzieło, wielkie rozmiarami, składało się z etapów i przezwyciężeń, jakby stopni które liczyły się tylko o tyle, że dzięki nim Staff stanął tam gdzieśmy go w danej chwili spotykali. Napisał po wojnie, że zacznie „budować od dymu z komina", i w istocie co budował na piasku czy na skale zawaliło się, stopnie jakimi szedł osiadały, zostawał on sam, z nieustającą nadzieją i darem transformacji. Porażki literackie wczorajszego Staffa (uznawane przez wczorajszych krytyków za „perły poezji polskiej") nie były dla nikogo z nas tajemnicą ale on dzisiejszy, żywy, dotykalny, mógł cieszyć się światem tylko dzięki nim. Franciszkański, jak go nazywano, tworzył sam siebie w czterech ścianach czy w ogrodzie klasztornym, nie on służył poezji, poezja właśnie przez niego pisana mu służyła, po to, żeby wkrótce zblednąć i zastygnąć na stronicach szkolnej antologii. Substancją, które brakło jego słowom, sam się karmił. Nikt go nigdy nie atakował i chyba nie ze względu na respekt należny nestorowi, bardziej z nabożności dla rzadkich fenomenów.

Diagnozy, sprowadzające się do wyznaczania rangi: ten jest wielki, ten trochę mniejszy, przynoszą w literaturze mało pożytku, bo zjawiska są zwykle nieporównywalne. Zbiorowy obrządek pcha jednak do kanonizacji i następnie rewizji. Przez pewien czas co minęło uchodzi za nietykalne i wszyscy biorą udział w cichym spisku. Możliwa jest jednak chyba inna metoda bliższa ruchowi, bardziej namiętna: nie kanonizować, toczyć

dialog, utrzymywać w ten sposób obecność umarłych wśród żywych. Staff, ze swoim poczuciem humoru i zmysłem auto-ironii, na pewno by ją pochwalił. W takim wypadku jak jego są dwa dialogi: z całą epoką poezji polskiej, bo stał się jej symbolem, i z nim samym, w tej epoce niezamkniętym, wychylającym się z niej, zdolnym do nowej równowagi. Spór z epoką musi być drapieżny, nie może być tutaj kompromisów. Chyba że wyznajemy naiwny ewolucjonizm, według którego wczoraj jest zawsze o stopień gorsze niż dzisiaj i mówimy: jak na tamte czasy to niezłe. Pewna miła Dziunia stworzyła nawet sobie całą ewolucjonistyczną teorię literatury. ,,Mnie się zdaje, że Mickiewicz i Słowacki musieli być bardzo zwierzęcy''. ,,Dlaczego''? ,,Bo człowiek pochodzi od małpy, a oni żyli tak dawno''.

Wspominanie o porażkach literackich Staffa czy podejrzliwość z jaką wielu z nas odnosi się do poezji Lechonia (jak również i Tuwima) nie oznacza, że istnieje masońska mafia specjalizująca się w szarganiu świętości narodowych. Jest to najzupełniej normalna funkcja krytyki, która musi stawiać maksymalne żądania twórcom i przeszłości i teraźniejszości, według miar nam dostępnych. Układając jakąś antologię Staffa wzięlibyśmy dzisiaj z jego dzieła zupełnie inne utwory niż nasi poprzednicy i nie ma na to rady. Prawdopodobnie znalazłoby się tam sporo jego tłumaczeń, które dotychczas nie uzyskały tego miejsca, jakie jest im należne. Osobiście uważam ,,Fletnię chińską'' za jeden z najlepszych jego tomów.

Dwa wiersze, drukowane w ,,Kulturze'', są dla mnie przejmujące. Rilke doradzał młodemu poecie, żeby w swoich modlitwach prosił o zdolność do napisania jednego tylko dobrego wiersza w życiu, bo to dosyć. Ale w tych wierszach ostatniej fazy Staffa (bez rymów i bez melodii, co odstręcza zapewne przyzwyczajonych) jest też zawarty cały opis ludzkich zwycięstw, nieco gorzki. Szedł, powiada, jak słoń, jak ślepiec, nie wierzył że przejdzie ten most. Ale przeszedł i kiedy jest już na drugim brzegu, dziwi się sam sobie, że przeszedł. Staff nie wpadł, jak tylu innych, ani w obłęd polityczny ani w wewnętrzne odrętwienie, nigdy nie dałoby się zastosować do niego tych linii Szekspira:

Młodości nie masz ty ani starości
To tylko jakby w drzemce poobiedniej
Śniły się one tobie.

I gdyby nawet, jako eksplorator tej krainy poezji, gdzie nie stanęła jeszcze ludzka stopa, przekonał się, że ,,ktoś tam już przedtem był'' — gdyby nawet (Rilke by temu zaprzeczył) — to i tak odnosił stale zwycięstwa, kto wie, czy nie jedyne, do jakich wolno nam dążyć.

List p. Wellisza, przyznam się, mnie przeraził. O czym oni myślą? Łatwo sobie wyobrazić, co wyczytaliby w naszych pismach i książkach Marsjanie, gdyby pisali historię Ziemi.

BEZ TARYFY ULGOWEJ

Artykuł Artura Sandauera, ogłoszony w ,,Kulturze'', rozpętał piekło w warszawskich kołach literackich. Zaczęło się zbiorowe rozdzieranie szat, przy czym prym wodziła partyjna konserwa: „naszych wielkich obrażają!'' (nie tak dawno, broniony teraz przez nich Adolf Rudnicki skwierczał pod ich butem. Znakomity manewr strategiczny). Następnie wytoczono przeciwko Sandauerowi działa i to najtęższego kalibru, oczywiście naładowane kulami polityki.

Artykuł Sandauera był bolesny i krzywdzący. Można mu zarzucić brak humoru czy mrugnięcia do czytelnika, co chyba potrzebne jest w pamflecie. Powinien był też być zaopatrzony w notkę, że jest to pierwszy z portretów w serii ,,Bez taryfy ulgowej''. Niemniej — całkowicie uznając kaliber Rudnickiego jako pisarza — trzeba stwierdzić, że Sandauer wprowadził nowość niezwykłą: traktowanie literatury jako sprawy poważnej, gdzie gra idzie na ostro. Przez dwanaście lat Kazio nie nastąpił na odcisk Stasiowi ani Stasio Kaziowi, chyba, że rozkaz ,,zniszczenia'' przychodził z góry. Sprytniejsi w ogóle machali ręką na literatów, uważając ich za batalion odkomenderowany do fabrykacji zasłony dymnej. Również za granicą, gdzie emigracja w pierwszych latach po wojnie srożyła się na ,,krajowych'', widząc w nich same świnie, zaczęto szanować napis: ,,nie strzelać do pianisty, on robi co może'', choć bal jako całość nie był budujący. Wszelka jednak działalność umysłowa, czy chodzi o literaturę, naukę czy sztukę wymaga namiętności i miar skrajnych. Tam, gdzie zalęga się pobłażliwość, gdzie ,,to, proszę pana, względne'', niczego się nie osiągnie. Dopóki jest w Polsce paru Żydów, których spala święty ogień intelektu, nie wszystko stracone. Słowiańskie ciołki po paru wódkach całują się z dubeltówki i ze zdumieniem spostrzegają, że nie ma w ogóle żadnych problemów (lojalnie stwierdzam, że w tym zdaniu wyraża się mój kompleks anty-słowiański). Dlatego, choćby się umiało napisać obronę książek Rudnickiego, w tych perypetiach należy stanąć po stronie Sandauera.

Marian Pankowski w swoim liście do ,,Kultury'' sądzi przeciwnie. Wykpiwa Sandauera, zgodnie z polską tradycją, która roztapia w kpinie fanatyków. Jego rozumowanie streszcza się w okrzyku: ,,Nie masz prawa mówić o czystości, bo sam jesteś brudny!''. I być może porusza w ten sposób wielki problem ludzkiego działania w ogóle. Tylko ten, kto sam napisał wybitne dzieła, ma prawo krytykować dzieła innych (byli obrońcy i takiej tezy). Tylko ten, kto złożył w praktyce dowód swoich umiejętności polityka, ma prawo zajmować się publicystyką. Tylko ten, kto moralnie jest nieskazitelny, ma prawo zachęcać innych do moralności. Niestety, prawda o źdźble w oku bliźniego i belce we własnym oku ma zastosowanie tylko w bezpośrednich stosunkach człowieka z człowiekiem. W sferze działań publicz-

nych żywimy się naszym własnym niedostatkiem, przemawiamy przeciwko naszemu niedostatkowi, kto wie czy nie z niego czerpiąc potrzebne doświadczenie. Jeżeli Sandauer dał tytuł ,,Bez taryfy ulgowej'' to znaczy, że dotychczas sam stosował taryfę ulgową i w istocie, choć przebywał na granicy herezji i nie miał słodkiego życia, w jego pracach krytycznych jest pełno koncesji dla linii obowiązującej. Kontrast pomiędzy bystrością autora i jego zniżaniem się do poziomu tępaków jest przykry, wolimy nieraz tępaków, którzy piszą w dobrej wierze. Gdyby jednak Sandauer nie wkładał w ogóle urzędowego płaszcza, nie drukowano by go wcale i nie mógłby prowadzić tych batalii jakie prowadził. Tutaj drugi problem, przed którym niejeden z nas stawał w różnych okolicznościach: czy lepiej płacić cenę i coś robić, czy nic nie płacić i nie robić nic?

GASTRONOMIA

Kolega Stefan Kisielewski, jadąc ze mną łódką, zaproponował mi, żebyśmy zjedli trzeciego pasażera, kolegę Józefa Mackiewicza, bo ma niemiły wygląd. Tak pojąłem oświadczenie Kisiela w wywiadzie opublikowanym na łamach ,,Kultury''. Propozycja taka całkowicie odpowiada moim zamiłowaniom ludożerczym, po rozwadze doszedłem jednak do wniosku, że hamulce cywilizacji działają we mnie za silnie. Wprawdzie Kisiel nie doradza powrotu do metod prymitywnych, właściwych ludziom na niskim stopniu rozwoju. Jego zdaniem moglibyśmy złożyć Mackiewicza w ofierze polskiej racji stanu, z którą poglądy delikwenta są sprzeczne. Ale tutaj na przeszkodzie stoi brak czarownika. Bo kto będzie tym czarownikiem? Kisiel jako poseł na sejm, który jest niezupełnie sejmem, w państwie, któremu odcięto połowę terytorium, dodano inną połowę, nie pytając nikogo o zdanie? Ja? Czy może Chruszczow? Może Dulles?

Prawdopodobnie z Mackiewiczem trudno mi byłoby się w kwestiach politycznych dogadać. Kiedy jednak atakują jego przeszłość, zadaję pytanie: czy w pismach tego permanentnego dyssydenta znajdzie się gdziekolwiek pochwałę przemocy, okrucieństwa, rasizmu, szowinizmu; czy zalecał on kiedykolwiek ustrój totalitarny, brunatny, czerwony czy czarny, jak to robiło wielu innych, którym Kisiel chętnie wybacza? O ile wiem, nie. Wypadek Mackiewicza z trudem daje się podciągnąć pod przyjęte w Polsce kategorie lewicy i prawicy, postępowości i reakcji, jest to wypadek sam w sobie i nie należący do historii państwa, które reprezentuje Kisiel, ale do historii, jak kto chce, kraju czy regionu, który na mapach już nie figuruje. Jakie były tam napięcia, konflikty, jakie beznadziejne miotania się, albo opowiedzą albo nie opowiedzą kronikarze. Nie wątpię, że powieść

Mackiewicza ,,Droga do nikąd'' jest dla Polaków, którzy spędzili wojnę w General Gouvernement egzotyczna. Jednak tamtejszy kocioł i tamtejsze drogi do nikąd trzeba wziąć pod uwagę.

Kiedy Mackiewicz w 1944 roku przyjechał do Warszawy, w rozmowie z nim (brał w niej udział Janusz Minkiewicz) przekonałem się, że zupełnie nie orientuje się w aurze zbiorowej, jakby zjawił się z innego kontynentu.

Nie piszę tego przez solidarność wilnianina. Mackiewicz jest wybitnym prozaikiem czyli przedstawia pewne aspekty rzeczywistości, a tylko totaliści wierzą, że zamykając komuś usta, skazują rzeczywistość na niebyt.

O GOMBROWICZA

W ciągu dwunastu lat nie ukazała się polska książka, którą można by było porównać z ,,Dziennikiem'' Gombrowicza. Słusznie Jeleński w ,,Kulturze'' przypisuje jej taką wagę i kiedy wykazuje filiacje Gombrowicza z myślą epoki, zgadzamy się całkowicie. Jednak Jeleński wprowadza zarazem truciznę, przeciwko której Gombrowicz się broni. Zaprasza go do kolektywu, którego członkowie, w złudzeniu że demaskują zależność człowieka od człowieka i wzajemne kształtowanie się ludzi przez ludzi, zagrzewają się i kształtują wzajemnie, wkładając nowe sztywne maski savoir vivre'u. Bo ta pianka paryskiego życia, ta publiczność dobrze odżywiona i dobrze ubrana, która przerzuca się terminami takimi jak alienacja, *angoisse*, dialektyka (warto by było ułożyć cały słownik jej *idées reçues*) ta publiczność sztuk Becketta i Jonesco czy wystaw Buffeta już z tego, co było niedawno odkrywcze i prowadziło do wolności, zrobiła savoir vivre i nową niewolę. Jak ultra-nowoczesny mebel do mieszczańskiego domu, przeniknął w nią rozpaczliwy pejzaż ludzki, odkryty przez poezję w okolicach pierwszej wojny światowej i został rozmieniony na drobne. Oklaskuje się to, co jest w istocie nieustannym Oświęcimiem i Buchenwaldem wyobraźni, jakby rozdwojenie na praktykę (szybki wzrost dochodu narodowego Francji, obfitość) i stałe *ricanement* jako postawa wobec świata, było konieczne dla zdrowia. ,,Otwarty marksizm i egzystencjalna psychoanaliza'' do których, zdaniem Jeleńskiego, zachęca Gombrowicz, to, niestety, właśnie to. Gdyż idee mogą być godne szacunku, ale nie istnieją w oderwaniu od ludzi i sam Gombrowicz ocenia je, sprawdzając czy nie wykrzywiają nam twarzy w mordę. Spryt asymilacji, jakim odznaczają się eliotowscy ,,wydrążeni ludzie'' jest niezrównany, ale z chwilą, kiedy nicość staje się chlebem powszednim rozmów i spektaklów, przestaje być tą nicością, przed którą drży filozof. Oswoić nieoswajalne, beznadziejność istnienia zmienić w kwestię dobrego

tonu, towarzyskiego minimum, mieć pełne usta marksizmu jadąc na człowieku-koniu: i to potrafią. Jeżeli w Polsce chciwie chłoną taki ,,Zachód'' nic dziwnego, tylko ten import jest dozwolony. Ale pisząc w Paryżu, wydaje mi się, nie należy brać na serio ,,nurtu'', który jest tylko nowym akademizmem, modą, tematem nie dla historyka myśli, ale dla historyka obyczajów. Już niemal paryżanin, umieszczony w tle, Gombrowicz staje się prawie Dionisem Mascolo czy którymś z podobnych mistrzów ekwilibrystyki. Zatraca się jego specyfika. Tutaj nie zawodzi nas jednak na pewno to wyczucie, które mają niektórzy przybysze z Polski (i ja z nimi). Ta chęć, żeby wziąć jednego z drugim otwartego marksistę i psycho-analito-egzystencjalistę za gardło i tłuc o ścianę, dopóki nie odgadnie doświadczalnie, że świat ma swoją twardość, swoją bryłastość, że kto ją zapoznaje nie pojmie z międzyludzkich napięć nic — tej chęci nie ma co się wstydzć. Jednak Gombrowicza czytać możemy i to z jaką przyjemnością. Gombrowicz jest dla tych, którzy zrozumieli że literatura jest przeważnie bzdurą, którzy ją w pewnym sensie w sobie spalili, ale którzy nie chcą też ,,odwrotnych'' robiących z anty-literatury temat do literackich popisów. Bo ci ,,odwrotni'' są maksymalnie onieśmieleni,spętani przez nową konwencję ,,przenikliwości'' i okrucieństwa, boją się kichnąć nieprawidłowo. Gombrowicz *stracił onieśmielenie* i to jest chyba definicja jego ,,Dziennika''.

Czyżbym przemawiał przeciwko Paryżowi? Bynajmniej, nie jest nim jeszcze akademizm wykrzywiony w grymasie anty-akademizmu. Ten drugi Paryż jest co prawda splątany z pierwszym, korzysta z niego, powiedzmy, jako z niezbędnego widowiska, dostarczającego obserwacji pedagogicznych.

Szkic Jeleńskiego o Gombrowiczu zawiera wiele cennych spostrzeżeń. Skłania do pytań zasadniczych. Czy forma, która ma do nas przylegać jak skóra, jest w ogóle możliwa? Czy to nie realizatorem formy był król Midas, któremu wszystko, czego dotknął, zastygało w złoto? Czy pozbywając się literackości, papieru, wchodząc w słowo ze swoim oddechem, swoją codziennością, nie ścigamy wymykającej się stale naszej esencji, otrzymując zamiast niej tylko wyobrażenie o sobie samym? Czy, choćbyśmy łowili nie naszą statyczność ale naszą płynność i zmienność, nie przegrywamy trochę inaczej, też starając się siebie upiększyć i zaakceptować? Pomińmy przykłady jaskrawe, jak Majakowski, który wcielał się w obraz siebie samego jako goryla-Prometeusza, bolszewika z ogoloną głową, dławiącego sentymenty w imię szczęścia przyszłej ludzkości, albo Hemingway, który klękał przed sobą, ozdobionym w sprawność fizyczną, wstyd uczuć i męskość, udając że nie klęka. Czy u różnych paryskich autorów, kiedy próbują obrysować swoją własną niekonsystencję, zależność od sytuacji, przypadkowość uczuć i couchage'ów, rzekoma prawda o człowieku, jaką chcą opisać, nie jest przez nich tylko postulowana i uwielbiona? Czy nie zmierza to do tego kresu, jakim są wyznania Clamence'a z ,,Upadku''

Camusa, czyli ostatecznie do przyznania racji Pascalowi? I wreszcie co znaczy ,,egzystencjalna metoda narzucenia formy własnej ludzkiej sytuacji'' jeżeli Jeleński nie widzi czekającego tu diabła i tam ucina swoje rozważania nad Gombrowiczem, gdzie powinno się zacząć, to jest eliminuje dążenie, wartość dajmoniona. Zachowuje się jak astronom, który miałby wstręt do matematyki i posługiwał się tylko oglądem.

Siła Gombrowicza polega na jego polskości w walce z polskością, tylko z niej czerpie on konieczny opór i nie jest nowoczesnym autorem któremu wypadło urodzić się w Polsce, ale naciskowi swojej ojczyzny wszystko zawdzięcza. Sprzymierzeńcem jego jest niemrawość umysłowa różnych Wólek, bo zmusza go do wykładu, do wyjęzyczania się, czego w bardziej lotnym środowisku by zaniechał. Sprzymierzeńcem jego jest policja, która tępi jego książki wysyłane do Polski, bo podniesiony do rzędu instytucji narodowej miałby przed sobą materię miękką, rozlazłą, pierzynę. Natomiast czy sprzymierzeńcem jego jest Jeleński, wolno wątpić. Do takich jak on czytelników Gombrowicz nie zwracałby się przez ,,bo wy...'', nie nadziewałby, gdyby o nich chodziło, na rożen Sienkiewicza, Żeromskiego, Mickiewicza, nie obcowałby ze zbiorowością minionych i teraźniejszych pokoleń. Broń, jakiej Gombrowicz używa w swojej rozgrywce z tym co go ukształtowało, co jest nim samym ale co dźwignąć chce na wyższy szczebel, mogłaby zostać wtedy poddana oględzinom i oceniona sama w sobie (co już jest zgubne). Żur, krupy, Trylogia, diariusz szlachecki z XVII wieku, wąsatość dzieckiem podszyta, mamrotanie i bełkotanie sycą Gombrowicza, gdyby go tego pozbawić i zaprosić między pisarzy uniwersalnych (czyli nigdzie nie przynależnych) byłby Francuzo-Rumunem Cioranem. Z napięcia pomiędzy gombrowiczowskim ja i polskością zostałoby tylko ja, bez napięcia (które zakłada pasję, ból, a tym samym wartość) i książki Gombrowicza nie różniłyby się od książek pań i panów upupionych odpupianiem.

Czesław MIŁOSZ

Poprawiam i uzupełniam

I

Do zeszłorocznego artykułu mego pt. *Zmiany w polszczyźnie krajowej* („Kultura", nr 10/108, str. 75-88, nr 11/109, str. 117-125) zechciał mi łaskawie przesłać kilka poprawek i garść uzupełnień znany grafik warszawski, Eryk Lipiński.

Okazało się, raz jeszcze, że kontekstowa metoda ustalania znaczeń lub odcieni znaczeniowych nie zawsze jest niezawodna.

Podczerniłem twór *wdechowiec* rozsadzając na str. 77 znaczenie ‘człowiek *w dechę* (por. str. 82: „*bić się w dechę* jest gestem podkreślającym własną siłę, własną znakomitość”), dumny ze swej krzepy’ kontekstowo uzasadnioną wstawką ‘coś w rodzaju chuligana (dumnego ze swej krzepy)’. P. Lipiński o *wdechowcu* pisze: „jest to chłopak dzielny, „morowy”. Może to być dobry sportowiec, tancerz i w ogóle „fajny” ”. Podczerniłem również twory *rozrabiacz-rozrabiak* pisząc o nich na str. 80 ‘człowiek, który postępuje lub zachowuje się w sposób niewłaściwy, awanturuje’. Owóż według p. Lipińskiego może to również być po prostu ‘figlarz’. Znaczenie *odzieżowca* wyciągnąłem zbyt wysoko mianując go aż ‘kierownikiem przemysłu odzieżowego’ (76/77). Wyrazem moich wątpliwości było dodanie drugiego zdania do cytaty. Owóż pisze p. Lipiński, że jest to ‘każdy kto pracuje w branży odzieżowej’. Znaczenie *waciaka*, który u mnie jest ‘podwatowanym paltem’ (str. 80), a według p. Lipińskiego ‘podwatowaną kurtką’ albo ‘kompletem złożonym z kurtki i spodni watowanych’ darowałbym sobie, jako że moja znajomość słownictwa ubraniowego zawsze ograniczała się do terminów najniezbędniejszych. Ale niech już będzie stuprocentowa ścisłość. Notuję ponadto za moim informatorem, że owej podwatowanej kurtki używają szeroko robotnicy, stąd mówi się „Przyszło dwóch *waciaków*”.

Teraz zaczynają się moje dwa grzechy najważniejsze. Co do pierwszego nie mam najmniejszego usprawiedliwienia: *wiącha* nie jest ‘jakimś uderzeniem (pasem?)’ (str. 82), lecz ‘serią przekleństw’. Co do drugiego, niech mi za usprawiedliwienie posłuży to, że znaczenie *lewaka* starałem się ustalić w rozmowie z kilku członkami delegacji krajowej na kongres P.E.N. Clubu w lipcu r. ub. w Londynie, przy czym okazało się, że tego tworu w ogóle nie znają. Zaryzykowałem ‘człowiek lewy, to jest fałszywy, udający przekonania komunistyczne (str. 79) i opatrzyłem to znaczenie aż trzema znakami zapytania w nawiasie. P. Lipiński pisze mi: „jest to partyjny lub bezpartyjny, zajmujący sztywne, bezkompromisowe, często bezmyślne stanowisko, w jego przekonaniu najbardziej lewicowe”. W *Próbie dialektyki* (Kultura, nr 3/113) określa Jerzy Kornacki *lewactwo* jako ‘dziecięcą chorobę lewicowości’ (str. 30, por. także str. 31; *lewak* na str. 30, 31; *lewacki* na str. 32).

II

Chcąc określić zadomawianie się *slangu* pisze p. Lipiński: „poza tym jest jeszcze szereg wyrazów gwarowych, które powoli przejmuje inteligencja, początkowo dla żartu (lub słyszy od młodzieży), a w końcu używa je stale”.

Ów nalot slangowy może się z inteligenckiego języka potocznego dostawać na karty książek i w kraju, i na obczyźnie. Dla zilustrowania procesu odbywającego się na obczyźnie posłużę się dwoma przykładami z *Domu* Marii Danilewiczowej (Veritas, 1956). Zakładam, że gdyby Danilewiczowa napisała tę powieść przed wojną, powstrzymałaby się od *odautorskiego* użycia takich słów jak np. *nawalać* albo *wymądrzyć się*, mimo iż były dobrze znane w (bardzo) potocznym języku inteligenckim. Przepłynęła jednak fala czasu, autorka ozwyczaiła się z tymi wyrazami (i im podobnymi) i dziś w *Domu* czytamy: „gdy wszystko *nawala*, wiadomo, o robocie trzeba myśleć, a nie ozorem mleć”, str. 95; „— Tędy płynęła Prawisła — *wymądrzył się* Jurek Janicki”, 66. Z potoczności nieco nawet ryzykownej wyrazy te (i im podobne) weszły w fazę wstępnej literackości.

Zupełnie naturalna ewolucja, nb. bynajmniej nie ograniczona do naszej epoki, jak to mogą sądzić ci, których zwodzi względna nowość terminu

slang. Każda epoka każdego języka miała swój *slang*, który albo wdzierał się do języka literackiego, albo pozostawał poza nim. Słowo *kiep* w wieku XVI-XVIII miało jeszcze również pierwotne znaczenie nieprzyzwoite, było więc dla wielu ze szlachty i mieszczan słowem nie do normalnego użycia, choć już Jan Kochanowski i Wacław Potocki nie wahali się owego nieprzyzwoitego *kpa* użyć w żartobliwej poezji. W znaczeniu wtórnym, w którym *kpa* znamy dzisiaj, to jest 'błazna, cymbała, durnia, głupca, człowieka do niczego', musiał to długo być *slang* przynajmniej tak ostry w swej ekspresji, jak dzisiejszy czteroliterowiec. Twory na *-us*, takie jak *dzikus, sługus* itp., wzięły się ze *slangu* żakowskiego. Męski mianownik liczby pojedyńczej jest w polszczyźnie goły, bezkońcówkowy. Dlatego łacińskie *-us* wydało się żakom interesującym dziwem do doczepienia do pni rodzimych. Ponieważ przypadki angielskie są — oprócz possesivu — wszystkie golizną od dawna, wszystkie łacińskie końcówki były takimi samymi dziwami i przez *embarras de richesse* angielski żak nie wybrał żadnej końcówki na przyrostek, mimo że angielszczyzna jest więcej od polszczyzny ,,załacińszczona''.

III

Jak *slang* jest wieczny i wszędobylski, tak i zmiana norm językowych pod naporem zmian społecznych dzieje się zawsze i wszędzie. Oczywiście natężenia są różne zależnie od miejsca i czasu. Spokojne i powolniejsze zmiany odbywają się np. i we współczesnej angielszczyźnie. Ograniczmy się do kilku cytat z artykułu pt. *Teaching of English*, zamieszczonego w *The Times Educational Supplement* z dnia 29 marca br. na str. 423:

,,Trzeba tylko posłuchać nauczycieli mówiących między sobą, aby się zorientować, że nawet nie jeden na dziesięciu mówi wzorową (*standard*) angielszczyzną — jest to godne pożałowania, a stwierdzamy to aż nadto wyraźnie w rzadkich okazjach, kiedy nauczyciel mówi przez radio'',

,,większość dzieci przychodzi do szkoły z domów, gdzie najwyższą formą literacką jest najprawdopodobniej zdanie ,,Podaj mi tę przeklętą (*bloody* — słowo w angielszczyźnie normalnie nie do użycia) musztardę'' '',

,,Jesteśmy uchwyceni w wir wpływów społecznych silniejszych od nas'', i wreszcie:

,,Jest wiele dzieci w dzisiejszych szkołach, które, nawet gdyby chciały, nie mogłyby opanować sztuki mówienia i pisania wzorową angielszczyzną. Będą one nadal mówić *I done it* (zamiast *I have done it*) i *we was* (zamiast *we were*) aż do śmierci; i taka jest ich ilość, tak rośnie ich wpływ w społeczeństwie demokratycznym, że z czasem będziemy zmuszeni do przyjęcia tych wulgaryzmów jako obocznych form poprawnych: warto sobie przypomnieć, że Gray zatytułował elegię ,,*Elegy Wrote* (zamiast *written*) *in a Country Churchyard*'' ''.

Ostatnie zdanie podaje przykład odstępstwa od normy w literaturze, gdzie każde uważniejsze i dojrzalsze czytanie ujawnia, że takich odstępstw jest więcej niżbyśmy sądzili, przekonani, dość mylnie, o wzorowości — nieskalaności języka literackiego. U nas np. znakomity artysta słowa, Juliusz Słowacki, często pisał *te pole*, mimo że od dziecka w szkole wymaga się postaci *to pole*.

Stanisław WESTFAL

Kronika ukraińska

Mykoła Hłobenko

W osobie M. Hłobenki emigracja ukraińska utraciła jednego z najwybitniejszych i najbardziej dynamicznych uczonych. Jedyny sowiecki Ukrainiec w galicyjskim poza tym ośrodku naukowym T-wa im. Szewczenki w Sarcelles pod Paryżem, już na pierwszy rzut oka wyróżniał się energicznymi ruchami, męską postawą, nawet strojem: sportową wiatrówką, od bardziej profesorskich postaci swoich kolegów. Można by pomyśleć: inżynier-dyrektor elektrowni lub amerykański przemysłowiec. Ale do tego chyba ograniczała się ,,sowieckość'' tego uczonego europejskiego formatu i kultury. Urodzony w 1902 w rodzinie inteligenckiej kształcił się w epoce NEP'u i ,,ukrainizacji'', w 1925 zdał nawet egzamin na ukrainizatora, ale nieodpowiednie pochodzenie społeczne nie pozwoliło mu oddać się — jak tego pragnął — pracy naukowej. Dopiero w 1935 udało mu się zostać wykładowcą literatury ukraińskiej na jednej z wyższych szkół Charkowa, by wreszcie dostać się w 1940 na uniwersytet.

Od czasu swych studiów prof. Hłobenko interesował się żywo literaturą staroukraińską. Tego rodzaju studia nie były w sowieckich warunkach szczególnie popularne, zarówno jako ,,oderwane od rzeczywistości'' jak i z innego powodu, któremu trzeba tu poświęcić kilka słów wyjaśnienia. Do literatury Rusi kijowskiej zgłaszają pretensje trzej spadkobiercy: Ukraina, Białoruś i Rosja, niewątpliwie tradycje łączności z tą literaturą zachowały się mniej lub więcej we wszystkich trzech literaturach wschodnio-słowiańskich. Jednakże uczeni rosyjscy, nawiązując genealogię państwa moskiewskiego do Rusi kijowskiej odmawiali literaturze ukraińskiej prawa do literackiego spadku Kijowa. Według teorii wysuniętej w 1922 przez rosyjskiego historyka literatury, Istrina, tradycja literacka Kijowa przeszła, począwszy

od XIII wieku na północ, do późniejszej Rosji. Teoria taka doskonale odpowiadała tendencjom polityki sowieckiej, według której Rosja jest ,,starszym bratem''. W podręcznikach sowieckich historia literatury ukraińskiej zaczyna się od drugiej połowy XVI wieku, wszystko co było przedtem należy do literatury rosyjskiej. W takich warunkach dla uczonego ukraińskiego zajmowanie się literaturą sprzed XVI wieku jest ryzykiem. Mimo to Hłobenko, gdy tylko zelżał terror po upadku Jeżowa, zaczął przygotowywać — gdzieś koło 1936 — monografię na temat ,,Czy ukraińska tradycja literacka została przerwana?''. Ale terror znowu powrócił i praca nigdy nie ukazała się drukiem, może i na szczęście dla autora.

Wojna i okupacja zmusiły go do przerwania pracy naukowej, dopiero w latach 1948-1949 udało mu się do niej powrócić, ale oczywiście także w warunkach emigracji nie mógł poświęcić się tak jak pragnął literaturze staroruskiej. Większą część czasu zajmowała mu praca w T-wie im. Szewczenki nad Encyklopedią Ukrainoznawstwa, która — obok prof. Kubijowicza — jemu zawdzięcza istnienie.

Dopiero na krótko przed śmiercią udało się prof. Hłobence ogłosić dwa studia z dziedziny literatury kijowskiej XVII wieku. Dla czytelnika polskiego te zainteresowania prof. Hłobenki są szczególnie bliskie: językiem literackim Ukrainy był wówczas niemal wyłącznie polski, w polemice religijnej między unitami a prawosławnymi prowadzonej przez cały niemal wiek XVII, prawosławni (jak na przykład metropolita kijowski Piotr Mohyła, zresztą Rumun z pochodzenia) pisali równie znakomitą polszczyzną jak unici, a nawet — jak to zauważył francuski badacz Antoine Martel — prawosławni pierwsi zaczęli używać polskiego poczynając od roku 1596 i posługiwali się nim nawet chętniej niż unici. Niemniej jednak literatura ta, choć pisana po polsku, kontynuuje tradycje Rusi kijowskiej.

Hłobenko postanowił dowieść tego w oparciu o teksty i wziął za podstawę dwie siedemnastowieczne książki wydane w Kijowie pod auspicjami odnowiciela prawosławia P. Mohyły w roku 1635 i 1638: *Paterikon* oraz *Teraturgimę* (1). Te rzeczowe i źródłowo udokumentowane studia pokazują jak autorzy obu dzieł, będących żywotami świętych kijowskich i opisem ich cudów, nawiązują z jednej strony do tradycji staroruskiej (kronika tak zwanego Nestora, Żywoty Świętych czyli tak zwane Paterikon w redakcji XV wieku), ale z drugiej strony modyfikują je dla celów polemiczno-propagandowych podkreślając momenty aktualne a usuwając w cień momenty niesprzyjające ich tezie. Hłobenko poświęcił sporo miejsca w obu studiach zmianom wprowadzonym przez autorów czy to dla aktualizacji tematu czy też

(1) ,,Paterikon'' Sylwestra Kosowa, Zapysky NTSz, tom CLXV, str. 31-59, New York-Paryż, 1956. ,,Teraturhima'' Atanasija Kalnofojskoho Ukr. Literaturna Hazeta, Zbirnik 1956, str. 266-300, München 1957.

(co też było rodzajem aktualizacji) dla dostosowania staroruskiego tekstu do literackiej mody barokowej i do polszczyzny. A więc na przykład takie zwroty jak diabeł to *nieprzyjaciel duszny,* św. Teodozy to *dobry i czujny rycerz Chrystusow* itd. Ale centralną tezą obu studiów jest, że oba dzieła kontynuują w zaktualizowanej formie tradycję starokijowską. Tezę tę w pełni potwierdza przeprowadzona przez prof. Hłobenkę analiza ukazując w ten sposób, że kijowscy polemiści XVII wieku świadomie nawiązywali do tradycji. Innymi słowy, uczony powrócił po dwudziestu latach do pasjonującego go problemu: czy ukraińska tradycja literacka została przerwana?

O ile więcej mógłby był dać z siebie prof. Hłobenko, gdyby nie tyle zmarnowanych lat — można jedynie przypuszczać. Wiadomo, że nosił się z zamiarem napisania całej serii studiów poświęconych literaturze XVII wieku. Nie zdążył już tego, niestety, zrobić, co jest stratą także i dla historii literatury polskiej do której dzieła te należą przynajmniej pod względem języka.

Obok pracy nad Encyklopedią zmarły zajmował się też literaturą współczesną, nieporównanie łatwiejszą do badania w warunkach emigracyjnych. Obok szeregu artykułów w Encyklopedii, napisał znakomitą książeczkę o ukraińskiej prozie lat 1920-1930 to jest okresu względnej swobody i ukrainizacji. Książeczka ta (2) uderza doskonałymi charakterystykami zarówno całej epoki jak zwłaszcza poszczególnych autorów i utworów. Podobno prof. Hłobenko pozostawił jakieś prace w rękopisie. Byłoby zasłużonym hołdem dla zmarłego w pełni sił twórczych uczonego, gdyby ukazały się one w wydaniu książkowym razem z dawniej drukowanymi studiami rozrzuconymi po rozmaitych czasopismach naukowych.

Andrzej VINCENZ

Mniejszości w Polsce

Po wysiedleniach Polaków ze wschodu, Niemców z zachodu a Ukraińców z Łemkowszczyzny i z Rzeszowskiego, „nowa Polska" była oficjalnie w latach 1947-1956 państwem bez mniejszości narodowych. Ci Ukraińcy i Białorusini, którym udało się uniknąć wywiezienia do Sowietów, musieli udawać Polaków. Jednakże w wyniku odwilży strach przed wywiezieniem począł widocznie maleć, a doza swobody zaczęła się zwiększać. Od prze-

(2) M. Hłobenko, Literaturne żyttja na pidsowjetskij Ukrajini, I. Proza 1920-1930 rokiw, München 1952, str. 31.

szło roku istnienie mniejszości narodowych jest oficjalnie uznane, każda z nich posiada obecnie swoją organizację, ukazują się gazety, z których największy nakład ma niemiecka gazeta *Arbeiterstimme* (26.000), a najmniejszy żydowska *Jidysze Szryftn* (421 egzemplarzy). Mniejszość litewska, która w ilości około 15.000 zamieszkuje szereg wiosek w powiatach Suwałki i Sejny, nie posiada zdaje się gazety, jednakże — jak podaje białoruskie pismo *Niwa* wychodzące w Białymstoku, — życie kulturalne Litwinów jest nadzwyczaj bujne, młodzież przejawia „zadziwiający pęd do oświaty i kultury, troskę o zachowanie tradycji narodowych i poszanowanie dla pomników przeszłości". Istnieje też 6 szkół powszechnych z litewskim językiem nauczania a w dalszych 15 szkołach wykłada się język litewski jako przedmiot.

Mniejszości ukraińska i białoruska przedstawiają się o wiele pokaźniej pod względem liczbowym: około 300.000 Ukraińców, kilkaset tysięcy Białorusinów, których obsługują wyżej wzmiankowany tygodnik *Niwa* oraz ukraiński tygodnik *Nasze słowo*, ukazujący się w Warszawie. Sądząc z lektury tych pism mniejszość białoruska znajduje się głównie w białostockim, podczas gdy Ukraińcy rozrzuceni są po całym państwie, przeważnie jednak na zachodzie: Wrocław, Szczecin, Opole, i na Mazurach. O ile można się zorientować, ta ostatnia mniejszość składa się: 1. z chłopów wysiedlonych przemocą w latach 1945-47 z Łemkowszczyzny i z lubelskiego, 2. z Ukraińców, którym udało się uciec lub „repatriować" jako Polakom z Galicji wschodniej, 3. z pewnej ilości starych emigrantów zza Zbrucza. Od kilku miesięcy chłopi zaczynają powracać do swoich gospodarstw zarówno na Łemkowszczyznę jak i w Lubelskie (co nie obywa się bez komplikacji — np. około 250 rodzin, które powróciły „samowolnie" nie mają ziemi i muszą mieszkać u sąsiadów), mimo że władze starają się dopomóc udzielając drzewa na budowę domów oraz pożyczek długoterminowych.

Obie gazety, ukraińska i białoruska, przedstawiają ciekawe sprzeczności: z jednej strony reprezentują oficjalną linię komunistyczną (mówi się np. o „ojczyźnie sowieckiej"), z drugiej strony lojalność wobec Polski a więc i wobec „października" i — w porównaniu z gazetami sowieckimi — wielki liberalizm. Pismo musi wykorzystywać patriotyczne uczucia czytelników (którzy doskonale wiedzą co mają myśleć o Związku Radzieckim) dla budzenia sympatii do sowieckiej Ukrainy czy Białorusi, ale z drugiej strony musi się strzec, by go nie oskarżono o nacjonalizm. Toteż na łamach *Naszego Słowa* spotykamy utrzymane w duchu sowieckim ataki na ukraiński „nacjonalizm", z których można jednak między wierszami wyczytać, że „polski październik" rozbudził wiele nadziei wśród Ukraińców w Polsce. Czytelnicy odnoszą się z nieufnością do oficjalnej propagandy, jeden z nich na przykład zarzuca pismu „antyukrainizm", gdyż nie domaga się ono rehabilitacji UPA (Ukraińska Powstańcza Armia), podczas gdy polskie społeczeństwo i rząd rehabilitowały AK. Nie mogąc wyjaśnić czytelnikom, iż różnica polega na tym, że AK walczyła o niepodległość Polski uznaną chwilowo przez Związek Radziecki, a UPA o niepodległość Ukrainy, z którą Związek Radziecki nigdy się nie pogodzi, *Nasze Słowo* zmuszone jest tłumaczyć, zresztą rozsądnie, że UPA „nigdy nie walczyła za władzę radziecką ani ludowo-demokratyczną". Z jednego z artykułów wstępnych dowiadujemy się nawet, że korzystając z przełomu październikowego „elementy zacofane" posługując się lewą (!) frazeologią „próbowały zepchnąć Towarzystwo i redakcję *Naszego Słowa* na antyradzieckie, nacjonalistyczne pozycje".

Z innych paradoksów to — obok uroczystych artykułów o 40-leciu rewolucji październikowej czy 250-leciu Leningradu (zbudowanego jak wiadomo na kościach ukraińskich Kozaków) czy też o przyłączeniu Ukrainy do Rosji w drugim i trzecim rozbiorze, co „ludność przyjęła z radością, jako że zwolniło ją to od ucisku religijnego i kulturalnego", — spotykamy skargi na nieprzydzielanie kościołów księżom greko-katolickim, a nawet ogłoszenia

o nabożeństwach zamieszczane przez odważniejszych księży, gdy tymczasem ci sami katoliccy księża ukraińscy ścigani są w Sowietach i w razie schwytania wieszani jako szpiedzy. Do tych paradoksów należy też fakt, że pisma *Nasze Słowo* i *Niwa* drukują się oficjalną zrusyfikowaną ortografią obowiązującą w Sowietach (nie uznającą np. litery g, piszącą *kłas* zamiast *kłasa* itp.), a jednocześnie *Nasze Słowo* ma specjalny dodatek *Łemkiwske Słowo*, w którym każdy pisze gwarą swojej wsi. Pismo zamieszcza nawet specjalny artykuł wstępny pt. „Strzec i rozwijać kultury regionalne". Ochrona kultury regionalnej w piśmie komunistycznym jest zjawiskiem rzeczywiście rzadkim.

Jeżeli zadać sobie pytanie jaki jest cel polityczny wydawania tych pism, to należy wrócić uwagę na analogiczne pismo wydawane w języku „starszego brata" *Russkij Gołos*. Pismo to wydaje Rosyjskie Towarzystwo Kulturalno-Oświatowe, *Nasze Słowo* wydaje Ukraińskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne, *Niwę* — Białoruskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne, podobieństwo nazw jest więc uderzające, co w systemie totalistycznym zresztą zbytnio nie dziwi: jest x mniejszości, ma być x organizacji mniejszościowych i wszystkie mają się nazywać tak samo. W *Russkim Gołosie* spotykami na przykład stale hasła o przyjaźni polsko-rosyjskiej (sic, nie-sowieckiej), w *Naszym Słowie* o przyjaźni polsko-ukraińskiej, w *Niwie* o przyjaźni polsko-białoruskiej itd. O ile pisma ukraińskie i białoruskie wydawane są, sądząc po treści, głównie dla chłopów, względnie dla nauczycieli szkół powszechnych, to pismo rosyjskie ma ambicje intelektualne, poświęca sporo miejsca i teatrowi i literaturze. Czytelnikami jego są jakoby głównie potomkowie urzędników carskich oraz starzy emigranci z 1917-1920, jako że „baza" ludowa rosyjska zdaje się ograniczać do 5.000 brodatych starowierów spod Augustowa, których fotografie spotykamy w jednym z numerów. Cała mniejszość rosyjska wynosi jakoby 100.000.

Uderza, że rosyjskie towarzystwo działa czynnie w Białymstoku, że współpracuje ściśle z Tow. Przyjaźni Polsko-Radzieckiej oraz z Komitetem Obywateli Sowieckich; również i w tym piśmie mowa jest o „naszej ojczyźnie" (ZSSR). Jak pisze *Nasze Słowo*: *Należy podkreślić, że RTKO poświęca wiele uwagi rozwijaniu przyjaźni i współpracy ludności rosyjskiej, ukraińskiej i białoruskiej w Polsce. Na stronach* Zwjena (*miesięcznik literacki wydawany przez RTKO) czytaliśmy poezje Szewczenki i Rylskiego (i innych pisarzy ukraińskich). Przyjaźń i współpraca Rosjan i Ukraińców w Polsce to fakt. Śpiewają oni w (rosyjskim) chórze Kalinka, dzieci Ukraińców tańczą w warszawskim (rosyjskim) balecie dziecięcym...*

Wydaje się jasne, że Moskwa pragnie wykorzystać, nie po raz pierwszy w historii, mniejszość ukraińską i białoruską w Polsce do swoich celów. Dopomagają jej niewątpliwie w tym niepoczytalne wybryki antyukraińskie różnych domorosłych patriotów, o których donosi *Nasze Słowo*, a także odmawianie kredytów, pożyczek, wszelkie upośledzanie narodowe. Ukraińcy i Białorusini mają dziś z pewnością w Polsce więcej swobody niż w Sowietach, czytelnicy *Naszego Słowa* wiedzą o tym dobrze. W jednym z listów do redakcji upominają się na przykład o audycje ukraińskie z Warszawy, pisząc: „Słuchamy chętnie Lwowa po ukraińsku, ale jak tylko złapiesz Lwów, to tam zaraz słychać: Transmisja z Moskwy". Lub też dopominają się wydawania książek ukraińskich w Polsce, bo „ukraińskie książki są, ale mało takich, które ludzie chcą kupować. Przede wszystkim bardzo mało jest klasyków ukraińskich, ale za to dużo przekładów z rosyjskiego" ... Autor listu podkreśla, że trudno się temu dziwić, skoro na Ukranie, według oficjalnych oświadczeń, klasyków tych wydają w nakładzie 8.000 egzemplarzy.

O ile więc złe traktowanie mniejszości może je pchać w ramiona sowieckiego protektora, o tyle dobre traktowanie, a zwłaszcza popieranie rozwoju kulturalnego, może mieć korzystne reperkusje także poza granicami.

Pisma mniejszości rosyjskiej, ukraińskiej i białoruskiej czytane są przez żołnierzy sowieckich w Polsce, a dochodzą także do Lwowa. Przy zachowaniu odpowiedniej ostrożności bardzo wiele można powiedzieć czytelnikom, którzy nauczyli się czytać między wierszami.

(v)

Dwa nowe periodyki ukraińskie

Emigracja ukraińska nie posiada pisma odpowiadającego mniej więcej „Kulturze". Tę lukę stara się zapełnić w pewnej mierze *Ukrainska Literaturna Hazeta,* wychodząca w Monachium jako dodatek do nieźle redagowanego pisma *Suczasna Ukrajina,* ale ukazująca się tylko raz na miesiąc w objętości 4-6 stron i przypominająca formatem a także charakterem raczej nasze przedwojenne tygodniki literackie. Obecnie pojawił się w Monachium *Zbirnyk* Ukr. Lit. Hazety (1) pod redakcją I. Koszeliwca i J. Lawrinenki; przypomina on „Kulturę" zarówno formatem książkowym jak i do pewnego stopnia charakterem, z tym, że jako rocznik nie poświęca wcale miejsca tak zwanym sprawom bieżącym. Obok utworów ściśle literackich (około 1/3 całości) znajdujemy tu studia z dziedziny historii ruchów ideologicznych na Ukrainie oraz z historii literatury. Trzy studia poświęcone są poecie i uczonemu I. France z okazji czterdziestej rocznicy śmierci, najciekawszym z nich jest niewątpliwie artykuł J. Ławrinenki o ewolucji światopoglądu Franki. Zacząwszy od socjalizmu Franko współpracował w szeregu gazet galicyjskich tak polskich jak ukraińskich W roku 1878 wydał po polsku we Lwowie broszurkę *Zasady socyalizmu wyłożone w pytaniach i odpowiedziach,* przełożył na ukraiński 24 rozdziały „Kapitału" Marksa, a także organizował polsko-ukraińską partię robotniczą.

Jako jeden z największych ukraińskich pisarzy Franko doczekał się już po śmierci oficjalnej sowieckiej kanonizacji, mimo że już w roku 1903 pisał jak następuje o tak zwanym „państwie ludowym", mającym powstać w wyniku dyktatury proletariatu:

„Przede wszystkim wszechmocna siła państwa spoczęłaby strasznym ciężarem na życiu każdego pojedyńczego człowieka... Wychowanie mając na celu wychowywanie nie ludzi wolnych a tylko pożytecznych członków państwa, stałoby się martwą musztrą duchową. Ludzie wyrastaliby i żyliby w takiej zależności, pod takim dozorem państwa, o którym teraz nie ma

1) Ukrajinska Literaturna Hazeta, Zbirnyk 1956, München 1957, wyd. Ukrainskoho Towarzystwa Zakordonnych Studij, str. 336.

mowy w najbardziej absolutnych państwach policyjnych. Państwo ludowe stałoby się ogromnym więzieniem. A kim byliby jego dozorcy? Kto trzymałby w rękach ster tego państwa? Tego socjaldemokraci nie mówią wyraźnie, ale w każdym razie ludzie ci mieliby w ręku tak ogromną władzę nad życiem i losem milionów swych towarzyszy, jakiej nie mieli nigdy nawet najwięksi despoci. I stare zło, nierówność, wygnane drzwiami wróciłoby oknem: nie byłoby wyzysku robotników przez kapitalistów, ale byłaby wszechwładza sterników — wszystko jedno dziedzicznych czy wybieralnych — nad milionami członków państwa ludowego. A mając w ręku tak nieograniczoną władzę, choćby na krótki czas, jak lekko mogliby ci sternicy uchwycić ją na zawsze. I jak łatwo przy takim porządku podciąć wśród ludności korzeń wszelkiego postępu i rozwoju i, doprowadziwszy ogół do pewnego stopnia nasycenia, zatrzymać go na tym stopniu na długie wieki, dusząc te siły społeczeństwa, które pchają naprzód, wprowadzają pewien zamęt, budzą niezadowolenie z tego co jest i szukają czegoś nowego. Nie, socjaldemokratyczne „państwo ludowe", nawet gdyby dało się je zbudować, nie stworzyłoby raju na ziemi, a byłoby w najlepszym razie wielką zawadą dla prawdziwego postępu (Co to jest postęp?). Że słowa te nie straciły na aktualności, dowodzi najlepiej fakt, że w sowieckim wydaniu dzieł zebranych Franki z roku 1956 zamiast tego miejsca znajduje się tylko szereg kropek...

Mogłoby się wydawać dziwne, że trzeba na emigracji przypominać o tych poglądach Franki, ale — jak pisze Ławrinenko — podobnie jak w Sowietach, jeżeli nie gorzej, jest na emigracji. „Przy wydaniu utworów Franki ominięto świadomie czy nieświadomie niektóre najważniejsze dla Ukrainy rzeczy. Okazało się w całej pełni, że Franki nie znamy albo nie rozumiemy, że pod wieloma względami jesteśmy jeszcze w tyle za nim".

Oficjalna krytyka sowiecka twierdzi oczywiście, że Franko całe natchnienie czerpał tylko z Rosji (Bielińskij, Dobroljubow, Czernyszewskij). W rzeczywistości Franko był uczonym europejskiego formatu, a na Rosję patrzał całkiem trzeźwo, jak pokazuje na przykład następująca rada dana w roku 1897 ukraińskim radykałom spod zaboru rosyjskiego: *Nie bez rozmysłu posyłałem i posyłam ukraińskich radykałów na naukę praktyki agitacyjnej do Polaków, Litwinów, Łotyszów i innych nie-państwowych narodowości Rosji, a nie do... tych Rosjan, co chodzili w lud... Według mnie rosyjskie chodzenie w lud, choćby nie wiem jak bohaterskie, pełne poświęcenia, było robotą całkiem błędną i bezpłodną. Inteligenci szli w lud dla siebie, dla oczyszczenia swego sumienia, a zarazem dla propagandy idej dalekich, wyższych nad zrozumienie ludu... To całkiem nie to co u Litwinów, Łotyszów i inn., gdzie setki inteligentów bez żadnego pozowania na bohaterstwo doprowadziły do tego, że każdy chłop umie czytać i ma w rękach niecenzuralną, drukowaną zagranicą gazetę czy broszurę, niecenzuralną nie swoją treścią, a głównie tym, że drukowana jest łacińskimi literami...*

W 1906 Franko krytykował panującą wśród rosyjskich socjaldemokratów kompletną negację kapitalizmu, podkreślając jak dalece kontynuuje ona tradycje czarnosecinnego i sławofilskiego potępienia „zgniłego zachodu": *Nie powinni także socjaldemokratyczni pisarze, szczególnie w Rosji i na Ukrainie, powtarzać bezkrytycznie stare frazesy o bezmiernej szkodliwości kapitalizmu. Rosja ma dosyć takich kaznodziejów, co chowając się za tymi pierwotnie socjalistycznymi (lepiej powiedziawszy, markso-engelsowskimi)*

formułami, rzucają zatrute strzały na całą zachodnią cywilizację, na całą naukę i na jej zdobycze. Socjaliści nie powinni zapominać, że ten nienawistny im kapitalizm stworzył nowoczesną naukę i literaturę, nowoczesne miasta, komunikację i filantropię, że niezmiernie rozszerzył wśród mas ludowych oświatę, dobre wychowanie i poczucie solidarności... jasne rozumienie sprawy każe przyznawać i kapitalistycznemu ładowi jego zasługi, tym bardziej, że nie jest to jakaś fantazja kilku tysięcy ludzi, a takie same historycznie nieuniknione i organiczne zjawisko jakim chce być socjalizm.

Z innych artykułów warto zanotować stadium O. Ohłoblyna o piszącym po rosyjsku poecie Wł. Kapniście, który w roku 1790-91 próbował jako przedstawiciel grupy ukraińskiej i niepodległościowej szlachty nawiązać kontakty z Prusami a także prawdopodobnie z Polską. Wobec wojny z Turcją i Szwecją sytuacja Rosji była wówczas krytyczna, ocaliła ją bodaj głównie rewolucja francuska i wynikłe z niej zbliżenie z Prusami, a stąd rozbiór Polski. Że Polska i Ukraina miały wówczas pewne możliwości, o tym świadczy opinia jednego z Rosjan wyrażona w roku 1794: ,,Byliśmy w wojnie ze Szwedami i Turkami, oczekując jej od Anglii i Prus. Polacy, natenczas bardzo silni, byli gotowi przeciwko nam... Teraz nie jesteśmy już w tak skrajnym położeniu. Ukraina, Podole i Wołyń nasze...''

O Wacławie Lipińskim, potomku polskiego szlacheckiego rodu, który stał się ideologiem ukraińskiego ruchu niepodległościowego, pisze Jarosław Pełenśkyj, nazywając go ,,jednym z pierwszych i ostatnich prawdziwych panów w ukraińskiej polityce XX wieku''

Brak miejsca nie pozwala na obszerniejsze zdanie sprawy z ciekawej pracy Andrija Żuka o ,,Ukraińskiej Socjalistycznej Partii'' (1900-1904), która była partią złożoną głównie z Polaków i katolików przeważnie kijowskich, a założoną przez B. Jaroszewskiego. Wzorując się na PPS partia głosiła hasło niepodległości Ukrainy w przeciwieństwie do ukraińskiej partii socjaldemokratycznej współpracującej ściśle z socjaldemokratami rosyjskimi. O Jaroszewskim pisze autor, że przeniósł na grunt ukraiński ideę państwowej niepodległości i stał się jej gorącym propagatorem. ,,Czegoś podobnego nie spotykamy wśród tych socjalistów i demokratów na Ukrainie, którzy są rodowitymi Rosjanami albo wychowanymi na obcokrajowców tubylcami'', kończy autor.

Również z braku miejsca niesposób zdać sprawę z ładnego wspomnienia o poecie i uczonym J. Kłenie (o którym pisał w swoim czasie w ,,Kulturze'' J. Łobodowski) pióra historyka literatury D. Czyżewskiego, a także z części literackiej *Zbirnyka* (zwłaszcza ciekawe opowiadanie z okresu kolektywizacji w latach 1930 pióra L. Lymana).

Należy jednak zanotować ciekawą rubrykę recenzji z książek niemieckich i angielskich dotyczących przeważnie Związku Sowieckiego a także komunizmu ukraińskiego (Ławrinenko jest autorem studium na temat ukraińskiego ,,nacjonal-komunizmu''). Reasumując: *Zbirnyk* jest redagowany żywo i świeżo, a nawet niekonformistycznie, nie jest ,,wspominkarski'', a otwarty na problemy bieżące, choć nie goni za aktualnością gazeciarską. Należy mu życzyć, aby jak najprędzej przekształcił się jeżeli nie w miesięcznik to przynajmniej w kwartalnik.

Czasopismo *East European Problems* (2) stawia sobie za zadanie, sądząc z pompatycznej odezwy redakcji, ,,naświetlanie życiowych problemów Wschodniej Europy, traktując każdy problem z uczciwością intelektualną" (with intellectual honesty). Numer pierwszy zawiera dwa obiektywne i ciekawe, choć niestety zbyt pobieżne, artykuły: W. Luciv: *Ukrainians and the Polish Revolt of* 1863 oraz C. Warvariv: *Polish-Ukrainian Relations November* 1916 - *November* 1918. *W pierwszym z nich mowa jest o polskich Gminach* na Ukrainie, które przygotowały powstanie styczniowe. Autor sądzi, że ,,gdyby Polacy przyjęli zasady prawdziwej wolności, równości i braterstwa zamiast próbować odbudowania historycznej Polski z 1772 roku, to lud ukraiński poparłby ich", co wydaje się niezmiernie optymistyczne w świetle choćby doświadczeń lat 1918-1920.

Artykuł C. Warvariv'a zajmuje się stosunkami na środkowej Ukrainie. Ciekawa jest tu wzmianka o zawartym w 1908 roku pakcie Dmowskiego z czołowym panslawistą rosyjskim Bobrinskim, na mocy którego wzamian za wolną rękę dla moskalofilów w Galicji Dmowski miał uzyskać pewne koncesje w Kongresówce. Dmowski udał sir nawet wówczas na kongres panslawistyczny w Pradze. Oba te fakty były jak najgorzej widziane wśód Ukraińców, dla których panslawizm jest wrogiem nr 1, toteż ,,zemścili się" oni wkrótce, głosując w roku 1912 za odłączeniem Chełmszczyzny od Kongresówki, mimo że w ten sposób popierali najbardziej reakcyjne ugrupowanie w Dumie, którego celem była rusyfikacja Chełmszczyzny. Jednakże wybuch rewolucji usunął w cień te przejawy politycznej głupoty, rok 1917-1918 zaznaczył się bliską i przyjazną współpracą Polaków ukraińskich z władzami Ukrainy.

Artykuły S. Horaka *Why Western Ukrainian Territories Were Annexed to Poland* oraz D. Kulikowskiego *A Picture of Polish Imperialism* nie mają wiele wspólnego z obiektywizmem i to zarówno pod względem treści jak stylu, oto typowe kwiatki godne prowincjonalnej galicyjskiej gazety: *the Supreme Council announced its unrighteous and disgraceful decision* (pozwolenie na zajęcie przez wojska polskie Galicji wsch.). Albo *the typical Polish tactics of making insolent demands* (*where possible*) *and of cheating when the ,,heat" was on*. (Taktyka zdaje się nie tyle polska co ogólnoludzka). Również przegląd książek napisany jest podobnym szowinistycznym stylem. Dziwne, iż wydawcy nie rozumieją, że w ten sposób szkodzą mniej Polakom (chyba nikt się w Ameryce nie przestraszy polskiego imperializmu), a tylko sprawie, której chcą bronić. Artykułów pisanych takim stylem nikt poważnie nie weźmie, zwłaszcza w krajach anglosaskich, nie mówiąc już o tym, że w piśmie roi się od potworności językowych jak np. *Muscofied, Muscofication; the muscovite* (z małej litery!) *nation; the Hetmanic state, Zaporogovian Army! the domestic war* (wojna domowa); *the well-known Ukrainian enemies, Grabski and Patek; a Greek-Catholic priest* (co po angielsku nie oznacza bynajmniej księdza grecko-katolickiego) itd. Cytaty są równie niedbałe (np. książka wydana rzekomo przez Polską Akademię Nauk, Kraków 1912!), nazwiska nieraz przekręcone (np. ten sam autor cytowany jest na tej samej stronie jako Lozynsky i Lozynskyj). *Research Center of Polish Relations* nie ma powodu do dumy ze swego wydawnictwa.

AV

---

2) East European Problems, vol. I, No. 1, Autumn 1956, New York, N. Y., published quarterly by The Research Center of Polish Relations, Inc., 102 pp.

O inżynierii jądrowej

Bardzo byłem ciekaw swoich kolegów, gdy po raz pierwszy zebraliśmy się na wykładzie teorii reaktorów. Było to rok temu i byliśmy pierwszą grupą, która wychodziła w świat z Instytutu Technologii Massachussetts jako inżynierowie jądrowi.

Już sam wygląd zewnętrzny oraz fakt, że grupki tu i tam rozmawiały po francusku i hiszpańsku, wskazywał, że towarzystwo będzie wybitnie międzynarodowe, choć trzon klasy stanowili tubylcy, którzy mimo cywilnych ubrań swym zachowaniem wskazywali na wojskowe pochodzenie.

Rzeczywiście grupa była nadzwyczaj różnorodna zarówno pod względem narodowości jak i uprzedniej specjalności. W tym miejscu należy nadmienić, że o ile mi wiadomo, w chwili obecnej nie ma na terenie Stanów Zjednoczonych podstawowego uniwersyteckiego kursu inżynierii jądrowej, to jest prowadzącego do stopnia *Bachelor of Science*. Z konieczności zatem kandydaci na stopień *Master of Science in Nuclear Engineering* przychodzą już z poprzednimi stopniami z innych dziedzin.

Jak się okazało trzon naszej klasy stanowili oficerowie marynarki z dyplomami inżynierii okrętowej, bądź architektury morskiej, to znaczy budowy kadłubów. Reszta obejmowała całą gamę naukową począwszy od fizyków, którzy już po krótkim czasie przodowali w teorii jądra, poprzez mechaników z moją osobą włącznie, inżynierów chemików, elektryków, a nawet kilku biologów.

Seniorem grupy marynarki jest Ted Fick. Dzielnie dźwiga brzemię obowiązków, w szkole pilnuje kolegów, by się nie obijali za bardzo, i zdawali przykładne egzaminy, bo Marynarka płaci, nie mówiąc już o ambicji wojskowej. W domu żona każe mu pilnować dzieci i tak w kółko.

W grupie z przemysłu wyróżnia się Dick Mathiews z General Electric Company, z zawodu elektryk. Nosi okulary w złotej oprawie, ma poważny wygląd i aurę kompetentnego inżyniera.

Grupa belgijska składa się z pierwszych jaskółek w tej dziedzinie. Wydaje się to aż dziwne, że Belgowie, posiadający tak bogate złoża uranu w Kongo, tak są opóźnieni w technologii jądra. Swoją drogą wina to pewnie lat wojny i niemożliwości badań pod okupacją. Z Jean Morell wymieniamy znaczki pocztowe : naszych Dzierżyńskich za ich Leopolda.

Między Hiszpanami Francisco Albisu Carrera jest stypendystą firmy z Bilbao i, jak każdy Bask, jest głęboko przekonany o wyższości Basków nad zwyczajną odmianą Hiszpanów. Bardzo zdolny matematyk.

Mamy też jednego Anglika, por. Geoffrey Lewins, z Królewskiego Korpusu Saperów. Można go poznać od razu w tłumie po głosie, gdy zaczyna wszystkie zdania od słów *I say...*

Między tubylcami jest jeden Amerykanin polskiego pochodzenia, nazwiskiem Jaworski, oraz amerykański Indianin z ukończoną podchorążówką w West Point, skąd jak wiadomo wyszły wszystkie amerykańskie sławy wojskowe.

Po krótkim czasie ta różnorodna mieszanka stanowiła już zgrany zespół. Zdaje się, że zjednoczyły nas te same kłopoty, a mianowicie trudności przy rozgryzaniu teorii falowej materii Schrödingera oraz tajników teorii zwalniania i dyfuzji neutronów. Wszyscy, choć wyjątek stanowili tu fizycy, mieliśmy kłopoty. Dla nas, mechaników, przyszedł okres łatwiejszy gdy wykłady objęły stronę termodynamiczną. Wtedy to fizycy zaczęli się wypytywać : ,,Jak właściwie oblicza się zmiany w entropii dwutlenku węgla?''. Zanim dojechaliśmy do końca kursu podobny okres łatwego triumfu miała, zdaje się, każda grupa. Wynika to z faktu, że zaplanowanie reaktora jądrowego względnie, jak go szeroka publiczność nazywa, atomowego, wymaga wielostronnych obliczeń w różnych dziedzinach.

Sama reakcja łańcuchowa to domena fizyków. Tu rozpatruje się sposoby zwolnienia neutronów, rozmieszczenia uranu, dobór chłodziwa, itp. Większość obecnie budowanych reaktorów opiera się na reakcji łańcuchowej, zapoczątkowanej neutronami poruszającymi się z szybkością odpowiadającą temperaturze pokojowej, to jest 2200 m/sek. Powodując reakcję wyzwalają one neutrony, które mają szybkość około 10.000 razy większą, aby być zatem użyteczne, muszą być najpierw zwolnione. Zwolnienie dokonuje się na skutek kolejnych zderzeń z jądrami innych atomów. Ideałem jest, by takie zderzenie spowodowało zwolnienie neutronu podobne do stuknięcia dwuch kul bilardowych. Niestety sprawy są bardziej skomplikowane. Po pierwsze część zderzeń powoduje pochłonięcie neutronu z minimalną korzyścią w wydzielonej energii, po drugie, jądra między którymi neutron wędruje posiadają tę zadziwiającą właściwość, że przedstawiają dla neutronu przeszkody różnej wielkości, w zależności od szyb-

kości tegoż neutronu. Przy pewnych szybkościach podróżuje on niemal w próżni, przy innych przepycha się przez tłum ,,napęczniałych'' jąder. Te właściwości komplikują bardzo matematyczne przewidywanie działania reaktora.

Część trudności można ominąć powodując reakcję łańcuchową przy pomocy szybkich neutronów, lecz i tu są przeszkody głównie spowodowane małym rozmiarem reaktora. Rozmiar rdzenia reaktora, w którym zachodzi reakcja, decyduje o ilości ciepła, które można z niego usunąć bez stopienia się uranu. Im mniejszy rdzeń tym trudniej odprowadzić ciepło. Niezależnie od wielkości rdzenia, rozwiązanie systemu równań różniczkowych dających gęstość neutronów w różnych rejonach reaktora wymaga przy względnej dokładności około miliona operacji matematycznych. Jest tu, rzecz jasna, niezbędna elektroniczna maszyna do liczenia.

Wielkość rdzenia reaktora waha się od kilkupiętrowego budynku, jak reaktory typu Hanford lub Calder Hall aż do wielkości piłki do koszykówki jak reaktor ,,Lady Godiva''.

W zastosowaniu przemysłowym chodzi o wydobycie z tegoż rdzenia maksimum ciepła przy minimum kosztu i kłopotów w obsłudze. Tu króluje inżynier jądrowy z przygotowaniem mechanika, z balansami ciepła, wydajnością pomp i turbin i wymienników ciepła.

Ponieważ cały taki zestaw jest silnie radioaktywny, biolodzy żądają od nas odpowiedniej ochrony personelu. Buduje się zatem wały z betonu zawierającego zamiast żwiru wycinki ze stali bądź rudę żelazną by nadać mu większą gęstość.

Tak więc i oni mają dużo do powiedzenia, aczkolwiek wydaje mi się, że mechanikowi łatwiej jest ocenić biologiczne skutki promieniowania jak biologowi zgłębić tajniki fizyki jądrowej. Gnębią ich, biedaków, stale wątpliwości czy to tak jest naprawdę. Jeden z nich wziął mnie kiedyś na bok i pyta : ,,czy ty naprawdę wierzysz w neutrony? Ja podejrzewam, że to znów pewno taka robocza hipoteza jak ten ich eter, który kiedyś był u nich popularny w elektromagnetyce. U nas jak się coś widzi przez mikroskop to przynajmniej wiadomo, że jest, a kto kiedy widział neutron ? Tylko jego skutki''. Zapewniłem go, że głęboko wierzę w neutrony. Niech wie chłopak, że i one mają swoich wyznawców.

Strona teoretyczna kursu, to jest fizyka jądrowa, nastręcza poważne trudności w wykładaniu i organizacji egzaminów w systemie klasowym. Wszystkie nieomal problemy są skomplikowane, rozwiązania długie, pochłaniające czas i stosy papieru. W rezultacie jest na przykład niemożliwe zorganizowanie 1-godzinnego egzaminu w ciągu semestru, bo w godzinę, dosłownie nie można nic zrobić. Dr Evans rozwiązał tę trudność przez dawanie tak zwanych ,,klasówek domowych''. W piątek dostaje się 7-8 stronicową treść zadań do rozwiązania, a przynosi się rozwiązania w poniedziałek rano łącznie z pisemnym stwierdzeniem, że nie udzielało się ani nie otrzymywało od nikogo pomocy.

Wolno natomiast jest wykorzystywać odpowiednią literaturę naukową. Swoją drogą, przy najlepszych nawet chęciach, trudno by taką pomoc otrzymać: fizyków jądrowych nie ma tak wielu, a chętnych do pomocy jest jeszcze mniej, a nadto zagadnienie jest zupełnie nowe. Na ostatnim na przykład egzaminie obliczaliśmy parametry reakcji cząsteczek neutrino z jądrami wodoru dającej w rezultacie neutrony. Oryginalny eksperyment, stwierdzający istnienie neutrino, udał się dopiero rok temu kiedy to w basenie z odpowiednim płynem absorbującym stwierdzono absorbcję neutrino z dokładnością 0.4 ± 0.2 na minutę, czyli, że zaledwie ponad wątpliwość, że reakcja w ogóle ma miejsce.

Po zaprawie teoretycznej przyszedł czas, że zaczęliśmy wzdychać do zajęć praktycznych, aczkolwiek zapał nieco opadł gdy pewnego ranka Dr Thompson zatarł ręce i powiedział: ,,panowie, wagon grafitu stoi na bocznicy, od poniedziałku zaczynamy układać stos atomowy''. Tak więc wyruszyliśmy w ślady ojca reaktora jądrowego, Włocha Enrico Fermi, który w 1942 roku uruchomił pierwszy stos w Chicago. Teoretyczną stronę pomogli mu opracować dwaj Węgrzy, Wigner i Szilard. Zaczynając byliśmy bogaci w doświadczenia ostatnich piętnastu lat, toteż ,,drużyna samobójców'', którą Fermi ulokował na stosie z kubełkami roztworu cadmium do zalania stosu gdyby reakcja przebiegała zbyt gwałtownie, w naszym wypadku była zbyteczna.

Dostaliśmy piękne, czyściutkie kombinezony, rysunek, piłę taśmową i zaczęło się cięcie grafitu na odpowiednie kawałki. Zajęło nam to tylko dwa tygodnie, ale byliśmy zgodnie jednego zdania, że upoważniają nas one w zupełności do pełnego członkowstwa w związku kominiarzy. Jeden zapewniał drugiego, że grafit na płuca nie szkodzi, szczególnie, że to nie zwyczajna odmiana ogrodowa, a gatunek stosowy.

Stos jest w kształcie prostopadłościanu składającego się z warstw pełnych oraz z warstw z poziomymi otworami przechodzącymi przez stos na wylot. Wymiary są tak dobrane, że gdy otwory są wypełnione uranem cały zestaw jest o tyle za mały, że do zapoczątkowania reakcji łańcuchowej potrzebne jest małe źródło neutronów. Taki zestaw zapewnia bezpieczeństwo i łatwość kierowania. Źródłem neutronów są dwa metale, jeden radioaktywny wydzielający cząsteczki alfa, drugi absorbujący alfy a wydzielający neutrony. Całość jest wielkości małej bateryjki, kosztuje około $700, a podróżuje po kraju zapakowana w beczkę parafiny. Źródło neutronów wkłada się w najniższy otwór stosu i wtedy ,,szafa gra''.

Ładowanie uranu odbywało się z zupełnym brakiem poszanowania dla tego tak cenionego metalu. Pręty uranu w koszulkach z aluminium pchaliśmy za radą starych praktyków po kolei w otwory stosu przy pomocy kija od miotły. Jak się okazuje taka kanadyjska sosna jest idealna dla tego celu, bo primo, drewno to dobry zwalniacz neutronów; secundo, nie zawiera pierwiastków, które mogłyby zatruć stos, a na koniec średnica

i długość były jak ulał, nie mówiąc już o tak cennej u Amerykanów zalecie, jak podwójna użyteczność: miotła i instrument. Tak też i uzyskała ona oficjalny tytuł *the dual purpose instrument*. Ładowanie uranu nie obyło się bez kłopotu, bo wszystkie kawałki są ponumerowane i dzieje każdego muszą być wiadome Komisji Energii Atomowej. Kiedy więc okazało się na końcu, że jeden numer gdzieś wsiąkł, zaczęły się ogólne poszukiwania. Z ciężkim sercem musieliśmy rozładować cały stos, a więc ładnych parę ton, i wtedy się okazało, że siedział cały czas w stosie, jak u Pana Boga za piecem, a ktoś go po prostu przegapił. Kiedy dzieło naszych rąk było gotowe uwieńczyliśmy je na szczycie tytułem popularnego artykułu: „Czy wiesz co atom może zrobić dla ciebie i tobie?".

Pozostała część kursu była więc już więcej związana ze stroną praktyczną. W międzyczasie zaczęto na pobliskim placu budowę reaktora o mocy jednego mega-watta ze wszystkimi urządzeniami kontrolnymi, chłodzonego i zwalniającego neutrony ciężką wodą i, rzecz jasna, dużo bardziej kosztownego. W tej chwili jest on nadal w budowie.

Prace laboratoryjne w dziedzinie radioaktywności nie pozbawione są strony zabawnej. Ulubionym zadaniem dla początkujących jest na przykład analiza składu izotopowego monety 25 centowej. Zrobiona jest ona ze stopu srebra i miedzi. Oba metale mają po dwa izotopy stałe, a po wystawieniu na działanie neutronów również i po dwa izotopy radioaktywne, które można zidentyfikować przez pomiar szybkości z jaką radioaktywność maleje. Studenta robiącego ten eksperyment można było łatwo poznać już z daleka, gdy pędził z rozwianym włosem od źródła neutronów z 25-centówką w szczypcach, aby w ciągu kilku minut zrobić przynajmniej dziesięć pomiarów radioaktywności. Detektor musi być z daleka od źródła, by nie odbierał promieni źródła, a czas pomiaru jest krótki, bo srebro już po kilku minutach traci połowę swej aktywności. Podejrzewam, że każdy robił ten eksperyment z przyjemnością, bo wiedzieli wszyscy, że mistrz Fermi jeszcze za jego rzymskich czasów ganiał tak po długim korytarzu od źródła neutronów do detektora. A ta długa ścieżka zawiodła go do sławy.

W laboratorium każdy zaszywał się w swój kąt, możliwie jak najdalej od kolegów, by zmniejszyć do minimum podchwytywanie promieni z cudzych eksperymentów, okładał swoje aparaty blokami ołowiu bądź parafiny, włączał prąd i odtąd słychać było tylko prztykanie liczników i ostrzeżenia by się nie zbliżać. Miało to swoje podstawy, bo z różnych rodzajów promieni ciało ludzkie większość absorbuje, w wypadku jednak szybkich neutronów zwalnia je do szybkości, na którą niektóre instrumenty są specjalnie czułe, toteż przejście kolegi między źródłem a detektorem widać było od razu w podskokach odczytów. Mieliśmy nawet różnych kolegów zakwalifikowanych według ich właściwości w tym kierunku. Są one w prostej proporcji do rozmiarów osobnika i przodują tu panowie z brzuszkiem.

Po ukończeniu studiów perspektywy kariery zawodowej w dziedzinie inżynierii jądrowej wyglądają dość dobrze, bo przemysł w Stanach rozwija się, a zasoby paliw naturalnych maleją szybko. Nie jest to jednak niebo bezchmurne, bo krążą pogłoski, że projekt Sherwood jest już daleko zaawansowany. Są to badania nad wykorzystaniem energii, wydzielanej przy łączeniu się atomów wodoru w atomy helu. O ile uda się to osiągnąć w niekosztowny sposób, cała technologia uranu straci na znaczeniu, a my będziemy musieli się znowu przestawiać na nowe tory.

Warto tu zaznaczyć, że jednym ze specjalistów w dziedzinie fuzji wodoru jest Amerykanin polskiego pochodzenia, Emil Konopiński.

Reasumując wrażenia muszę przyznać, że jestem zadowolony iż wybrałem ten zawód, choć stało się to niemal dziełem przypadku. Zapisując się przed laty na PUC w Londynie, ani mi przez myśl nie przeszło, że będę kiedyś ujarzmiać atom.

Jacek JĘDRUCH

Książki

O realizmie na tle Mezzogiorna

Podczas wakacji na południu czytałem dwie powieści o Włoszech południowych. Znam Kalabrię, Pulie, Sycylię, lepiej jeszcze Kampanię i wyspy Zatoki Neapolitańskiej. Niewiele krajów posiada równie ugruntowaną mitologię literacką. Najpierw pokłady historii, niemal widoczne, jak geologiczne złoża w przekroju. Wierzenia, folklor, obyczaje, przyjmowały formy różnych epok, ale Madonna dziwnie przypomina Wielką Matkę — Mater Magna, za maską Pulcinelli kryje się grecki Pan, rogi i ryby zawieszone u stropu w tawernach są te same co w ruinach Pompei, kalabryjscy piekarze pieką po dziś dzień bułki o kształtach których symbolika — teraz już przez nich zapomniana — sięga czasów Wielkiej Grecji. Każda niemal chwila codziennego życia — gry w kości na rogach ulic, gesty na odżegnanie „złego oka", zawodzenie pogrzebowych płaczek — posiada tam wiekowe przedłużenia. A „trulie" po wioskach Pulii, okrągłe stożkowe domki, które przywodzą na myśl murzyńskie osiedle, sięgają dalej jeszcze, poprzez Papieża, Burbonów, Hiszpanów, Szwabów, Normanów, Saracenów, Rzymian, Greków, aż po czasy neolityczne. Ta „wszechobecność" i „jednoczesność" historii, a zwłaszcza żywotność pogańskiego ducha pod pokostem chrześcijańskich obrzędów fascynuje północnych pisarzy. Anglosasi zwłaszcza szukają tam wyzwolenia z kompleksów protestanckiego purytanizmu, słońce południowych Włoch daje im złudne poczucie wolności. To jedna — dawna — część składowa literackiego mitu „Mezzogiorna". Druga, nowsza, jest wkładem włoskiego neorealizmu, filmu, powieści. Pierwszy bodaj Luchino Visconti szukał tam w „La Terra Trema" ludzi dumnych, ani złych ani dobrych, których nędza i głębokie korzenie uchroniły przed współczesną wulgarnością. Ten „realistyczny" obraz człowieka

południowych Włoch utrwalony został potem przez Carla Levi w ,,Cristo si e fermato a Eboli'', skarykaturowany przez Malaparte i wiele filmów o ,,Pane, Amore e...'', w których ,,neorealizm'' jest po prostu odwiecznym sentymentalizmem.

,,La Loi'', nowa powieść Roger Vailland (Gallimard, 1957), jest bardzo udaną repliką tej preegzystującej ,,Powieści o Włoszech Południowych'', eksplorującej geologiczne złoża historii jednym słowem notującej starożytne korzenie gestu czy zdania, a na tym tle mitologicznym utwierdzającej nas w przekonaniu o ,,realistycznej'' esencji ludzi z filmów De Sica'i i Castellaniego.

,,La Loi'' — Prawo — to gra namiętnie praktykowana po tawernach w całych Włoszech południowych. Karty tarotu czy kości wyznaczają ,,patrona'' i ,,pod-patrona'', a inni gracze muszą bez dyskusji poddać się bezlitosnym ich kpinom, póki nie zabraknie wina w dzbanku zakupionym ze stawek. Obaj ,,przywódcy gry'' mają prawo, słowami Vaillanda, ,,powiedzieć i niedopowiedzieć, wypytywać i odpowiadać za wypytywanego, chwalić i ganić, lżyć, insynuować, obmawiać i nie szczędzić honoru; przegrani, poddani Prawu, muszą mu się poddawać w milczeniu i bez ruchu. Taka jest zasadnicza reguła gry w Prawo''. Jedną z najbardziej udanych scen w książce Vaillanda jest właśnie partia gry w Prawo w ciemnej tawernie w Manacore, małym mieście portowym nad Adriatykiem, w Puliach. Ale regułom gry w Prawo poddane jest całe życie w Manacore. Matteo Brigante, szef lokalnej mafii, jest ,,patronem'' całego miasta, łącznie z komisarzem policji. I on jednak znajdzie z kolei ,,patrona'' — piękną Mariettę, młodziutką córkę bezrolnych chłopów, która wie czego chce: pożądana przez wszystkich mężczyzn, wybierze swego rówieśnika Pippo, szefa bandy ,,guaglioni'' — miejscowych chuliganów, odziedziczy po szlachetnym Don Cesare klasyczną willę i zostanie królową Manacore. Są inne wątki w powieści Vaillanda — wszystkie żywe i świetnie wyreżyserowane, wszystkie będące różnymi wersjami gry w Prawo.

Jednym ze źródeł stałego konfliktu Vaillanda z partią komunistyczną, nawet w latach gdy był jej całkowicie poddany, był jego znany ,,libertynizm'', który drażnił stalinowskich purytanów. Charakterystyczna była tu niewielka książeczka Vaillanda wydana przed kilkoma miesiącami w doskonałej serii ,,Pamfletów'' Fasquelle'a pt. ,,L'Eloge du Cardinal de Bernis''. Pochwała programowego libertyna, ministra spraw zagranicznych Ludwika XV, erudyty, epikurejczyka i rywala Casanovy w Wenecji może się wydać dziwna u komunistycznego pisarza. Ale komunizm Vaillanda wynika z marzenia o świecie ludzi wolnych, a ,,obiektywne prawa historii'' stają się dla niego pretekstem aby sympatią darzyć ludzi, którzy przed czasem i na własną rękę osiągali pewien stopień wolności. Czy tego rodzaju anarchistyczna wolność nie jest tylko korzystaniem z przywilejów? Vailland rozgrzesza tych członków klas uprzywilejowanych,

którzy korzystając ze swych przywilejów najumiejętniej i najbardziej egoistycznie, wiedzą, że ich przywileje muszą przeminąć. Moralnym kryterium (taka jest siła magnetyczna „konieczności historycznej") staje się tu niechętne choćby, ale świadome ustępstwo na rzecz nieuchronnego „Postępu". Cóż z tego, że pomiędzy życiem, obyczajami, działaniem politycznym Choiseula i Bernisa nie ma żadnej różnicy? Dla Vaillanda różnicą zasadniczą jest że Choiseul wierzył w możliwość utrzymania Systemu — Bernis w tę możliwość nie wierzył. Stąd, mimo że jego udział w akcji „La Loi" nie jest centralny, główną postacią powieści, poprzez identyfikację z nią samego autora, staje się Don Cesare, wielki pan, liberał, feodalny właściciel ziem wokół Manacore. Śmierć Don Cesare: stary erudyta, który całe życie poświęcił studiom nad Urią — rzymskim portem, na którego gruzach stoi Manacore — i kobietom, umiera na syfilis, trzymając rękę na nagiej piersi młodej Marietty. Przed śmiercią (jak przystoi bohaterowi powieści napisanej przez „marksistę"), snują mu się po głowie rozważania historyczne, które mogłyby odpowiadać dzisiejszej postawie politycznej Vaillanda. Już w „Pochwale Kardynała de Bernis" wyjawił Vailland swą słabość dla ideału („postępowego" u Stendhala, „reakcyjnego" u Gobineau) „Homme de Qualité" — człowieka szlachetnego (w moralnym, intelektualnym i zwłaszcza estetycznym sensie „szlachetności"). Umierając, Don Casare, dziwnie jak na feodalnego liberała po marksistowsku, „myśli że urodził się tam gdzie się urodził, że żył tak jak mógł tam żyć człowiek szlachetny, w miarę szlachetności, jaką było dane wprowadzić w życie w tym miejscu i czasie, w tych okolicznościach, człowiekowi jego urodzenia i wykształcenia". I dalej: „Myśli że w Atenach przed Peryklesem jako obywatel rzymski w okresie wojen punickich, czy członek Konwencji w 1793, jego odmowa biernego poddania się prawu byłaby go włączyła w małą społeczność tych, którzy burzą przestarzałe struktury i otwierają życiu społeczeństw nowe drogi. W niektórych krajach, w niektórych epokach, człowiek szlachetny znajduje oparcie w biegu Historii i utwierdza w swych własnych oczach swoją szlachetność przetwarzając świat. Myśli również że pod panowaniem Augusta czy Tyberiusza, Wawrzyńca Medici czy Iwana Groźnego, jego odmowa biernego poddania się prawu byłaby go zmusiła do samobójstwa, tak jak czynią ludzie szlachetni, kiedy nie mogą żywi ujść tyranii. Prawo do samobójstwa, które najbaczniejsi strażnicy, najumiejętniejsi siepacze potrafią co najwyżej zawiesić na pewien czas, wydawało mu się zawsze jedynym dowodem wolności człowieka, ale dowodem nieodpartym".

Widać że Vailland pisał „Prawo" po raporcie Chruszczowa: „Panowanie Stalina" tak się samo, niedopowiedziane, narzuca w przedłużenie tej listy tyranii, że trudno się dziwić atakom „Lettres Françaises" na ostatnią powieść pisarza, którego zawsze wynosili komuniści pod niebiosa, mimo wewnętrznych zastrzeżeń.

Vailland nigdy nie był ortodoksyjnym „socrealistą". Ale czytając jego nową powieść — lepszy Louis Bromfield? — gorszy Somerset Maugham? — zastanawiałem się czy „walka z banałem socrealizmu" nie wychodziła — w krytyce emigracyjnej ostatnich lat, w krytyce krajowej ostatnich miesięcy — z powierzchownych założeń. W tym leży może sekret wielu „socrealistów", że rekrutują się właśnie wśród pisarzy ostatecznie poddanych Banałowi. A jeśli już tak jest, to nie ma wielkiej różnicy pomiędzy banałem „narzuconym", a banałem „osobistym". Różnica ta została sztucznie sporządzona przez moralistów, twierdzących, że miarą literackiego dzieła jest „szczerość". Ale szczerość (czy nawet w modnej gwarze „autentyzm") nie ma w literaturze większej wartości, jeśli nie daje w rezultacie wypowiedzi jedynej i niepowtarzalnej. Jeśli pisarz jest człowiekiem schwytanym w sieć życia społecznego i jego retoryki, to właściwie obojętne czy w daną retorykę wierzy czy nie wierzy. Więcej nawet, obojętne czy pisząc podporządkowuje się obowiązującym sztancom, gdyż doktryna, w którą wierzy czy której służy, wymaga takiego podporządkowania, czy też pisze dzieło „własne". Pisarzom „socrealistycznym", autorom „produkcyjniaków", zarzucano fałszowanie rzeczywistości, prostacki manicheizm. Komuniści dobrzy, faszyści źli, szpieg amerykański wredny, agent N.K.W.D. czy Bezpieki bohater, burżuje podejrzani do trzeciego pokolenia, proletariusze przejrzyści i mądrzy. Ograniczając się do tego zarzutu, czego właściwie żądano? Banału bardziej prawdopodobnego. Mogą być źli komuniści, faszysta mógł być kiedyś „sympatyczny", szpieg amerykański może być po prostu uroczy, a agent Bezpieki taką samą szują jak każdy łaps. W tej dyskusji nie chodzi o lepszą literaturę, ale o bardziej realistyczny „realizm". Nie ma to wiele wspólnego z literaturą. Stąd Dudincew, z pewnością bardziej wartościowy politycznie i osobiście człowiek (bo piszący książkę o politycznym realizmie, skrojonym na zamówienie klas wschodzących, młodego pokolenia), pozostaje gorszym pisarzem niż choćby Fadejew, płaski piewca tyranii. Nie chodzi mi tu oczywiście o naiwne zaatakowanie „realizmu". Ale z jednej strony wchodzimy tu w skomplikowany proces recesyjny, gdyż cóż jest ostateczną rzeczywistością jeśli nie związek pomiędzy podmiotem i przedmiotem. Stąd Dujardin jest bardziej realistyczny niż Balzac, Proust bardziej realistyczny niż Dujardin, Joyce z „Ulissesa" bardziej realistyczny niż Proust, Joyce z „Finnigan's Wake" bardziej realistyczny niż Joyce z „Ulissea". Największym żyjącym realistą francuskim jest w tym sensie Michel Leiris. Z drugiej strony, nie sam stopień realizmu (pogłębiania procesu świadomości w jej związkach ze światem zewnętrznym) stanowi o wartości literackiej. To co jest w człowieku jedyne i niezastąpione, co dąży do precyzyjnej wypowiedzi, może przybrać najróżnorodniejsze maski. Dzieło Balzaca jest, owszem, jeśli się chce, „obrazem społeczeństwa francuskiego z połowy XIX wieku", ale jest w pierwszym rzędzie obrazem Balzaca. I to obrazem nieraz kryptycz-

nym, mitologicznym, o zadziwiających kryjówkach, studniach, tunelach. Bo też dzieło Balzaca nie jest podporządkowane żadnej społecznej retoryce (mimo, że Balzac był świadomym wyznawcą pewnej retoryki politycznej i społecznej), ale jedynie jego głębokim nurtom psychicznym. W tej perspektywie nic nie stało teoretycznie na przeszkodzie powstania wielkiego dzieła literackiego poddanego ścisłej dyscyplinie socrealizmu czy nawet żdanowizmu. Wystarczyłoby aby pisarz głęboko przeżywający prywatny konflikt psychiczny o charakterze manichejskim dokonał świadomie transferu na obowiązujący politycznie schemat. Nie chodziłoby tu bynajmniej o „Ketman" — o przemycanie „własnych" opinii, czy o „szczerość w nieszczerości", ale niemal przeciwnie, o przyjęcie bez najmniejszych restrykcji narzuconego schematu, traktując go jak igraszkę formalną, potrójną jedność tragedii klasycznej, czy ramy sonetu. Niestety, czy może raczej na szczęście, schizofrenia prywatna potrzebuje widać formy własnej, jedynej i niezastąpionej i nie potrafi nagiąć się do form schizofrenii zbiorowej. Stąd — wracamy do problemu Roger Vaillanda — w sieć socrealizmu wpadli tylko ci pisarze, którzy w najlepszym razie byliby tylko realistami „na poziomie". O Roger Vailland mówiono często: byłby jednym z najlepszych pisarzy francuskich, gdyby nie dyscyplina partii. Wyzwolony z recept żdanowizmu (którym nigdy nie poddawał się całkowicie), wyzwolony z nacisków „Humanité", Roger Vailland okazuje się pod-Stendhalem, jakich wielu, co ciekawe, na francuskiej prawicy. Każdy język, każda kultura, ma swoje literackie pułapki. Jedną z najgroźniejszych pułapek piśmiennictwa francuskiego jest prefabrykowany klasycyzm. „La Princesse de Clèves" stanowi główną, nieraz śmiertelną pokusę młodego francuskiego pisarza. Ten dystans... ten umiar... ta antyretoryka... ta pozorna oschłość, zawierająca w klatce dwornych słów miłość i śmierć... Bardziej jeszcze fascynuje odbicie tego klasycyzmu w XIX wieku — jest to „kompleks Stendhala", na który choruje tylu francuskich pisarzy od Jean Giono, do Françoise Sagan, poprzez Roger Vaillanda. Ale Stendhal — to w epoce romantyzmu reakcja namiętnego impotenta, oszalałej i zgorzkniałej ambicji, prezycyjnej inteligencji, przeciw rozlazłości współczesnej mu literatury. Stendhal — to indywidualna, prawdziwa, rewolucja. Dzisiaj stendhalizm — to forma którą początkujący pisarz francuski nadaje swej pierwszej powieści.

„Czytelność", zewnętrzny realizm, stendhalowski klasycyzm, lewicowość niedopowiedzianie antystalinowska — „La Loi" Vaillanda ma wszelkie dane na tegoroczną nagrodę Goncourt.



Mircea Eliade — historyk religii i uczeń Junga — poświęcił piękny esej odwiecznym mitom, które wbrew świadomości współczesnych pisarzy raz po raz przenikają z mroku dziejów do ich

powieści. Łatwo by wskazać w nowej powieści Elsy Morante, ,,L'Isola di Arturo'' (Einaudi, 1957), na motywy inicjacji, rajskiej wyspy, nietykalności i upadku Zygfryda, ale nie śmiałbym do tego arcydzieła zastosować metody Eliade. Elsa Morante jest w pierwszym rzędzie wielką poetką i stąd ,,L'Isola di Arturo'' nosi to piętno nieprzemijającego dzieła sztuki, jakim jest tajemniczy związek pomiędzy głębokim przeżyciem i jedyną formą przekazania go. A stosunek poetów do wątków mitycznych wydaje mi się zbyt złożony (zarazem poprzez ostrość ich przeżycia i umiejętność ich rejestracji) ,aby sprowadzić go do fenomenu zbiorowej psychologii głębinowej.

Kluczem do tej książki jest krótki dedykacyjny wiersz do zmarłego przyjaciela, który kończy się tak:

,,I ty nie dowiesz się o prawie
którego ja się, tak jak inni, uczę
— a mnie zdruzgotało serce:
fuori del limbo non v'e eliso.

Nie mogłem się oprzeć zacytowaniu w oryginale ostatniej linii tego wiersza, który lapidarnie wyraża myśl (bliską Gombrowiczowi) o niemożności życia poza ,,limbami'' dzieciństwa.

Jadąc z Neapolu na Ischię, podróżny mija wysepkę, której port, o domkach różowych i seledynowych, wydaje się jednak dziwnie posępny. Nad portem, na szczycie wzgórza którym jest wyspa, stoi ponury zamek, od dwustu lat jedno z najsłynniejszych włoskich więzień. Dla wielu Włochów, Procida — ,,Wyspa Artura'' — oznacza tylko więzienie. ,,L'Isola di Arturo'' — to monolog chłopca, Artura, opisujący jego dzieciństwo i wiek dojrzewania. Ojciec Artura, Wilhelm Gerace, jest nieślubnym synem rybaka z Procidy i niemieckiej nauczycielki. Dla Artura ojciec jest postacią mityczną, utożsamia go on z ,,bohaterami'', których mu dostarczają zimowe lektury. Dopiero pod koniec dowiemy się że Artur może dorośnie, ojciec jego natomiast zawsze pozostanie dzieckiem. Odkrycie przez Artura sekretu ojca, który jest kłamcą i tchórzem — jego ukochany, więzień na zamku Procidy nazywa go ,,Parodią'' — jest jednym z wątków powieści Elsy Morante. Drugim, ważniejszym, jest miłość Artura do szesnastoletniej macochy, Nunzii, zwolna rosnąca miłość Nunzii do niego i ich tragiczne rozstanie.

Czytałem tę książkę *jak urzeczony* i dlatego niemal równie trudno jest mi o niej pisać, jak byłoby tłumaczyć miłosne uczucie. Na czym polega niesamowity, dosłowny jej *urok?* Może po części na tym, że od pierwszej do ostatniej strony ton głosu pisarza jest jedyny i niepowtarzalny. Nie ma tu modulacji, podobnie jak w tragediach Racine'a, wszystkie postacie książki przemawiają stylem Elsy Morante, głosem Elsy Morante. Styl jest pozornie ,,konwencjonalny'', dźwięczy w nim echo Manzoniego z ,,Narzeczonych''. A przecież to dzieło najbardziej ,,prywatnej'' poezji, przemyconej pod klasycznymi pozorami zdziera

nam z oczu jakieś bielmo nawet w stosunku do ,,rzeczywistości''. Pisarzowi cudzoziemskiemu udaje się czasem uchwycić pewien aspekt Włoch powierzchownych: przed Vaillandem mamy tu E.M. Forstera, Norman Douglasa... Procida Elsy Morante — to Włochy skryte, zamknięte, zasadnicze, mimo że każdy przedmiot, każde zwierzę, każdy dom, każdy przechodzień na stronach tej książki wydaje się nieodzowną częścią składową *osobistego* poematu.

Subtelność analizy reakcji psychologicznych jest tym bardziej uderzająca, że wydaje się jakby mimowolna. Jakże powierzchowne i niepotrzebne są w porównaniu ,,chwyty'' paryskiej awangardy literackiej: tak jakby poemat który *jest* prawdą posiadał wszystkie klucze ,,z nadania'' obywając się bez pracowitych dociekań.

Powieść Morante podzielona jest — jak niektóre książki z ubiegłego wieku — na drobne ustępy. Jeden z nich nosi tytuł ,,Konwencjonalne Perły i Róże''. Widzę w nim pewien związek z jej własną sztuką poetycką. Artur zastanawia się tu nad miłością swego ojca do młodego przestępcy:

,,W istocie (teraz sobie z tego zdaję sprawę) wiara Wilhelma Gerace potrzebowała, aby móc zapłonąć, prymitywnej iskry jakiegoś konwencjonalnego uroku: a postać *Galernika* dobrze się nadawała do jego tęsknot, które były wiecznie dziecinne, podobnie jak tęsknoty całego świata! W ten sam sposób publiczność teatrów żąda, aby móc zapłonąć wiarą, bohaterek konwencjonalnych (Uwiedzionej, Niewolnicy, Królowej)... I tak po wieczne czasy każda perła morska wzoruje się na pierwszej perle, każda róża wzoruje się na pierwszej róży''.

Od czasów mego dzieciństwa (wówczas dochodząc do ostatnich stron ,,Hrabiego Monte Cristo'') nie odczułem chyba tak ostrego żalu, że skończyłem czytać książkę, jak zamykając ,,L'Isola di Arturo''. Może książki które *są* urokiem wymykają się krytyce?

K.A. JELEŃSKI

Well done

W ostatnich miesiącach kilku publicystów wydało zbiory artykułów pisanych w okresie ,,odwilży'' i dokumentujących ich wkład do dzieła ,,wielkiego zniszczenia'', bez którego nie byłoby Października (chociaż być może bylibyśmy świadkami tragedii węgierskiej w Warszawie). Do tych

publicystów należą między innymi Władysław Bieńkowski i Stefan Kurowski (1).

Publicystyka Bieńkowskiegc posiada w kraju ustaloną reputację. Lecz jest to chyba reputacja nabyta, gdy czyta się jego artykuły ,,na gorąco". Czytane powtórnie po kilku miesiącach bledną i trącą myszką. Dobrze napisane w sensie publicystycznego rzemiosła, mają zawartość myślową lekkiej wagi, gdy nie wspiera jej aktualność i intelektualny ładunek dostarczany przez innych publicystów. Artykuły Bieńkowskiego są błyskotliwe i były swego czasu skuteczne, lecz próbie czasu się nie ostały. Gdy to się rzekło, dodać trzeba, że gdy nic jeszcze nie było przesądzone Bieńkowski bronił rzeczy słusznych i dobrych odważnie, efektownie i celnie. Publicysta, który tak swe zadanie pojmuje i tak się z niego wywiązał, uczynił wszystko co należało i co było w jego mocy uczynić.

Kurowski nie posiada błyskotliwości Bieńkowskiego, lecz jego wiedza jest rzetelna i gruntowna. Zbiór artykułów Kurowskiego sięga początków 1954 roku i z tej przyczyny jest znacznie pełniejszą kroniką okresu ,,odwilży". Kurowski przewyższa Bieńkowskiego pod innym względem niż wzgląd kronikarski. Kurowski uderzał najczęściej w centralne umocnienia myślowej reakcji, jakie trzeba było wówczas zaatakować i zniszczyć zanim strumień wolnej, krytycznej myśli mógł się rozlać szeroko, zmobilizować i pokierować masowymi siłami społeczeństwa. Intelektualna awangarda bez masowego poparcia byłaby bezsilna, masy robotnicze wiedzione słusznym instynktem lecz pozbawione przywództwa mogły były ponieść klęskę. Przymierze robotników i intelektualnej awangardy zapewniło zwycięstwo i kontrolę nad sytuacją. Przymierze to wykuwali uczeni, pisarze i publicyści tocząc dyskusje pozornie odległe od życia i spraw praktycznych. Kurowski do nich należał. Mimochodem można dodać, iż powtórzył manewr ,,żagarystów" w wileńskim ,,Słowie". Wiele jego artykułów ukazało się bowiem na łamach ,,Dziś i Jutro", a więc tygodnika, którego wydawca i protektor był, jak redaktor ,,Słowa", opoką ,,konserwatyzmu".

W ,,Szkicach Optymistycznych" ukazał się po raz pierwszy drukiem esej ,,Nad ekonomią polityczną", stanowiący treść odczytu wygłoszonego na dwóch zebraniach słynnego klubu ,,Krzywe Koło" w maju 1956 roku. Ten esej daje możność oceny roli, jaką ,,Krzywe Koło" i inne Kluby Młodej Inteligencji odegrały w przygotowaniu Października. Gdy w owych czasach czytelnik pism krajowych na Zachodzie pragnął podszepnąć piszącym i redaktorom: wolniej, ostrożniej i festina lente, Kluby Młodej Inteligencji wyprzedziły publiczną dyskusję, która była tylko słabym odbiciem działalności prowadzonej żywym słowem i przez kontakty osobiste. Na pozór wówczas nietknięta linia Maginota politycznej i intelektualnej reakcji była w rzeczywistości fasadą, a jej obrońcy mogli być uratowani tylko przez odsiecz z zewnątrz. Jak wiadomo, próba odsieczy była podjęta i zmuszona została do odwrotu, lecz ten aspekt Października nie należy do recenzji ,,Szkiców Optymistycznych".

,,Nad ekonomią polityczną" jest esejem, który i dzisiaj czyta się z zainteresowaniem i intelektualną satysfakcją. Autor porusza się z swobodą i znajomością rzeczy na terenie metodologii i socjologii, nauki ekonomiki

---

(1) Władysław Bieńkowski, *Rewolucji Ciąg Dalszy*, Książka i Wiedza 1957, str. 172.
Stefan J. Kurowski, *Szkice Optymistyczne*, Pax. Warszawa 1957, 383.

i praktyki ekonomicznej. Esej łączy trafność sformułowań z jasnością wykładu i celnym doborem zagadnień najistotniejszych w teorii i praktyce. Chociaż inne rozdziały ,,Szkiców Optymistycznych'' wykazują także wspomniane walory, esej, o którym mowa, przewyższa pod tym względem pozostałe. Jest on również najoryginalniejszym przyczynkiem autora do ,,odwilżowej'' dyskusji.

W przedmowie do ,,Szkiców Optymistycznych'' Kurowski pisze, iż potrzeba występowania w obronie spraw tak prostych i powszednich jak wolność, demokracja, prawda w połowie XX wieku winna raczej obudzać uczucia pesymizmu niż optymizmu. Szkicom swym nadał jednak tytuł optymistycznych, gdyż mówią one o tym iż ,,walczymy, mówimy, myślimy'', iż ,,nigdy nie przestaniemy myśleć'', a przez to ,,wprawiamy w ruch siłę, która w końcu przyniesie zwycięstwo ludzkiej sprawie''. Te słowa, pisane przed Październikiem, trafnie podkreślają sens publicystyki ,,odwilży'' i nadal zachowują aktualność.

Przecież ktoś może powiedzieć, iż awangarda ,,odwilży'' w dziejach myśli nie dokonała żadnego kopernikańskiego odkrycia, nie wzbogaciła osiągnięć kultury,a jedynie zniszczyła przeszkody i zapory jej rozwoju. W naszym wieku nie trzeba nikogo przekonywać, iż myśl, aby być twórcza, musi być wolna; iż władza nie zapewnia nieomylności; iż faktów nie można ignorować i prawdy ogłaszać dekretem.

,,Odwilż'' nie była twórcza jeżeli rozumiemy przez to nowe dzieła sztuki, literatury i nauki. ,,Odwilż'' była jednak twórcza w sensie afirmacji i obrony podstawowych wartości życia ludzkiego, które giną, jak uczy historia, gdy każde z następujących po sobie pokoleń na nowo dla siebie ich nie odkrywa i nie broni. Człowiek tworzy wartości i żyją one siłą jego przekonania i gotowością walki o nie. ,,Odwilż'' była aktem afirmacji wartości nadających sens i godność życiu człowieka. Ponieważ zaś okoliczności historyczne i geograficzne były wyjątkowe, uwagi o ludziach ,,odwilży'' opatrzone zostały tytułem conradowskiego eseju.

Zbigniew JORDAN

Rebirth of the Polish Republic

Za czasów monarchii absolutnej istotę sztuki dyplomatycznej stanowiło umiejętne włączanie się w splot intryg dworskich. Miejsce przedpokojów królewskich zajęły następnie prywatne salony. Gdy w 1815 r. Metternich imieniem zwycięskiej koalicji przeprowadzał likwidację spadku po Napoleonie zebrani w Wiedniu mężowie stanu spotykali się częściej na parkietach sali balo-

wej niż wokół okrągłego stołu. Z wyrozumiałym uśmiechem mówiono, że kongres tańczy. Wreszcie w 20-tym wieku, wieku demokracji parlamentarnej i instytucji międzynarodowych przeniosła się wielka polityka do hallów hotelowych. Tam przy filiżance czarnej kawy lub kieliszku koniaku przygotowywano nieoficjalnie najważniejsze rozstrzygnięcia i ustalano reżyserię zebrań publicznych.

Zmienny lecz zawsze błyskotliwy tryb życia sprawił, iż poczęto w szerokiej opinii traktować dyplomatów jako uprzywilejowaną lecz niezbyt poważną kastę dobrze ubranych i nie gorzej wychowanych dyletantów. Zazdroszczono im i patrzano na nich z góry.

Głośniki prapagandowe i światła reflektorów uprzystępniły ogółowi jeszcze bardziej czysto zewnętrzną szatę międzynarodowej akcji politycznej. Mało kto pamiętał, że druga i na pewno ważniejsza część jej prowadzona jest nadal w ukryciu i milczeniu. Że dyplomatą z prawdziwego zdarzenia nie jest ten, kto olśniewa na mównicy lub w salonie, lecz ten, kto z przenikliwego studium zagadnień gospodarczych, prawnych, demograficznych i społecznych wyciąga właściwe wnioski polityczne, kto na znajomości dziejów minionych i obserwacji świata współczesnego opiera twórczą wizję przyszłości.

Właśnie badawcza i twórcza strona pracy dyplomatycznej sprawia iż tak chętnie imają jej się historycy i pisarze. Nazwiska Duff Coopera, Claudela, Giraudoux mówią same za siebie. W niepodległej Polsce byli dyplomatami Askenazy i Michał Sokolnicki, byli Lechoń i Baliński. Także Polska Republika Ludowa rekrutując do służby zagranicznej szereg zasłużonych dla partii lecz rażących na gruncie międzynarodowym pół-i ćwierć-inteligentów przeplotła ich literatami jak Ksawery Pruszyński i Putrament, Tadeusz Breza i Przyboś.

Byli urzędnicy przedwojennego M.S.Z. znaleźli się w tym samym czasie na uchodźstwie w odcięciu od dotychczasowej pracy i środków utrzymania. Tylko niewielu z nich zdołało w niezmiernie trudnych warunkach podtrzymać poprzednią działalność. Także i te wyjątki szukać musiały najczęściej dodatkowego zajęcia. Liczne, ukazujące się nieprzerwanie od 12 lat w prasie emigracyjnej lub zagranicznej artykuły, rozprawy i wspomnienia, parę dobrze napisanych książek — oto wcale pokaźny literacki plon dyplomatycznego bezrobocia. Co jednak bardziej uderza, to energia i powodzenie z jakim ci rzekomo powierzchowni salonowcy przypuścili szturm do katedr uniwersyteckich. Warto by ustalić statystycznie, jaki procent Polaków wykładających w Wielkiej Brytanii, Francji, Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Turcji, Belgii itd. wywodzi się ze służby zagranicznej. Wystarczy przytoczyć parę przykładów. Obok posiadających już przedwojenny dorobek Michała Sokolnickiego, Michała Potulickiego i Stefana Glazera, poświęcili się pracy naukowej śp. Wacław Babiński, Jan Wszelaki, Władysław Kulski, Roman Dębicki, Leopold Koziebrodzki, Wieńczysław Wagner i wielu innych.

Tadeusz Romer prowadzi w Montrealu poza wykładami uniwersyteckimi letni kurs dla studentów z wszelkich krajów i wszelkiej narodowości. Prof. Jan Marczewski kieruje we Francji najpoważniejszym zespołem ekonomistów badających problemy gospodarcze Europy Środkowo-Wschodniej. A wyliczenie to, czysto przypadkowe, można by znacznie przedłużyć.

Tytus Komarnicki, były delegat R. P. przy Lidze Narodów, były minister pełnomocny w Bernie, były tajny przedstawiciel rządu R. P. w okupowanej Francji, zajmował w hierarchii urzędowej wysokie stanowisko. W hierarchii naukowej zdobył nie pośledniejsze. Wykłada w Szkole Nauk Politycznych i Społecznych, zapraszany był parokrotnie przez Haską Akademię Prawa Międzynarodowego, a jego coroczny cykl odczytów w Instytucie Wyższych Studiów Politycznych przy Uniwersytecie Paryskim gromadzi zawsze licznych słuchaczy. Temu parę miesięcy publikował dwie rozprawy z zakresu prawa międzynarodowego. W lipcu bieżącego roku wydał u W. Heinemann'a w Londynie obszerną bo prawie 800-stronicową źródłową pracę w języku angielskim pt. ,,Rebirth of the Polish Republic. A study in the diplomatic history of Europe 1914-1920. (Odrodzenie Rzeczypospolitej Polskiej. Przyczynek do historii dyplomatycznej Europy w latach 1914-1920).

Min. Komarnicki stawił sobie za cel zobrazowanie stosunku wielkich mocarstw do sprawy polskiej w toku pierwszej wojny światowej i kampanii polsko-sowieckiej. Dochodzą nas z kraju wiadomości, że poprzednik jego na stanowisku tajnego przedstawiciela rządu we Francji, aresztowany przez Gestapo i deportowany następnie do Buchenwaldu Stanisław Zabiełło, oddał w Warszawie do druku pracę na temat podobny ale dotyczący innego okresu, bo lat 1939-1945. Niewątpliwie piszący w wolnym świecie mniej jest skrępowany w opiniach i ocenach niż historyk podległy cenzurze państwa, które samo musi się liczyć z drażliwością i naciskami przemożnego sąsiada wschodniego. Ale, wbrew pozorom, łatwiej jest badaczowi uzyskać dostęp do źródeł i dokumentów datujących z ostatniej wojny niż do materiałów rzucających pełne światło na odległe wydarzenia sprzed lat czterdziestu. Nie mówiąc już o ZSSR, gdzie wszechwładnie panuje zasada nie ujawniania poczynań zrodzonych wcześniej czy później w zakamarkach Kremla, także i zbiory aktów francuskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych z epoki przed i po Traktacie Wersalskim trzymane są dotąd pod ścisłym zamknięciem. Zaś walka totalna wszczęta przez Hitlera, zrywając dachy i burząc mury gmachów urzędowych wpierw w Pradze, Warszawie i Paryżu, a następnie w Berlinie, odsłoniła najpilniej strzeżone tajemnice państw podbitych. Niesione podmuchem bomb znalazły się sekretne dokumenty na placu publicznym. Publikowano dla potrzeb propagandy przede wszystkim materiały współczesne. Podanie ich do wiadomości ogólnej wpłynęło z kolei na ujęcie pamiętników z okresu drugiej wojny. Mężowie stanu i wojskowi poczuli się zwolnieni od obowiązującej w przeszłości dyskrecji.

Badając czasy nie objęte tą falą mimowolnej i przypadkowej szczerości oparł się Min. Komarnicki na dokumentacji mniej kompletnej lecz mimo to niezmiernie obfitej. Poza tekstami urzędowymi cytuje często wyciągi z diariuszy parlamentarnych i z prasy. Powołuje się na około 400 dzieł o charakterze naukowym lub pamiętnikarskim tyczących polityki europejskiej w owym okresie. Wyłuskuje z nich z iście benedyktyńską cierpliwością wszystko co rzucić może nowe światło na odnoszenie się mocarstw do sprawy polskiej. Wysiłek jaki włożył w tę mozolną pracę wstępną i wytrawność z jaką następnie oddzielił ziarno od plew, zasługują na pełne uznanie.

Oceny własne Min. Komarnickiego cechuje daleko posunięty obiektywizm. Uderza on najsilniej w opisach faktów i wydarzeń, które pozostały po dziś dzień kontrowersyjne w opinii nie tylko międzynarodowej ale i wewnętrzno-polskiej. Bezstronność autora w przedstawianiu spraw spornych budzi żal, że obok angielskiego nie ukazało się równocześnie polskie wydanie książki. Jakżeż właśnie w chwili obecnej okazałoby się pożyteczne, jak korzystnie odbijałoby od niektórych przesyconych żółcią opracowań emigracyjnych lub naszpikowanych tendencyjnymi sloganami publikacji krajowych!

Lektura studium Min. Komarnickiego nie jest, mimo przejrzystości układu, lekka, bo sam przedmiot jego badań jest złożony i zawiły. W miarę wgłębiania się weń zarysowują się jednak przed oczyma czytelnika wnioski proste, jedne pesymistyczne, drugie optymistyczne. Pesymistyczne — gdyż trudno nie dostrzec objawów słabości, braku zrozumienia, czasami nawet niechęci po stronie zwycięskich sojuszników odradzającej się Polski. Optymistyczne — gdyż zestrzelenie woli Polaków, umiejących wznieść się w chwilach rozstrzygnięć ponad nieprzekraczalne na pozór przedziały wewnętrzne, gdyż prężność narodu i obustronnie zakorzenione głębokie związki jego z historycznie i geograficznie określonym obszarem europejskiej kultury, przemogły opór wrogów i opieszałość przyjaciół.

Kiedy odwracamy ostatnią kartę napisanego powściągliwie i rzeczowo dzieła o odrodzeniu Rzeczypospolitej Polskiej po wieku klęski i rozbiorów, mimowoli przychodzą na myśl słowa umieszczone niegdyś nad wejściem do sali Rady Ministrów w Pałacu Namiestnikowskim w Warszawie. Brzmią one: Dei providentia, populi constantia, legionum virtute — Polonia restituta. Nie marzycielski romantyzm ale trzeźwe spojrzenie w przeszłość, do jakiego skłania książka Tytusa Komarnickiego, uzasadnia nadzieję, że na zatarty już może dziś napis znów spoglądać będziemy mogli z uczuciem, iż jest niemniej prawdziwy niż dumny.

Kajetan MORAWSKI

« Najkrótszą drogą »

Wydany przed paru miesiącami pamiętnik gen. Stanisława Sosabowskiego ,,Najkrótszą drogą'' (*) zyskał z miejsca niemały rozgłos dzięki ,,Słowu wstępnemu'' gen. Kazimierza Sosnkowskiego, który po raz pierwszy opublikował tam treść swej rozmowy z marszałkiem brytyjskim Wilsonem, odbytej w Casercie w dniu 3 sierpnia 1944 roku w obecności brygadiera Beaumont Nesbitta. Według relacji ówczesnego Naczelnego Wodza marszałek Wilson zaproponował mu przerzucenie całego 2 Korpusu drogą powietrzną do Polski na tereny zajęte przez Rosjan. Gen. Sosnkowski uznał tę propozycję za polityczną i wobec tego nadającą się jedynie do skierowania do rządu polskiego w Londynie. Jednocześnie, zastrzegając się, że wypowiada tylko własną opinię ujętą raczej z punktu widzenia wojskowego, oświadczył, że wysłanie 2 Korpusu do zajętej przez Rosjan Polski równałoby się rozbrojeniu oddziałów polskich i zesłaniu żołnierzy na Syberię lub zgotowaniu im losu jeszcze gorszego.

Na ten sensacyjny szczegół przedmowy gen. Sosnkowskiego rzuciła się od razu leciutka kawaleria publicystyki polskiej w Londynie. Jedni zarzucili jej autorowi ubytki pamięciowe (podpierając się jakimś mętnym listem marszałka Wilsona), inni — ludzie poważni — bronią ścisłości i wiarogodności sprawozdania Sosnkowskiego, które ma formę niemal stenograficznego odtworzenia jego rozmowy z Wilsonem. Wydaje się że cała ta arcyciekawa sprawa daleka jest jeszcze od pełnego i ostatecznego wyświetlenia, na jakie być może trzeba będzie poczekać, jak czekamy na całą prawdę o wielu innych historycznych wydarzeniach, ciągle jeszcze spowitych we mgły politycznych kamuflaży i niedomówień. Jedno jest pewne: że przypadkowe przesunięcie zainteresowania z książki Sosabowskiego na przedmowę do niej czyni krzywdę jednemu z najciekawszych polskich pamiętników historycznych ostatniej wojny.

Dwie cechy wyróżniają książkę gen. Sosabowskiego wśród innych relacji pamiętnikarskich o wojnie: jej żołnierski autentyzm i bezprzykładne zespolenie szerokiego tematu dziejów Brygady Spadochronowej z osobą jej twórcy i dowódcy. Gdy autor w starannie uporządkowanych i podzielonych na tematyczne całości rozdziałach opowiada kolejno o ewakuacji z Francji, o swym pomyśle stworzenia polskiego wojska spadochronowego, o etapach i metodach jego szkolenia, a następnie o bitwie pod Arnhem; gdy ujawnia swe poglądy na apolityczność i wolność przekonań politycznych w wojsku; kiedy następnie opisuje swą namiętną walkę o krajowe użycie Brygady, która stworzona była w celu przerzucenia do Polski i nie miała być używana w walkach na Zachodzie; gdy wreszcie relacjonuje ważniejsze prze-

(*) S. Sosabowski, *Najkrótszą drogą*. Przedmowa gen. K. Sosnkowskiego. Komitet Polskich Spadochroniarzy, Londyn, 1957, str. XXXI plus 286, 8 stron ilustracji, portret autora, 9 szkiców sytuacyjnych.

życia zbiorowe swego wojska, albo tu i ówdzie daje się ponieść — czasem chyba za daleko — sentymentom legionisty-romantyka (na przykład w niekoniecznie trafnym doborze fotografii) — zawsze jesteśmy pewni, że oto obcujemy z pamiętnikiem napisanym osobiście przez żołnierza, a nie polityka, z książką stworzoną całą osobowością autora dążącego do utrwalenia prawdy i tylko prawdy o sobie i swoim dziele. Nie można tego powiedzieć o wszystkich pamiętnikach byłych polskich dowódców.

„Najkrótszą drogą" to lektura pasjonująca nie tylko dla zawodowych wojskowych, ale także dla cywilów — jak niżej podpisany. Bo trzeba na przykład pamiętać, że polskie siły zbrojne w Wielkiej Brytanii, gdzie gen. Sosabowski uformował swoją Brygadę, nie miały za sobą bogatego rezerwuaru zdrowej i fizycznie wytrenowanej młodzieży, tego naturalnego zaplecza, z jakiego czerpie się wyborowe jednostki do wojskowych formacji elitarnych. Zrobić wojsko spadochronowe — to zadanie nielada nawet dla narodu posiadającego milionowe uzupełnienia. Ale uformować pełnowartościową brygadę spadochronową z lekko podtatusiałych „leśnych dziadków" plus Jasiowie z Polesia, mocno wyciśnięci w łagrach sowieckich — to już nie tylko sprawa fachowości i środków: to przede wszystkim znakomicie zdany egzamin żelaznej woli i charakteru. Ten aspekt osiągnięcia Sosabowskiego zainteresować musi każdego myślącego człowieka, nawet wroga „mocarstwowego" potrząsania szabelką i pchania się, na różne „montecassiny" czy trzeba, czy nie trzeba.

Z punktu widzenia historycznego do najciekawszych ustępów książki należy część IV „O oszczędności krwi żołnierskiej". Jest to pasjonująca relacja o pojedynku Browning-Sosabowski (generał Browning był organizatorem i dowódcą brytyjskich wojsk spadochronowych). W roku 1941 Browning zachwycił się Sosabowskim. W roku 1942 zaproponował mu nieoficjalnie dowództwo brytyjskiej dywizji powietrznej, która by miała wchłonąć spadochroniarzy polskich. „Sosab" odmówił i zameldował o wszystkim Naczelnemu Wodzowi polskiemu uważając, że przekreśliłoby to krajowe przeznaczenie jego brygady. Stosunki zaczęły się psuć w roku 1943 na tle upartego dążenia Browninga do użycia polskiej Brygady Spadochronowej — wbrew poprzedniej umowie — na froncie zachodnim. Do stanu wrzenia między oboma generałami doszło w roku 1944 już po decyzji naczelnego wodza gen. Sosnkowskiego, wyrażającej zgodę na wprowadzenie Brygady — pod pewnymi warunkami — do walk na Zachodzie. Gen. Browning chciał mieć polskich spadochroniarzy jak najszybciej — Sosabowski opierał się temu wszystkimi dopuszczalnymi środkami (włącznie z niepojętym dla Brytyjczyków żądaniem rozkaz na piśmie) powołując się na nieukończenie wyszkolenia Brygady. Terminy włączenia Polaków do różnych akcji odkładano, niektóre zamierzone desanty odwoływano w wyniku twardej opozycji Sosabowskiego. Był to najprawdziwszy pojedynek dwóch silnych indywidualności o stawkę krwi — o to, ile poleje się polskiej, a ile brytyjskiej. Rezultat ostateczny? W źle zaplanowanej (mimo ostrzeżeń Sosabowskiego) i z góry przez wywiad niemiecki — w wyniku zdrady jednego z kierowników holenderskiej akcji podziemnej — rozszyfrowanej operacji pod Arnhem straty brytyjskiej dywizji spadochronowej wyniosły 80 procent stanów, gdy straty polskie tylko 23 procent, to jest mniej, niż się normalnie przewiduje w tego rodzaju pracy bojowej. O ile mniej polskich grobów żołnierskich świeciłoby daremnymi krzyżami na cmentarzyskach ostatniej wojny, gdyby wszyscy polscy dowódcy mieli siłę charak-

teru i uczciwość generała Sosabowskiego! Za swą walkę z brytyjskim kupcem (jak sam siebie nazwał gen. Browning) zapłacił Sosabowski dymisją ze stanowiska dowódcy Polskiej Brygady Spadochronowej. Nikt go nie zdymisjonuje z wdzięcznej pamięci i szacunku Polaków.

Ale wróćmy do książki. Niestety, autor nie uniknął niedociągnięć charakterystycznych dla całej niemal polskiej literatury pamiętnikarskiej. Brak korekty literackiej, niestaranna korekta drukarska i brak indeksów nazwisk i miejscowości obniżają bardzo poważnie klasę osiągnięcia Sosabowskiego. Czas już chyba, by Polacy nauczyli się — choćby od Amerykanów — że nie jest żadnym wstydem prosić fachowca-literata o wypolerowanie tekstu. I można było z pewnością, rozporządzając tysiącem byłych podkomendnych zakochanych w swym dowódcy, znaleźć kogoś fachowego, kto by przysiedział i fałdów i przez opracowanie indeksów dokonał normalnej w kulturalnym pamiętnikarstwie segregacji materiału ułatwiając przyszłym historykom korzystanie z tej cennej, uczciwej i ciekawej książki.

Janusz JASIEŃCZYK

Dwaj krakowscy poeci

Doświadczony gospodarz, kiedy przychodzi mu pokazywać swój sad komuś z miasta, prowadzi gości w stronę drzew najokazalszych, bowiem zasadniczym sprawdzianem jakości sadu, jego jedynym sensem, jest owoc.

Leszek Elektorowicz zebrał w swym tomie (1) — takie przynajmniej odniosłem wrażenie — nie tylko wiersze dorosłe, dojrzałe, ale i inne, wynikające jeszcze z młodzieńczej, pierwszej atmosfery odczuwań. Sięgając tam po obraz, łatwo wziąć do wiersza obrazek, a zamiast uczucia przyjąć w strofy słodki sentyment. *Świat niestworzony* zawiera między innymi utwory zabarwione na różowo, a powiązane liryczną genealogią z młodym Skamandrem, w tym co miał w sobie z łatwej i rzewnej piosenki. Dla przykładu zacytujmy ostatnią zwrotkę „Ofiarowania":

Oddam ci moje słońca
— daleko na falach blask skacze
może przebaczysz mi śpiąca
ja sobie nie przebaczę

(str. 57)

Podobnie melodyjne i łatwe są „Sny dziewczęce" i „Na brzuchu leżę wśród traw" utwory za płoche i o nazbyt nikłej konsystencji jak na drugą połowę wieku dwudziestego. Sentymentalizm jest jednak świadomym ele-

(1) Leszek Elektorowicz, *Świat niestworzony*. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1957, str. 70.

mentem liryki Elektorowicza. Świadczy o tym choćby wiersz zatytułowany „Obrona sentymentu", i wyrażający współczucie Autora do tak zwanych szarych ludzi („wieczne służące, wieczne szwaczki niedosiężnych toalet..." str. 43). Utwór ten powstał prawdopodobnie w tym samym czasie, co Różewicza obrona Teściowej, wiersz walczący o poprawę od tysiącleci zaognionej sytuacji między teściową i zięciem. Szarzy ludzie Elektorowicza są jednak bez krwi, trącą literaturą. U Tuwima panny bufetowe miały ręce i oczy, i widać było przez wiersz, jak faluje im pierś i jak szloch rozrywa ich drobnomieszczańskie, przeczulone serca. Tam szwaczki były lirycznym podmiotem, u Elektorowicza podmiotem są westchnienia poety. Szarzy ludzie służą za welinowy papier do ich spisywania. Tyle o tym co razi.

Na szczęście *Świat niestworzony* zawiera wiersze inne, napisane w jednym tonie i pod każdym względem udane. Mam na myśli cykl zatytułowany „Oczy w szparze", skupiający wiersze z lat 51-54. Tutaj wzruszenie przekazywane jest szorstko i po męsku, bez reminiscencji literackiego patriotyzmu. Wyobraźnia poety operuje trafnie porównaniami. Wydaje mi się, że w wierszach tych udało się Elektorowiczowi spisać najściślej i najbezpośredniej emocję początkową, wybrawszy spośród kolorów barwę najciemniejszą, najdalszą od tęcz i zórz. Cechy te reprezentuje najlepiej wiersz

MŁODZIEŻ 1950

Jak kawał mięsa na stół
rzucili naszą młodość
na płask roztłukli

Powycinani w długie prostokąty
idziemy
Pyski w worach ze śpiewem
U wodopoju
głowy zanurzamy po kark
Bijemy brawo
Nasze ręce płaskie jak flądry
nasze palce jak ogony fok
Klaszczemy jak żywe ryby na desce
Schwytani w sieć

Produkują fabryki
nasze czaszki ze szkła
Nieprzeźroczyste
roztrzaska
mechaniczny młot
Przez szklane czaszki
jak przez wodę strumienia
widzieć chcą nasze mózgi jak dno
nasze mózgi nieruchome
nasze mózgi spłukane ich pieśnią
bezradne jak gruz

Tom Leszka Elektorowicza, oprócz tego co powiedzieliśmy, jest jeszcze świadectwem wewnętrznego sporu poety. Dwa przeciwstawne profile walczą w nim o pierwszeństwo: marzyciel liczący obłoki i mężczyzna co próbuje poruszyć wargami pokrytymi jeszcze wczoraj pyłem milczenia. Spośród pierwszych słów powiedzianych głośno niektóre znaczą i brzmią, każąc oczekiwać mowy coraz równiejszej, podbitej tą samą miłością prawdy. Wyobraźnia poety jest najlepszym zapewnieniem tych możliwości.

To prawda, że Polacy kochają poezję, pod warunkiem, że słowem tym określimy teksty rzewne spisywane w obliczu jesieni, zwrotki skoczne układane na widok stokrótek i wreszcie słowa ckliwe spisywane przy każdej okazji, niezależnie od pory roku. Poza garstką krytyków i nie wiele liczniejszą garstką pisarzy, zamieszkujących wielkie miasta, jak Kraj długi i szeroki, panuje powszechna zgoda na wyżej nazwane pojmowanie poezji. Gorzej, dobrzy ludzie (jak to się mówi „kulturalni") w ogóle nie dostrzegają zagadnienia. Dla nich poezja jest w czasie pokoju mową zakochanych, a w czasie wojny słowem żołnierskim.

Historycznie formuła ta sprawdza się zresztą bezbłędnie. I stałość owego falowania liryki w ramach ograniczonych Tangiem Milonga i Redutą Ordona ma poparcie całego narodu (minus garstka wspomniana przez chwilą). Na szczęście w dziedzinie sztuki „głos większości" nie świadczy o niczym innym jak tylko i wyłącznie o owej większości. Ale powszechność tej a nie innej tradycji działa niestety zachowawczo, wstrzymując przez swą dufną bierność wnikanie form nowych — w tym wypadku poezji — do wrażliwości i wyobraźni narodowej.

Toteż, aby w takich warunkach pisać wiersze inne, „złożone nie z idei, ale ze słów", pisać pod prąd niejako i wbrew stuletnim gustom narodu — trzeba było szaleństwa Peipera, trzeba było uporu Przybosia, aby w pośrodku narodu oczekującego zwrotek o rucie i ułanie, budować wiersze zadające gwałt starej i wcale nie jarej wyobraźni narodu.

Kto woła w Polsce o nową poezję? Najwyżej — i to rzadko — sami poeci. Bo i oni wolą być „spadkobiercami" i po okresie „samotnej walki" włączyć się w szereg narodowych kucharzy, co to romantyczne maggi rozpuszczają w popaździernikową zupkę. Te rzeczy zawsze biorą. A taki Peiper? Umrze dwa razy, zanim ktokolwiek zdecyduje się na wydanie jego pism...

Toteż tym większą należy przywiązywać wagę do grupy dobrowolnych wyrzutków narodu, piszących wbrew jego smakowi i ponad jego wyobraźnię.

W b. roku nowy poeta powiększył plemię, nazywane krótko i węzłowato, słowem budzącym uśmiech politowania u ludzi zdrowo myślących, Awangardą. Marian Jachimowicz, którego tom (2) ukazał się w Krakowie, znany był z wierszy ogłoszonych w „Twórczości" (Nr 6, 1947). Potem słuch o nim zaginął i dopiero dziś, po dziesięciu latach powrócił, tym razem z tomem poezji. Tom ten można uważać za „rękopis odnaleziony po latach", za szkatułę, którą kopnięto w kąt w czasie wielkiego budowania fabryk a burzenia ludzi, a dziś otartą z cementu i wapna przywrócono między obecnych.

Poeta nie rodzi się dzisiaj, lecz z wczoraj, z artystycznego i narodowego wczoraj. Liryka Jachimowicza, swą składnią lapidarną i konieczną wywodzi się z doświadczeń krakowskich poetów z lat dwudziestych i trzydziestych. A czasem sięga nawet warstw dalszych, tworząc wiersz jakby równoległy do aury rezygnacji i łagodnego żalu, z której wzięły początek lozańskie liryki Mickiewicza.

MIASTA NAD ZIELONĄ RZEKĄ

Miasta nad zieloną rzeką
kamieniały —
smuciło je, że odbicia ich z wodą nie cieką
i że zawsze będą tak stały.

---

(2) Marian Jachimowicz, *Ścieżką konieczną*. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1957, str. 104.

A człowiek leżący nad myśli swych rzeką
śnił sen.
I widział olbrzymie miasta jak cieką —
i rdzewiejący u brzegu swój cień.

Z czasem jednak Jachimowicz buduje swój wiersz jakby poza możliwościami strofy; zrywa z regularnym nawrotem metrycznych struktur, dając utwory rozwijające się jak samo wzruszenie, nagle i nieoczekiwanie. I takim wierszem posługuje się najczęściej. Nierzadko są to opisy przyrody zdynamizowanej i jakby stworzonej po raz drugi. Jest to drugie po Leśmianie spojrzenie na Przyrodę, i równie jak tamto odnawiające. Aby tak patrzeć, potrzeba być poetą świadomym podobieństw i niewidzialnych dla zwykłego śmiertelnika tożsamości. I tak w wierszu Jachimowicza żuraw znad studni patrzy na step

obracający się powoli jak płyta nagrana świerszczami.
(str. 22)

Poeta wybrał trafnie obraz majestatycznego ruchu, aby przy jego pomocy oddać stepowy spokój; gdzie indziej znów pęd i lot wyrażone są przez doskonałe zestawienie dwu obrazów, z których pierwszy dynamizuje następny:

Ponad huśtawką zerwaną
leciały przez las obłoki.
(str. 29)

,,Obłoki'', jako słowo, są raczej natury powolnej, i dopiero ,,huśtawka'' i do tego ,,zerwana'' przyśpiesza ich lot, dając w sumie ruch wiosennego nieba.

Wielki dar nazywania. Sztuka nazywania pozbawionego drobiazgowości, pozbawionego ciułactwa szczegółów i wyliczania. Jachimowicz praktykuje tę sztukę, posługując się przy tym to elipsą, to znowu porównaniem; zawsze oszczędny i schludnie nie dopowiadający uczuć.

. . . .
Rzeki zniosły męty z mych oczu
Został wieczór błyszczący

A nie wiem czy był kto kiedy szczęśliwszy ode mnie
i bardziej rozgałęziony w sobie i innych

I tak rozerwany jak grzybnia gdy wypowie swój owoc.

(z wiersza ,,*Powrót*'', str. 44)

Tonu równie dojrzałego i słów s t a w i a n y c h w sposób tak hieratyczny darmo by szukać we współczesnej poezji polskiej — jedyne co przychodzi mi na myśl to poezja René Char'a, naraz patetyczna i po ludzku czuła, ale nigdy nie ,,swojska'', nigdy nie ,,kawa na ławę''..

Do najpiękniejszych w tomie należą bez wątpienia wiersze miłosne, niczym japoński pejzaż ledwie zaznaczone linią i dotknięte przeźroczystym kolorem. Jedne są kruche i mówione szeptem, inne zaś napina i zrywa w okrzyk rytm skandowany:

RAZEM

Kamienną drogą
gąszczami chmur
niebami topoli
z tobą

Zagasła lampa twoich kolorów
śniedzi
brązu
i zielona tęczówka lasów

Lśni tylko przypalona słodycz spojrzenia
Słopniała źrenica plami policzek

W siwy deszcz
kałużami dni
przezroczystymi trawami

Nie swoja
Moja

Nie od boga z cynowej kapliczki

Z obrzmiałej ziemi
z udręczonego nieba
ze mnie

Codzienna
Odwieczna
Moja.

W tomie Jachimowicza znajduje się jednak kilka wierszy nieprzekonywujących artystycznie. Mam na myśli liryki wojenne. Może działa tu nawyk tradycyjnego wiersza czasu wojny (Broniewski, Wierzyński) u odbiorcy, może zbytnia miniaturowość utworu wobec powierzonych mu treści, w każdym razie, gdy czytam te wiersze, nie potrafię wyjść przez nie poza sferę literackiego obrazu. Porównania i metafory zdają się leżeć na powierzchni kalendarza, pod którym huczy pożar wojny. Dla przykładu przeczytajmy jeden spośród tych wierszy:

Ołowiany śnieg
Śnieg spadających orzełków

Zielonej gałęzi
krzyk nie podeprze

Pod butem żelaznym czołgu
transfuzja krwi dla ojczyzny

Bohaterze
Pod hostię pszeniczną
wróg
wyjącymi tankami orze.

(str. 62)

Być może iż faktu wojny, będącej czymś w czasie, czymś dziejącym się brutalnie i krwawo, nie da się z a z n a c z y ć, nie da się sprowadzić do esencji, do ważkich, zgęszczonych zdań, których metafory nie sumują się, ale wręcz przeciwnie „kawałkują" to coś, co wyobraźnia zwykła rozbudowywać w czasie czytania wiersza. Czyżby fakt ten świadczył o kameralności wiersza awangardowego?, o jego anty-epickim charakterze?

Czytając końcowe utwory tomu Jachimowicza („Berło z kryształu", „Światła kamieni"), warto by się zastanowić nad sprawą pozornie banalną długości wiersza. Może się mylę, ale wydaje mi się, że przejście z krótkiego wiersza na dłuższy odbyło się z obopólną szkodą, poety i czytelnika. Wiersz, powiększony o ileś tam elementów obrazowo-emocjonalnych (z których każdy wymaga osobnego odczytania) stracił na swej zwartości. Przestał być cudownym kamieniem, który warto obejrzeć niejednokrotnie, który warto oglądać tak długo, aż zabłyśnie w naszej wyobraźni wszystkimi kryształami naraz — a stał się serią propozycji, nie sumujących się w jedno. A tylko ów prąd zgarniający w jedno i wiersz i nas pod gorącym obłokiem wzruszenia, dowodzi iż linijki ułożone w kolumnę są poezją, a nie literaturą... Dlatego w książce Jachimowicza wolę wiersze krótkie, wyważone po mistrzowsku, jak na przykład:

BETLEJEM

Smutek mój zawsze na nowiu

Szukałem betlejemskiej gwiazdy

W ogromnym niebie
Ziemia błądziła

Pod pełnię biegły morza
Morza gorzkie
Pod serce o czarnych kraterach

Zagasły okna po drodze
Anioł dotknął ziemi
Anioł upadły

Szukałem wielopromiennej
A oto gwiazda czarna i prosta
Krzyż. (str. 91)

Wiersze te są najcenniejszym dokumentem świadczącym iż ścieżka, którą wybrał Jachimowicz, była naprawdę konieczną. Dzięki wierze w jej konieczność poezja nasza wzbogaciła się o nowe wiersze, które — mam nadzieję — nie zbłądzą pod strzechy, ale będą tkwić wysoko, „po drugiej stronie powietrza", którym oddycha rzewny i śpiewki łaknący tłum.

Marian PANKOWSKI

Bliski i Środkowy Wschód

Istnieją tematy, do których opracowywania może się brać albo wybitny uczony, mogący je naukowo traktować, albo wybitny reporter, zdolny schwytać na gorącym uczynku rozgrywającą się przed oczyma rzeczywistość. Ktoś inny usiłując pisać na te tematy, albo daje jednostronne, niekompletne i niepoważne naświetlenia, albo pisze jak przysłowiowy ślepy o kolorach.

Owocem skrzyżowania tych dwuch typów jest autor sporego tomu pt. *Bliski i Środkowy Wschód*, wydanego w Kraju jesienią 1956.

Autor ten ukrywa się pod niewątpliwym pseudonimem Marek Gdański. Rzeczywistym autorem, i to również niewątpliwie, jest odpowiednia komórka propagandy komunistycznej. W tych warunkach książka mogłaby wyjść równie dobrze w Moskwie, Pradze czy wschodnim Berlinie, gdyż reprezentuje oficjalne poglądy bloku komunistycznego na zagadnienia Bliskiego i Środkowego Wschodu, uzupełnione znaną a nieznośną do czytania sztancową prop-agitacją. Od książki wydanej w Polsce, już po wypadkach poznańskich, można było się spodziewać czegoś innego, a także wolno było oczekiwać, że zawierać będzie jednak — mimo wszystko — chociaż nieco szczegółów dotyczących stosunków Polski i tej wysoce ciekawej strefy, względnie coś oryginalnego, dowodzącego, że nie została zapomniana rola „kwestii wschodniej" w polityce Polski. Te względy bardziej jeszcze obniżają wartość i tak mierną, dzieła rzekomego „Gdańskiego" a bardzo jednostronne źródła, z których korzystał, oraz język, język broszurek dla półinteligenta, dyskwalifikują je do reszty.

Jedyną stroną dodatnią tej pracy stanowią rozdziały dotyczące nafty, cichego powrotu Niemiec oraz walki narodów. Zawierają one sporo szczegółów i statystyk, wprawdzie tendencyjnie przefryzowanych, niemniej często właśnie z tego powodu godnych uwagi, jako wyraz poglądów Bloku Sowieckiego.

Książka podzielona jest na cztery duże rozdziały, mające z kolei pewną ilość podtytułów. Kończy się ona jak gdyby rekapitulacją tego co poprzednio powiedziano na kilkunastu stronach. Ideą przewodnią książki jest samorzutność emancypacji narodów Bliskiego i Środkowego Wschodu, diabelska przebiegłość zachodnich imperialistów i kolonialistów oraz anielska cierpliwość i wielkoduszność tak zwanego obozu narodów miłujących wolność. Wszystko złe co się na Bliskim i Środkowym Wschodzie stało, a więc ubóstwo, zamachy, rozruchy i konflikty przypisuje autor ingerencji Zachodu. Związek Sowiecki i inne demokracje ludowe występują jako bezinteresowni doradcy, budzących się ruchów antyimperialistycznych i wolnościowych. Statystyki produkcji nafty i wymiany towarowej mają udowodnić wyzysk kolonialny a z drugiej strony rozmiary handlu między Bliskim a Środkowym Wschodem a blokiem sowieckim. Mimo tendencyjności zestawień dla każdego, który chociaż nieco orientuje się w problemie, nie udowadniają one nic innego jak tylko tyle, że nie byłoby w ogóle do tej pory na Bliskim i Środkowym Wschodzie żadnego przemysłu naftowego, gdyby nie ingerencja mocarstw zachodnich.

Bliski i Środkowy Wschód, 1945-1955, M. Gdański, Wyd. „Książka i Wiedza, 1956. Str. 295 + 2 mapy.

Przyznane, w wyniku negocjacji i często, co prawda, pod naciskiem ruchów społecznych, korzyści dla państw, na których terenie złoża nafty się znajdują lub przez których teren ropa naftowa jest transportowana, doprowadziły do zupełnie niespodziewanego wzrostu bogactwa tych państw. Jeżeli bogactwo to jeszcze nie w całości obracane jest dla podniesienia dobrobytu społeczeństwa, to nie ulega wątpliwości że wszystkie państwa zainteresowane weszły już na tę drogę, a zdobycze społeczne takiego na przykład Iraku czy Libanu są już obecnie olbrzymie.

Jeżeli idzie o obroty towarowe autor operuje ogólnikami gdy pisze o bloku sowieckim. Ma rację, gdyż jest dowiedzione, że import z krajów tego bloku na Bliski i Środkowy Wschód nie przekracza 10% całości importu wszystkich państw Bliskiego i Środkowego Wschodu, eksport zaś jest jeszcze niższy. Głównymi dostawcami Bliskiego i Środkowego Wschodu oraz odbiorcami jego produkcji są Stany Zjednoczone, Anglia, Francja i Niemcy.

Jak już wspomniano, interesujący jest rozdział pt. Powrót Niemiec, gdzie autor wykazuje stały wzrost importu z Niemiec zachodnich, a opiniując aktywność Niemiec zachodnich na odcinku handlowym, wyraża przekonanie, że Niemcy zachodnie na Środkowym Wschodzie gospodarczo są już w tej chwili trzecią siłą. Wydaje się, że słusznie podkreśla też autor, iż Stany Zjednoczone często w dziedzinie gospodarczej (i jakoby wojskowej) wyręczają się Niemcami. Jedynie wniosek jaki z tego autor wysnuwa, usiłując tę substytucję, podciągnąć pod miano ekspansji amerykańskiej nie wydaje się słuszny, gdyż tradycje Niemiec na Bliskim i Środkowym Wschodzie są starszej daty niż Ameryki, a popularność ich bardzo jest głęboko zakorzeniona.

W rozdziale dotyczącym walki narodów Bliskiego i Środkowego Wschodu o niepodległość, zatytułowanym dość niezrozumiale: „Walka o hegemonię w blokach wojskowych" — autor usiłuje przekonać czytelników, że wszystkiemu winna jest Ameryka i z lekka jak gdyby poklepuje po plecach Francję i Anglię. Mimo, że w tytule swej książki wymienił lata 1945-1955, dość szybko przebiega przez okres do roku 1955 i galopuje przez drugą połowę 1955 i pierwszą 1956. Szczególnie interesujący jest podtytuł „Zryw ruchu narodowo-wyzwoleńczego", w którym „Gdański" boryka się, zresztą beznadziejnie, z oficjalnie narzuconą mu polityką proarabską i ze swoimi sympatiami dla Izraela, którym już dał wyraz zresztą w pierwszych dwu rozdziałach swojej książki.

Rekapitulacja właściwie nic nie rekapituluje i po przeczytaniu — co może i dobrze — zmuszeni jesteśmy sami wyciągać wnioski z tego co nam powiedziano. Konkluzję tę ująć można w kilku zdaniach. Rozwój Bliskiego i Środkowego Wschodu w kierunku rozluźnienia związków z Zachodem, który mimo błędów pomógł tej strefie do obudzenia się z wiekowego letargu ciemnoty i nędzy, został zakłócony przez stworzenie w roku 1948 nowego tworu państwowego, którym jest Izrael. Rola bloku sowieckiego przy powołaniu do życia tego państwa wskazywała z góry na rzeczywiste zamiary komunistów, przewidujących reakcję ujemną świata arabskiego i możliwość wygrywania tego problemu przeciw Zachodowi. Nie znaczy to, by Izrael nie miał prawa do samodzielnego bytu. Jednak konieczne było dla uniknięcia przyszłych konfliktów o konsekwencjach nie dających się przewidzieć, określić dokładnie i z większym rozsądkiem rozmiary nowego państwa. W dzisiejszej sytuacji nie będzie pokoju na Bliskim i Środkowym Wschodzie dopóki nie nastąpi uregulowanie problemu uchodźców arabskich z Palestyny, umiędzynarodowienie Jerozolimy i miejsc świętych oraz rozumna regulacja granic pomiędzy Izraelem a państwami arabskimi. Dopóki to nie nastąpi Sowiety i ich satelici w akcji bezpośredniej i w akcji pośredniej, której fragmentem jest właśnie książka rzekomego Gdańskiego

— będą mąciły na Bliskim i Środkowym Wschodzie, szczując Arabów przeciw Żydom, a Żydów przeciw Arabom i wiążąc siły wolnego świata w tej małej, lecz wyczerpującej wojnie polityczno-gospodarczej.

Powracając do książki o Bliskim i Środkowym Wschodzie trzeba ją zakwalifikować jako propagitkę, która w tej formie zapewne nie ukazałaby się już w chwili obecnej w Polsce.

Dr Z. ZAWADOWSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

WYDAWNICTWA EMIGRACYJNE I ZACHODNIE

TERLECKI (Tymon). *Krytyka personalistyczna*. Str. 34 (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1957).

DUDINCEV (Władimir). *Nejenom chlebem* (Uryvek z romanu). Str. 34. Wybrał i przełożył z rosyjskiego na czeski Zdenek Nemecek. (Wyd. Svedectvi. Tiskem Victoria Press, New York, 1957).

Heidelberger Slavische Texte herausgegeben von Dmitrij TSCHIZEWSKIJ u. Johann SCHRÖPFER: Zeszyt 1 — *Russische literarische Parodien,* herausgegeben von Dmitrij Tschizewskij. Str. 69 (cena DM 5.80); Zeszyt 2 — *Berufung und Bestimmung des Dichters in der slavischen Dichtung* — 1. Von den Anfaengen bis zur Romantik, herausgegeben von Dmitrij Tschizewskij und Johann Schroepfer. Str. 45 (cena DM 4). (Wyd. Otto Harrassowitz, Wiesbaden, 1957).

Mitła Kalendar-Almanach 1957. Str. 128. (Wyd. Ukr. Periodyku La Escoba, Buenos Aires, 1957).

PONEDIŁOK (Mykoła). *Witaminy*. (Ukr.). Humorystyczne obrazki z obu stron Atlantyku. Str. 319 (Wyd. Julian Serediak, Buenos Aires, 1957).

OHŁOBLYN (Alexander). *Dumky pro Chmielniczynu*. Str. 87. (Wyd. Organization for Defense of Four Freedoms of Ukraine Inc., New York, 1957).

MAASS (Johannes). *Polen im Zwielicht*. Ein wirtschaftlich-politischer Bericht. Str. 30. (Przedruk z Zeszytu „Die Aussprache" Wyd. „Neue Wirtschaft" GmbH., Bonn, 1957).

WYDAWNICTWA KRAJOWE

PYTLAKOWSKI (Jerzy). *Rozprawa się zaczyna*. Str. 230. (Wyd. PIW, Warszawa, 1957, cena 12 złotych).

PYTLAKOWSKI (Jerzy). *Życie przed śmiercią*. Str. 215. Wydanie II (Czytelnik, Warszawa, 1957, cena zł. 10).

MEYSZTOWICZ (Jan). *Saga Brygady Podhalańskiej*. Str. 202. (Wyd. Czytelnik, Warszawa, 1957, cena zł. 10).

CZYCZ (Stanisław). *Tła* (Wiersze). Str. 82 (Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1957, cena zł. 6,80).

HARASYMOWICZ (Jerzy). *Powrót do kraju łagodności*. Poezje. Str. 41 (Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1957, cena zł. 3.80).

SUCHODOLSKI (Bogdan). *U podstaw materialistycznych teorii wychowania*. Str. 404. (Wyd. Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa, 1957, cena zł. 31).

Listy do Redakcji

Paryż, 14 września 1957.

Drogi Panie Redaktorze,

Omawiając na Pana prośbę — w imieniu „Kultury" — ankietę w sprawie antysemityzmu, starałem się zrobić to w sposób najbardziej obiektywny i stąd pozostawiłem bez odpowiedzi szereg obelg i insynuacji pod moim adresem. Pan Mozes Parientes zarzuca mnie jednak w liście zamieszczonym przez Pana w ostatnim numerze „Kultury", fałszowanie faktów. Informacje o rabowaniu żydowskich grobów we Wrocławiu podała kilkakrotnie prasa polska w bieżącym roku jako jeden z objawów groźnego zaostrzenia antysemityzmu w Polsce. Jeśli p. Parientes przytoczy dowody, że rabunek ten był dziełem Żydów, będę mógł się zgodzić, że ten punkt mego artykułu (nie „listu") oparty był o mylne informacje zaczerpnięte z polskiej prasy (co nie nazywa się „szkalowaniem"). Jeśli p. Parientes tego nie zrobi, ostatni jego list będę musiał natomiast uważać za szkalowanie polskiej ludności żydowskiej.

Z Józefem Mackiewiczem chętnie stanę razem na tych „szańcach", na których nas umieszcza p. Parientes, mimo że nasze poglądy polityczne są diametralnie przeciwne. Wybitny pisarz polski, oskarżony przez *szeptaną propagandę* na emigracji i w Polsce o kolaborację raz to z Niemcami, raz to (jak przez p. Parientesa) z Sowietami, człowiek odważnie piętnujący w pięknej książce jedną z najohydniejszych zbrodni ostatniej wojny, jaką było wydanie przez Aliantów w ręce N.K.W.D. oddziałów rosyjskich i narodów Związku Sowieckiego walczących u boku Niemców o swą niepodległość, po zagwarantowaniu im prawa azylu (jeśli byli wśród nich przestępcy wojenni, sądzić ich mógł międzynarodowy trybunał w Norymberdze), jest z pewnością antykonformistą, a więc zwierzęciem zdanym na nagonkę soc- i pol-realistów. Cieszę się, że p. Parientes dał mi w ten sposób okazję do zamanifestowania mego uznania dla Józefa Mackiewicza.

Stanowisko soc- i pol-realistów przedstawił z wzruszającą szczerością p. Rafał Cywiński w swoim ataku na Andrzeja Vincenza, który słusznie podkreślił, że wysiedlanie ludności jest zbrodnią, niezależnie od tego czy wysiedlanymi są Polacy czy Niemcy (z tym, że ponowne przesiedlanie *przymusowe* ludności czy to z Ziem Zachodnich czy ze Wschodnich byłoby ponowną zbrodnią). Okazuje się że rola Polaków „ogranicza się wyłącznie do roli adwokatów sprawy polskiej". Jeśli Polak „sam niesprowokowany wyciąga słabą stronę swego klienta". ... „w ogólności nie jest Polakiem". Zastosujmy to rozumowanie do hitlerowskich Niemiec, Rosji Stalina i winszujmy Gestapo i N.K.W.D. likwidacji tych którzy „w ogólności" nie byli ani Niemcami ani Rosjanami.

K.A. JELEŃSKI

P.S.: Chciałbym skorzystać z okazji aby sprostować drobny lapsus w moim artykule o Gombrowiczu w ostatnim numerze „Kultury": chodziło mi, oczywiście (str. 34), o francuski, a nie „polski" numer *Twórczości.*

Sutton Coldfield, 1. 8. 1957.

Szanowny Panie Redaktorze!

W liście swoim („Kultura" nr 117/118) p. J. Hoffman szeroko omawia historię stosunków między Związkiem Nauczycielstwa Polskiego, a władzami państwowymi. Nie było to istotą mego listu i nie czuję się powołany do tego, aby w tej sprawie zabierać głos. Niewątpliwie znacznie więcej mógłby w tej sprawie powiedzieć gen. Składkowski, lub też marsz. Miedziński.

O co mnie chodziło, to o fakt, że bezpośrednią przyczyną zawieszenia zarządu tego Związku była pro-sowiecka działalność Wandy Wasilewskiej, czemu p. Hoffman nie przeczy, oraz o fakt drugi, że Wanda Wasilewska była wtyczką komunistyczną.

Temu ostatniemu p. Hoffman przeczy, powołując się na wspomnienia Haliny Pilichowskiej. Muszę przyznać, że nie przekonały mnie te wspomnienia. Świadczą one co najwyżej, że Wanda Wasilewska umiała się doskonale maskować nawet przed najbliższymi. Nie przekonuje mnie również podany przez p. Pilichowską fakt, że Wanda Wasilewska pisała broszury dla Min. Spraw Wojskowych i że mjr. N. (dlaczego nie wymienionemu z nazwiska?) przyobiecała pomoc w propagandzie antysowieckiej. Ostatecznie dlaczego ów mjr. N. miałby być mniej naiwny, niż władze Związku Nauczycielstwa Polskiego? Wojsko nie było bynajmniej takim monolitem, stosunki poszczególnych jego działów z resortami państwowymi bynajmniej nie tak bliskie, jak się to p. Hoffmanowi wydaje. A do tego działo się to w sierpniu 1939 roku, gdy niebezpieczeństwo niemieckie przysłoniło wszystkie inne sprawy.

A czy mogło być lepsze zamaskowanie dla wtyczki komunistycznej niż przyobiecany udział w propagandzie przeciwsowieckiej?

Chętnie wierzę, że Wanda Wasilewska nie była w 1939 roku członkiem partii komunistycznej. Można być wtyczką, nie będąc członkiem partii, a do tego w 1939 roku przynależność do polskiej partii komunistycznej była na pewno bardzo źle widziana w Moskwie. Było to przecież tuż po likwidacji jej przywódców przez Stalina.

Kiedykolwiek jednak Wanda Wasilewska wstąpiła do kompartii, faktem jest, że od lat już była wtyczką komunistyczną. Świadczy o tym nie tylko jej własne przyznanie się do tego w „Ogonioku" (ostatecznie mogło to być tworzenie legendy *ex post*), ale przede wszystkim jej artykuł w prasie sowieckiej w październiku lub najpóźniej w początkach listopada 1939, już po jej podróży do Rosji. Artykuł ten krążył wśród nas w obozie w Kozielsku w listopadzie 1939 (niestety nie udało mi się go wywieźć z Rosji) wywołując oburzenie nie tylko „oficerów zawodowych", ale i licznych w tym obozie członków Związku Nauczycielstwa Polskiego.

W artykule tym, porównując „radosne życie" dzieci sowieckich z rzekomymi udrękami, prześladowaniem i katuszami dzieci „w pańskiej Polsce" twierdziła Wanda Wasilewska, że od dawna już marzyła, aby móc na własne oczy zobaczyć „szczastliwuju żyźń" ludzi sowieckich, lecz reakcyjne władze polskie nigdy jej na to nie pozwoliły. Dopiero, ku jej najwyższej radości, we wrześniu 1939 roku Rosja Sowiecka wyszła jej na spotkanie. Te słowa powtórzyła Wanda Wasilewska w dwa lata później we wstępie do rosyjskiego wydania swej książki „Płomień na bagnisku".

Pisała je ona w październiku 1939. Nie nigdy nie uwierzę, aby tak obrzydliwe ustosunkowanie się do sowieckiej napaści na Polskę mogło wyjść z ust człowieka, który już wtedy nie był duszą oddany Sowietom, który nie był ich posłusznym sługą.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku.

Tadeusz FELSZTYN

Londyn, 20. 7. 1957.

Szanowny Panie Redaktorze,

W nrze czerwcowym „Kultury” Czesław Miłosz w artykule „Nad polską prasą” wspomniał o trzech autorach mocno odmiennego gatunku: Koestlerze, Orwellu i Deutscherze.

O ile w stosunku do Koestlera i Orwella możemy stosować kryteria oceny literackiej, to wiele trudniej zastosować je do zjawiska, które zwie się Izaakiem Deutscherem. Dorobek literacki Koestlera i Orwella jest dostępny wszystkim; co do Deutschera, to dopiero od czasu wojny czytelnik poznał jego nazwisko, jakkolwiek w odpowiedzi na krytyczną ocenę jego książki „Russia after Stalin” na łamach londyńskiego „Encounter”, Deutscher wspomniał przed dwoma niemal laty o „dwudziestu pięciu latach pracy politycznej i literackiej”.

Chciałbym dowiedzieć się z ust komunistów polskich jak naprawdę wyglądała praca literacka I. Deutschera przed wojną? Dotychczas w rozmowach z byłymi komunistami polskimi w Londynie, zdołałem dowiedzieć się, że jedynymi tytułami do sławy pisarskiej przedwojennego Deutschera były jego artykuły na łamach łódzkiej „Iskry”, wyraźnie wzorowanej na piśmie redagowanym przez Lenina, oraz wstęp do jednego bodaj tomu pism Lenina, wydanego w polskim przekładzie. Chętnie przyznaję się do ignorancji w tym względzie, ale z doby przedwojennej nie pamiętam nazwiska Deutschera jako pisarza komunistycznego czy teoretyka ruchu (tym bardziej polityka). Znane mi są liczne nazwiska pisarzy komunistycznych i pół-komunistycznych, wiem kim był Bruno Jasieński, Władysław Broniewski, Wandurski, Drobner, Pański. Nigdy jednak, jako żywo, nie słyszałem nazwiska Deutschera, który powołuje się teraz na ćwierćwiecze pracy politycznej i pisarskiej.

Dla zagranicy jest bardzo trudno ustalić rangę pisarską cudzoziemców, którzy opowiadają o sobie, że są tym czy owym lub byli tym czy owym; spotykałem się w Anglii ze zdaniem, że Deutscher był znanym przed wojną „wybitnym historykiem”, a kiedy replikowałem, że nikt go w Polsce nie znał w tej roli i że, o ile wiem, Deutscher nie ma żadnych studiów w tej dziedzinie, przyjmowano te moje uwagi z wyraźną niewiarą. Dopiero niedawno pojawiły się w recenzjach z książek Deutschera wzmianki o pospolitych pomyłkach historycznych a nawet „bykach” (*howlers*) zawartych w jego pracach; ale stało się to dopiero po jego fatalnych ocenach Rosji postalinowskiej i fantastycznej tezie o liberale — Berii. Od tego czasu Deutscher stracił wiele z aureoli proroka.

Warto ażeby ktoś zabrał się rzeczowo do prześledzenia roli, jaką Deutscher odegrał w orientowaniu publiki brytyjskiej co do Rosji sowieckiej i Europy wschodniej, korzystając przez kilka lat z immunitetu „najlepszego znawcy spraw sowieckich”. W czasie wojny Alexander Werth, dziennikarz angielski, rosyjskiego pochodzenia, brał czynny udział w żałosnym dziale bałamucenia opinii angielskiej co do istotnych celów i zamiarów Rosji.

Kiedy Werth się kończył, zaczęła się era Deutschera. Stał się on bowiem interpretatorem wydarzeń w Europie wschodniej; tłumaczył, że wojska sowieckie przyniosły tej Europie rewolucję na jaką dawno ten zacofany rejon zasłużył. Uspokajał zatem sumienie opinii brytyjskiej, która czuła, że jednak transakcja z Europą wschodnią pachnie zanadto Monachium *à la russe*. Tezy swoje przemycał Deutscher w pracach takich jak książka o Stalinie, uznanej zbyt pochopnie za „klasyczną” biografię.

Ta książka napisana przez dziennikarza o wielkich zdolnościach, rozmachu i biegłości dialektycznej wygląda dzisiaj, na tle tego co wiemy o Stalinie z ust chociażby Chruszczowa, chwilami wręcz zabawnie. Dla

nielicznych krytyków, którzy orientowali się od początku w wadze książki Deutschera, nie mogła być ona klasyczną i ,,ostateczną biografią". Przede wszystkim nie można pisać takiej biografii o ludziach typu góry lodowej, której bodaj 8/10 pozostaje pod powierzchnią oceanu. Nie wiadomo, czy kiedykolwiek ,,ostateczna" książka o Stalinie będzie napisana, albowiem archiwa sowieckie nie wydadzą swoich tajemnic: albo nie ma najbardziej ciekawych dokumentów, albo zostały one sfabrykowane i przeinaczone. Poza tym Deutscher, niebywale zręczny w metodzie doboru faktów, podał swojego bohatera w ramach fałszywych porównań historycznych: raz zestawiał go z Cromwellem, raz z Napoleonem. Obie te paralele są z gruntu mylne i mylące; nie tutaj miejsce aby wykazywać jak bardzo są one chybione. Deutscher unikał jednak w ten sposób zestawienia Stalina z najbardziej pokrewnym mu psychologicznie zjawiskiem — Hitlerem; unikał przyznania, że era trzech dyktatorów, to era wzoru Al Capone, słynnego gangstera z Chicago, który był patronem i Mussoliniego i Hitlera i Stalina.

Deutscher tłumaczył w swoim ,,Stalinie" jak dobroczynna będzie ,,rewolucja" przyniesiona zacofanej Europie wschodniej gdzie nigdy nie było prawdziwej demokracji (nie uznawał nawet dokonań państw bałtyckich ani Czechosłowacji). Znowu uciekał się do fałszywych pseudo-historycznych zestawień z rewolucją francuską; ale już Konstanty Srokowski, który w przedwojennej Polsce miał wyższą szarżę publicysty aniżeli Deutscher a w swoim studium ,,Elita bolszewicka" trafniej ocenił źródła władzy sowieckiej aniżeli autor ,,*Prophet in Arms*", powiedział przed laty, że ,,rewolucja francuska była krwawym porodem, bolszewicka — krwawym poronieniem". Deutscher kamuflował przed opinią angielską fakt, że ,,rewolucja" z roku 1945 nie była żadną rewolucją; że była aktem przemocy; że Rosja sowiecka nie miała żadnych danych na przewodnika rewolucji w Europie albowiem jej ranga cywilizacyjna i kulturalna była zbyt niska. Niższa kultura i cywilizacja nie może narzucić wyższemu ustrojowi swoich rządów. Francja cieszyła się olbrzymim prestiżem w Europie; dlatego rewolucja francuska przyjęta była i we Włoszech i w Europie wschodniej jako akt wyzwolenia.

W świetle wypadków październikowych w Polsce i na Węgrzech te fałszywe tezy Deutschera zawaliły się całkowicie.

Dzisiaj ten człowiek, pełen — jak słusznie to podkreśla Miłosz w swoim artykule w numerze czerwcowym ,,Kultury" — urazów i kompleksów, usiłuje dawać rady Polakom jak należy odnosić się do zjawiska rewolucji rosyjskiej i jak nie popadać w błędy ,,renegactwa". Jego oceny i krytyki z tomu o renegatach i heretykach były drażniące w najwyższym stopniu; ostatecznie i Koestler i Silone i Orwell są autorami o bardziej ustalonej pozycji pisarskiej od Deutschera. Jego wyroki i potępienia brzmią wręcz śmiesznie; podobnie jego rady dla polskich towarzyszy dowodzą tylko postępu procesu dogmatycznego zarozumialstwa człowieka, który nie ma żadnych danych na historyka — brak mu bowiem podstawowego zmysłu obiektywizmu i instynktu sprawiedliwości. W rzeczywistości jego książki historyczne, to znakomite ,,pamflety" pełne urazów i kompleksów człowieka, który chce przeforsować swoje tezy i dogmaty za wszelką cenę. Jest on jednym z tych lewicowych inteligentów, którzy operują do znudzenia pojęciem ,,historycznej konieczności"; ale za parawanem tego pojęcia tai się, łatwy do odkrycia i odszyfrowania dla psychologa, kompleks pyromanii ludzi urzeczonych pożarem i gwałtem. Ci pseudohistorycy wyżywają się w rewolucyjnych zapałach, w wizjach zniszczenia rzeczy im nienawistnych; ich rzekome dzieła historyczne są rozprawą z własnymi kompleksami i urazami, z ich własną przeszłością, pozycją nadmiernie skromną przez dzieje i przeszłość im przyznaną. Histeryczne kobiety uwielbiają przemoc; liczni lewicowi intelektualiści byli i są zafascynowani przemocą i batem

— jeżeli jest on w rękach Rosji sowieckiej. To uwielbienie gwałtu znane jest dobrze naszej epoce; ten pseudo-historyczny sadyzm jest zbyt pospolity, aby mógł budzić uznanie. Deutscher należy do grona tych pseudohistorycznych pyromaniaków, którzy przez czas jakiś płynęli na fali koniunktury, pod zawołaniem „*le stalinisme mène à tout à condition d'en sortir*", echem i parafrazą znanego powiedzenia „*le journalisme mène à tout à condition d'en sortir*". Ale Deutscher, chociaż wyszedł z dziennikarstwa, pozostał dziennikarzem i to dogmatycznego typu; historykiem nie został i zostać nie mógł, albowiem nie tylko nie miał odpowiednich studiów, ale i nastawienia — zmysłu obiektywizmu, współczucia dla człowieka. Orwell jest *a brilliant pamphleteer;* na inny sposób jest nim Deutscher — o ile jednak Orwell oceniał rzeczy trafnie, wiedziony *common sense* i sumieniem, Deutscher przedstawiał je fałszywie i pomylił się całkowicie, wiedziony dogmatyzmem, zaślepiony pasjami, strawiony kompleksami i urazami.

Zbigniew GRABOWSKI

◆

Whitby, Ont., Canada, 9 sierpnia 1957.

Szanowny Panie Redaktorze,

Artykuł p. Adama Jaworskiego — Wynaradawianie się Polaków w Kanadzie — („Kultura" Nr 6/116, 1957) wymaga pewnych wyjaśnień. Autor twierdzi, że Polacy w Kanadzie wynaradawiają się szybciej niż inne narodowości i jako kryterium wynarodowienia przyjmuje zapominanie języka macierzystego. Za podstawę swoich obliczeń autor bierze spisy ludności w Kanadzie, które uważa za najbardziej dokładne w świecie.

Otóż mam zastrzeżenia co do dokładności tych statystyk, gdy chodzi o pochodzenie narodowe Polaków i innych Słowian. Kraje i narody wschodniej Europy są dla Kanadyjczyków egzotyką, olbrzymia większość tubylców nie odróżnia narodów tam zamieszkałych i pod tym względem ignorancja urzędników przeprowadzających spisy ludności prawdopodobnie nie jest wiele mniejsza, niż innych tubylców. Z wszystkich krajów wschodniej Europy najbardziej znaną — prócz Rosji — była i jest Polska. Przekonałem się wielokrotnie, że określenie „Polish" jest używane jako rodzaj synonimu dla „Slavic" (słowiański), może częściowo dlatego, że słowo „Slavic" ma niemiłe brzmienie przypominające niewolników.

Jestem przekonany, że w spisach ludności wiele osób podało pochodzenie narodowe jako polskie jedynie dlatego, że te osoby lub ich przodkowie urodzili się w Polsce lub byli obywatelami polskimi. Widziałem instrukcję dotyczącą pochodzenia narodowego, według której: „Narodowość odnosi się do obywatelstwa danej osoby". Chaos panujący tu w dziedzinie narodowościowej, w której przynajmniej trzy niejasne określenia są używane, mianowicie racial origin, nationality i nativity, świadczy o tendencji lekceważenia całego zagadnienia pochodzenia narodowego i to lekceważenie ułatwia pożądany proces integracyjny.

Dr Jaworski w swoim artykule podaje ilość ludności pochodzenia polskiego w Kanadzie na 270.000 i martwi się, że tak wielka liczba tych Polaków zapomniała języka polskiego i tym samym wynarodowiła się. Nie ma pewności, że tych 270.000 kiedykolwiek używało języka polskiego, jako macierzystego. Sądzę, że wielu spośród nich nigdy nie mówiło po polsku i dlatego zapomnieć polskiego nie mogło.

Dr Jaworski przypuszcza, że w więzieniach i szpitalach psychiatrycznych w Kanadzie procent Polaków jest większy niż innych narodowości. Z pewnością tak jest, jeżeli będziemy uważali za Polaków wszystkich tych, którzy podają się lub których urzędnicy zapisują jako pochodzących z Polski.

Warto przy okazji zaznaczyć, że niebezpieczeństwo zachorowania na chorobę psychiczną jest około półtora razy większe dla imigrantów, niż dla tubylców kanadyjskich. W roku 1953 wśród świeżych przyjęć do zakładów psychiatrycznych procent imigrantów wynosił 23, gdy procent imigrantów wśród ogółu ludności wynosił tylko około 15, w roku 1954 procent imigrantów był odrobinę mniejszy, w statystykach za 1955 już zaniechano podania odrębnych danych, dotyczących imigrantów lub narodowości.

W roku 1953 w Kanadzie było 347 ,,Polaków'' przyjętych po raz pierwszy do zakładów psychiatrycznych, to jest 146 na 100.000 ludności pochodzenia polskiego — jeżeli się opieramy na danych ludnościowych Dra Jaworskiego. Dla ogółu ludności kanadyjskiej odpowiednia liczba wynosiła 107.9 na 100.000. W roku 1954 liczba świeżo przyjętych osób pochodzenia polskiego była 368, to jest 150 na 100.000, dla ogółu ludności kanadyjskiej 136 na 100.000.

Chcąc otrzymać jasny obraz narodowościowy, sprawdziłem dane odnoszące się do chorych narodowości polskiej w jednym z większych szpitali psychiatrycznych. Otóż w końcu lipca br. w tym szpitalu były 62 osoby zapisane jako będące narodowości polskiej. Dokładne przestudiowanie tych 62 przypadków wykazało, że wśród nich było 14 Ukraińców, 19 Żydów i 2 Rosjan, razem 35 osób. Wśród Żydów oczywiście mogłyby być osoby, poczuwające się za Polaków mojżeszowego wyznania, nie było jednak takich w liczbie badanych. Widzimy więc, że ilość Polaków, używających języka polskiego, jako macierzystego, była mniejsza, niż połowa wszystkich osób ,,pochodzenia polskiego''. Możliwe, że podobny miernik powinien być zastosowany do innych statystyk ludnościowych.

Dla celów propagandowych, gdy trzeba, możemy twierdzić, że jest nas 270.000 ludności pochodzenia polskiego w Kanadzie i na tej podstawie, zależnie od okoliczności, możemy wysuwać różne postulaty. Dla własnego użytku jednak bądźmy realistami.

Łączę wyrazy poważania,

Dr G. KACZANOWSKI,
Instytut polski w Kanadzie.



P.O. Rivonia, Johannesburg, Union of South Africa, 20.8.57.

Szanowny Panie Redaktorze,

W ostatnim ustępie artykułu p. J.H. Rettingera ,,Z notatek o Conradzie'' w numerze 7/117-8/118 ,,Kultury'' uderzyło mnie, że autorowi będącemu tak wybitnym — jeśli wolno użyć podobnego wyrażenia — conradologiem, nie udało się uzyskać dokładniejszych wiadomości o modelu bohatera noweli ,,Il Conde''.

Otóż modelem tym był mój dziadek Zygmunt hr. Szembek, ojciec Jana Szembeka w latach 1932-1939 podsekretarza stanu w M.S.Z., ks. Włodzimierza Szembeka, Salezjanina zmarłego w obozie w Oświęcimiu, mojej matki Marii Janowej Mycielskiej i Anny Antoniowej Górskiej.

Conrad poznał Szembeka podczas pobytu swego z rodziną na Capri w latach 1905-1907. Jak świadczy książka żony Conrada o mężu pt. „Joseph Conrad and his Circle" (str. 97) stosunki Conrada z Szembekiem musiały być częste i przyjazne. Pamiętam z opowiadań mej matki, że Szembek robił z Conradem częste wycieczki z Capri do Neapolu, że zwiedzali razem muzea, zabytki i okolice tego miasta i korespondowali ze sobą. Conrad ofiarował memu dziadkowi kilka swych autografowanych książek.

Zygmunt Szembek był człowiekiem pięknej powierzchowności i ujmującego sposobu bycia. Nader kulturalny i oczytany, zdolny pianista-amator, był wyśmienitym „causer'em" i pamiętając go nie dziwię się zupełnie, że żona Conrada wspomina o nim tak pochlebnie w swojej książce: „one of the most charming men I have ever met".

Fabuła noweli „Il Conde" jest oparta na zdarzeniu, które istotnie miało miejsce. Wiem o tem też z ust mojej Matki, której mój dziadek to opowiadał. Fakt następujący, też autentyczny, niech świadczy o tym jak wiernie Conrad opisał mego dziadka. Jako młody człowiek w ogóle nic nie wiedziałem o stosunkach z Conradem. Któregoś dnia, wyjeżdżając z Krakowa na wieś, na wakacje, kupiłem na stacji numer „Przeglądu Warszawskiego" jako lekturę podróżną. Czytając umieszczoną w tym numerze nowelę „Il Conde" tłumaczenia A. Zagórskiej z rosnącym zdumieniem konstatowałem, że bohater noweli jest tak podobny do mego dziadka, że nie może o kogo innego chodzić. Byłem tym tak podniecony, że pierwszą rzeczą po przyjeździe było spytać moją matkę czy Conrad znał mego dziadka. Wtedy dowiedziałem się o tych stosunkach i o genezie „Il Conde".

Zakończenie noweli jest zgodne z prawdą, gdyż mój dziadek wyjechał latem 1907 z Capri do Polski, do moich rodziców i w kilka dni po przyjeździe umarł nagle.

Pragnę również dodać, że treść „Il Conde" bodaj również potwierdza tezę p. Rettingera o eliminowaniu przez Conrada elementów polskich ze swoich opowiadań. Polskość mego dziadka jest pominięta zupełnie a wspomniana zamężna córka „Il Conde" ma zamek w Czechach.

Mój dziadek nigdy nie spędzał dłuższych pobytów w Genewie i nie słyszałem by spotykał tam Conrada.

Proszę Pana Redaktora przyjąć wyrazy mego głębokiego szacunku.

Kazimierz MYCIELSKI



Paryż, 15 września 1957.

W tygodniku „Stolica" (N-ry 500-502) natrafiłem na „Wspomnienia Antykwarskie" Antoniego Uniechowskiego. W trzecim i ostatnim odcinku publikowanym w „Stolicy" znajduje się kilkadziesiąt wierszy poświęconych mojej osobie.

Ze względu na to, że wydawnictwo „Iskry" opublikować ma całość wspomnień p. Uniechowskiego, chciałbym sprostować kilka nieścisłości tam zawartych.

P. Uniechowski pisze że sprzedałem serwis porcelanowy Belweder p. Falterowi. Belweder był fabryką fajansów a nie porcelany i wyprodukował jeden jedyny serwis na zlecenie Stanisława Augusta jako dar dla Sułtana tureckiego, ja zaś nigdy żadnego serwisu, ani żadnych okazów fajansów Belweder p. Falterowi nie sprzedałem. Następnie pisze p. Uniechowski o szabli

dostarczonej przeze mnie a ofiarowanej marszałkowi Śmigłemu-Rydzowi przez pułk Szwoleżerów, co jest znowu błędem, gdyż karabela, którą p. Uniechowski ma zapewne na myśli, ofiarowana została marsz. Śmigłemu-Rydzowi przez Armię i wszystkie szczegóły tyczące tego daru znajdzie p. Uniechowski w Nr 11/12 „Broń i Barwa" z roku 1936. Sprawa medalionu Mazepy, a nie relikwiarza (jak pisze autor wspomnień) przedstawia się następująco: p. Uniechowski zwrócił się do mnie z propozycją sprzedaży tego medalionu. Ponieważ nie chciałem go zakupić dla mego Antykwariatu, ustaliliśmy że przyjmuję go do sprzedaży komisowej. (Dziś już nie pamiętam ceny którą ustaliliśmy z p. Uniechowskim, zdaje mi się że było to zł. 1.500). Skomunikowałem się z prof. R. Smal-Stockim i po kilku dniach otrzymałem kontrofertę w wysokości, o ile pamiętam, zł. 1.200. Zaraz zakomunikowałem p. Uniechowskiemu o tej propozycji i kontroferta ta została przez niego zaakceptowana. Zatrzymałem dla siebie umówione 20% prowizji komisowej wypłacając mu równocześnie pozostałą resztę. W ten sposób transakcja ta została przeprowadzona w ciągu plus minus dziesięciu dni.

Nie wiem czemu zawdzięczam atak p. Uniechowskiego na moją osobę i nie rozumiem dobrze jego obecnych pretensji. Będąc tak doskonale zorientowany w handlu antykami, miał przecież możność zwrócenia się do szeregu antykwariuszy warszawskich, o których pisze i których znał, zamiast po dwudziestu latach z okładem, wyciągać swoje nieistotne żale.

Z poważaniem

Franciszek STUDZIŃSKI

Londyński korespondent „Kultury": Juliusz MIEROSZEWSKI, 11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHIswick 1860.

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA", 12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris (4e)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.
Dépôt légal: 4e *Trimestre* 1957

KULTURA

REDAKTOR : **JERZY GIEDROYC**
Adres Redakcji :
91, Av. de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.).
Telefon : Maisons-Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15 th St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, «Libreria Polaca», Serrano 2076, Buenos Aires	17 peso	102 peso	204 peso
AUSTRALIA : «Vistula» (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	5 sh. (a)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6
BELGIA I KONGO BELG. : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Square Sainctelette, app. 2, Bruxelles, Nr konta pocztowego 7315-20	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA : Prenumeraty przyjmuja : **Julia Barcinska,** r. Itaipava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; **Zofia Kietlinska,** Av. Batel 1514, Curitiba Parana; **Hanna Lekszycka,** r. Guiara 139, vila Pompeia, Sao Paulo	40 cruz.	200 cruz.	380 cruz.
BRYT. AFRYKA WSCHOD. (Kenya, Tanganyka, Uganda), Roman Krolikowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
FRANCJA : «Libella», 12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris-4	180 fr.	900 fr.	1.800 fr.
HISZPANIA: Wl. Pajor, Paseo de los Olivos 93, Madrid		120 peset	240 peset
HOLANDIA : T. Szpilczynski, Stadhouderskade 60 A, Amsterdam-Z, Tel.: 716080. Nr konta pocz. 13500 — t.b.v.S. 6538	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, 220 Howard Park Ave, Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W, Toronto Ont.; **K. Krakowska,** 3445 Marlowe Ave., N.D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; **H.R. Radomski,** 107, Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tel.: HY-0829; **Vatra Trade,** 277 Selkirk Ave., Winnipeg 4, Man.; **«Zwiazkowiec»,** 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel.: LE 1-2491.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK : Victor Stanislawski, A. Libertad 1350, dep. 1, Guadalajara, Jal.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY : « Ostatnie Wiadomosci », Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301; **St. Mikiciuk,** (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/1	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Moss. Kongesgt. 2	3 sh 9 d.	21 sh.	42 sh.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	2,50 fr. s.	13,50 fr. s.	25,00 fr. s.
SZWECJA : Red. Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm		18 kor.	33 kor.
U.S.A. : W. Bienkowski, «Gryf Publ.», 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; **S. Dobczynski, Alma Shipping C°,** 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; **L. Dudarew Ossetynski,** 28471 Ventura Blvd, Agoura, California; **S. Dziarczykowski,** 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, California; **M.K. Dziewanowski,** 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; **T. Konopacki,** 1471 Lakeland Ave., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; **Ch. M. Kretowicz,** 2109 Robinwood Ave, Toledo 2, Ohio; **V.B. Kwast,** 183 Chancellor Ave, Newark 8, N.J.; **A. Pleszczynski,** 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; **Polish Amer. Book C°** 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; **The Polish Book Importing C°, Inc.,** 38 Union Sq., New York 3, N.Y.; **K. Trojanowski,** 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA : «Gryf» Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	3 sh 9 d.	21 sh.	42 sh.
WLOCHY : Aleksander J. Mikucki, Viale Parioli 124, int 12. Roma	300 lir	1.750 lir	3.000 lir

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedyńczego numeru: 30 frs.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres :
Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Zapowiedzi wydawnicze

BIBLIOTEKA "KULTURY"

Tom XXII

PAWEŁ ZAREMBA

HISTORIA STANOW ZJEDNOCZONYCH



Tom XXIII

ANDRZEJ BOBKOWSKI

SZKICE PIORKIEM



Tom XXIV

ALEKSANDER HERTZ

AMERYKAŃSKIE STRONNICTWA POLITYCZNE

(Mechanizm demokracji)



Tom XXV

DANIEL BELL

PRACA I JEJ GORYCZE

(Kult wydajności w Ameryce)



Tom XXVI

JAN WINCZAKIEWICZ

IZRAEL W POEZJI POLSKIEJ

(Antologia)



Tom XXVII

MILOVAN DJILLAS

NOWA KLASA BIUROKRATOW POLITYCZNYCH

(Analiza systemu komunistycznego)

Imprimerie RICHARD,
24, rue Stéphenson, Paris (XVIIIe).

Cena 180 frs.